

dla
Nicolas
Christophe
Juliette
Sébastien
Nathalie
Daniela
aby uwazali

Vladimir
Pozner

KSIĘŻYCOWA
NOSTALGIA



Z języka francuskiego przełożyła Ewa Fiszer

Książka i Wiedza. Warszawa 1977

Okladkę projektował

Jerzy Rozwadowski

Redaktor

Barbara Szemplińska

Tytuł oryginału: Mal de Lune

© Julldard, 1974.

Redaktor techn.

S. Suchocka

Korektorzy:

G. Śliwińska i D. Debek

Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”,

Wydawnictwo „Książka i Wiedza”,

Warszawa, wrzesień 1977 r.

Wyd. I. Nakład 39 650 + 330 egz.

Obj, ark, wyd. 12. Obj, ark, druk. 18 (14,6).

Papier druk, sat, kl. V, 70 g, 82 X104 cm.

Oddano do składu 16.XII.1976 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1977 r.

Druk ukończono we wrześniu 1977 r.

Prasowe Zakłady Graficzne.

Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 2643. F-22.

Cena zł 25,—

Dziewięć tysięcy siedemset dziesiąta publikacja „KiW”

Powiniennem wyrażać się z pełną dokładnością i precyzją. Jest to tym trudniejsze, że nie potrafiąc znaleźć niewiadomej równania nie wiem, które szczegóły są ważne, a które nie zasługują na uwagę. Może się zatem zdarzyć, że wspomnę o wydarzeniach pozbawionych znaczenia, a pominię fakty, od których zależy wszystko. Nie potrafiąc zinterpretować przeszłości, nie mogę przepowiedzieć rozwiązania, choć może ono lada moment nastąpić. Mógłbym się przed ryzykiem obronić albo przynajmniej je umniejszyć streszczając moją historię w jednym zdaniu, tyle że wówczas ani inni, ani ja niczego by się z niej nie dowiedzieli. Mimo że moje opowiadanie w każdej chwili może raz na zawsze zostać przerwane, muszę skupić się i wymienić w porządku chronologicznym wszystkie zapamiętane okoliczności, nie mam prawa pomijać tych, które wydają mi się bezużyteczne — jak na przykład fakt, że moje siedzisko w sali pracy toczy się wzdłuż pulpitu, a w nieregularnych odstępach czasu odzywa się krótkka, pozbawiona rytmu melodyjka, której zadaniem — tak samo jak drażetki, jaką zażywam rozpoczynając pracę — jest uniemożliwienie mi poddania się uczuciu samotności lub monotonii, pod których wpływem mógłbym zapomnieć o konieczności pełnego skupienia uwagi. Nigdy mi się to nie zdarzyło w tej wielkiej sali o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, wysokiej zaś na dwa i pół metra,

oświetlanej nie wiadomo jakim źródłem światła; w sali tej spędzam co dzień cztery godziny, pilnując tablic sygnalizacyjnych. Tamtego dnia wprawilem w ruch moje siedzisko tylko po to, aby skontrolować trójkątne czerwone sygnalizatory i prostokątne zielone, z których żaden w ciągu tych trzech lat, jakie tu przepracowałem, nigdy się jeszcze nie zapalił; w tej samej chwili zabrzmiała muzyka i rzuciłem okiem na godzinnik, aby dowiedzieć się, jak daleko jest do końca pracy.

Pozostały mi jeszcze dwadzieścia trzy minuty. Dźwięki muzyki umilkły, zabrzmiał — tylko raz — jakiś instrument o metalicznym dźwięku. Nagła cisza zmusiła mnie do nastawienia ucha, szybko przebiegłem wzrokiem rzędy sygnalizatorów. Umieszczony nad pulpitem przewód alarmowy nie zapalił się. Ekran godzinnika wskazał, że upłynęły dwie minuty i czterdzieści sekund. Znow wprawilem w ruch moje siedzisko, które potoczyło się na prawo wzdłuż tablic wskazujących ewentualne odchylenie, a kiedy znalazłem się naprzeciw przekaźnika sygnałów akustycznych, który jak zwykle milczał, i kiedy znow zabrzmiała muzyka, a było to mniej więcej na siedemnaście minut przed nadejściem mego zmiennika i osiemnaście minut przed końcem pracy, wszystko rozpoczęło się równocześnie.

Chcę przez to powiedzieć, że siedzisko zamarło w bezruchu, zapanowała cisza i zapadła ciemność. Wyciągnąłem obie ręce, napotkałem pustkę i wstałem, aby obejść dookoła siedzisko, trzymając się jego oparcia. Poczulem się dezorientowany, w wyższej szkole nadzorców nie nauczono mnie, co należy zrobić w razie ogólnej katastrofy, taka możliwość nie wchodziła w ogóle w rachubę. Nie umiałbym przeprowadzić reperacji, a zresztą nie miałem do tego prawa. W razie wypadku (a była to ewentualność co najmniej nieprawdopodobna),

o którym poinformowałby mnie jeden z sygnalizatorów, dowiedziałbym się tylko, o jaki numer porządkowy chodzi, i moim obowiązkiem byłoby zakomunikować go — naciskając na klawisz — komuś, kogo nigdy nawet nie widziałem. Nie byłem zresztą pewien, czy ten ktoś istnieje: odkąd objąłem moje stanowisko, ani razu nie zdarzyło się, by zapalił się jakiś sygnalizator. A przecież było ich 4112 — właśnie wszystkie znikły w ciemnościach. Nikt nie przewidział nieprzewidzianego i nie miałem żadnych instrukcji poza jedną, aby czekać na rozkaz nie podejmując samodzielnie żadnych kroków. Lepiej więc usiąść i czekać na światło, ewentualnie na sygnał akustyczny, na pewno na koniec dnia pracy, choć obecnie niewidzialny ekran godzinnika przestał wskazywać, kiedy on nadejdzie, tak jakby czas w mojej sali zatrzymał się za przykładem elektryczności. Stałem i wsłuchiwałem się w ciszę.

439 342, mój zmiennik, nie pojawił się. Czekał pewnie u wejścia do sali zamkniętej automatycznie cały czas prócz tych pięciu minut co cztery godziny. Nie mógł wejść do środka, tak jak ja nie mógłbym wyjść, gdybym tego próbował ignorując instrukcje. Powtarzałem sobie, że w momencie katastrofy techniczny dyrektor biura dowiedział się o niej natychmiast, powiadomiony sygnałem świetlnym, albo nawet, zważywszy na wyjątkowość wydarzenia, urządzeniem alarmowym. Wystarczy więc, abym policzył do tysiąca, z cyframi byłem przecież za pan brat. Liczyłem szeptem, ale kiedy skończyłem, dalej panowała cisza. Stojąc obok mego siedziska rozglądałem się dookoła, ale nie mogłem dostrzec żadnego jaśniejszego punktu wśród otaczających mnie ciemności: pozbawiony widzenia, widziałem tylko nieobecność światła. Korciło mnie, by pomyśleć o dniu wczorajszym, o dniach w zeszłym roku, o dniach sprzed dwóch lat, o tym zawsze identycznym momencie

końca pracy, ale nie zwykłem myśleć o czymkolwiek, póki trwałem na moim stanowisku; nie zwykłem — gdyż nie miałem do tego prawa. Zamieniłem się w uszy i oczy, palce i głos w oczekiwaniu, że zdarzy się coś, co się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Powinienem być stać przed moim pulpitem — ale mógłbym go odnaleźć tylko puściwszy oparcie siedziska i wyruszywszy na poszukiwania. Już zamierzałem tak postąpić, gdy wydało mi się, że słyszę jakiś szmer, który nie przypominał żadnego z dźwięków, z jakimi zapoznano mnie w wyższej szkole nadzorców. Wydawało mi się, że dobiega on z daleka, a przecież nie powinien do mnie dotrzeć poprzez dźwiękoszczelne ściany. I to wtedy puściłem siedzisko i po omacku ruszyłem naprzód.

Ciemność winna się skończyć tam, gdzie rozpoczynały się światła zewnętrzne, których blask nie mógł wdrzeć się do mojej sali. Wreszcie dotarłem do ściany i posuwałem się wzdłuż niej, aż doszedłem do jedyne go wyjścia — było ono otwarte: komórka fotoelektryczna przestała funkcjonować. Dopiero później przyszło mi to na myśl. W tamtej chwili uderzyło mnie coś innego. Nie było widać kolistego korytarza. Dotknąłem stopą trotuaru: był nieruchomy. Nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. Dla uspokojenia zacząłem sobie tłumaczyć, że cały ten sektor zależy na pewno od tej samej centrali elektrycznej i wystarczy mi przejść kilkanaście metrów, aby znaleźć się w zasięgu innej centrali i zobaczyć światło. Ruszyłem z miejsca, czubkami palców dotykając ściany. W regularnych odstępach napotykałem drzwi. Wszystkie takie same i wszystkie — tak jak moje — otwarte. Wewnątrz nie było światła, nie było żywego ducha. Szedłem więc dalej wzdłuż korytarza, którego zakręty za ledwie dało się wyczuć. Nie wiedziałem, czy obiega on wokół tysiąca czy dziesięć tysięcy sal: po raz pierwszy podjąłem podobną wyprawę.

Na koniec doszedłem do wniosku, że wybrałem się w złym kierunku: oddaliłem się od miejsca, z którego, jak mi się wydawało, dochodzi wrzawa, i znalazłem się w krainie ciszy. Mogłem zawrócić, ale przede wszystkim zależało mi na odnalezieniu światła, szedłem więc naprzód, wciąż głuchy i ślepy, krocząc wśród ciemności, macając niekończącą się ścianę i nie wiedząc, czy nie obszedłem jej już wokół mijając podobne wszystkim innym wejście do mojej sali, czy też zamiast zatoczyć koło idę przed siebie wzdłuż spirali. Nie było po co liczyć kroków, nie było można liczyć minut. Nie wiem więc, kiedy dosłyszałem znów szmer niewyraźnych głosów. Wydało mi się, że dobiegają mnie z góry. Wystarczy więc przejść na drugą stronę korytarza i wsiąść do windy: co dwadzieścia pięć metrów znajdowało się sześć wind. Żadna nie funkcjonowała. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Nigdy jeszcze, nawet w dzieciństwie, nie słyszałem o czymś podobnym. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że można pójść na górę pieszo, nie wiedziałem, jak należy się do tego zabrać. Słyszałem tylko o jednym takim wypadku, kiedy byłem jeszcze zupełnie mały i w drugiej klasie taktiloaudiowizualnej opowiedziano mi o speleologu nazwiskiem Jacksmith, legendarnym bohaterze 0001 roku naszej ery, który ześliznął się na dno czeluści i zaczepiwszy się rękami wydzwignął z grotu. Obok szóstej windy natknąłem się na zapasowe wyjście, a prowadziło ono na schody, o których istnieniu nawet nie wiedziałem. Schody były nieruchome. Trzeba było zabrać się do wspinaczki.

Nie mogłem uciec się do pomocy oczu. Bałem się każdego stąpienia, czepiałem się poręczy, brakowało mi tchu, a serce biło coraz szybciej. Zatrzymywałem się co dziesięć stopni i za każdym razem, zaczerpnąwszy oddech, słyszałem wyraźniej jakieś głosy. Zastanowiłem się, czy są to głosy innych techników, którym udało się w chwili przerwania prądu opuścić

swoje stanowiska pracy i którzy wdarli się na schody wyprzedzając mnie o parę pięt. Przyśpieszyłem kroku w nadziei, że ich dogonię, ale poczułem się wyczerpany i musiałem przysiąść na stopniu. Zasapałem się — ja, który dotychczas nie rozumiałem znaczenia tego słowa. Tak jak wszyscy miałem przy sobie zasobnik z drażetkami, na nic mi się jednak nie mogły przydać, nie potrafiłem bowiem odróżnić ich dotykiem. Musiałem czekać.

Wszystkie te szczegóły pozbawione są znaczenia, dowodzą jednakże, iż byłem świadom tego, że w ciągu nieokreślonego okresu czasu znajduję się w niewidzialnej przestrzeni. Mógłbym nawet zacytować parę słów, które wypowiedziałem do samego siebie — na przykład na temat czasu, który tracę i który już straciłem.

Znów ruszyłem w górę. Coraz lepiej słyszałem czyjeś głosy. Ze stałego szmeru wydobywały się pojedyncze okrzyki, a w odpowiedzi im podnosiły się szorstkie, zachrypnięte głosy — takie jakich nigdy dotąd nie słyszałem i jakich nie byłem w stanie zrozumieć. Za wszelką cenę należało się do nich zbliżyć. Nagle poczułem, że poręcz schodów skończyła się. Podniosłem nogę, ale nie natrafiła już na schodek. Szedłem po omacku po płaskiej powierzchni, a krzyki, piski i jęki brzmiały coraz to gwałtowniej. Natknąłem się na zamknięte drzwi. Szedłem wzdłuż ściany dotykając jej końcami palców. Nagle moje ramię otarło się o jakąś płaską powierzchnię, która usunęła się i zgiełk wzmógł się. Zrozumiałem, że znalazłem wyjście na ruchomą jezdnię, może na tę właśnie, do której co dzień dojeżdżałem windą i którą wracałem z pracy. Musiała być pełna ludzi, ale nie widziałem nikogo ani nic — nawet ekranów z telewiadomościami, nawet ekranów wskazujących czas. Usiłowałem pochwycić jakieś zdanie, jakieś słowo: było ich zbyt wiele. Nie ruszałem się z miejsca, bojąc się, że porwie

mnie ruchoma jezdnia i zagubię się. Nie było sposobu, aby zatrzymać kogoś z tego niewidzialnego tłumu, który mnie mijał. Wydawało mi się, że zrozumiałem parę słów, i zrobiłem krok naprzód. Był to błąd: zostałem wciągnięty i porwany. Na próżno się szamotałem, nie mogłem się wydostać. Ramię przy ramieniu, głowa przy głowie tłum wirował i kręcił się w kółko i nagle zrozumiałem, że nie ruszamy się z miejsca. Ruchoma jezdnia została unieruchomiona.

Przyciszonym głosem zacząłem pytać. Nie otrzymałem odpowiedzi. Powtórzyłem pytanie, tym razem wrzeszcząc na cały głos. Na nic się to nie zdało. Wszyscy krzyczeli ze wszystkich sił, każdy słyszał tylko siebie nie przypuszczając nawet, że inni zadają mu to samo pytanie. Bowiem nikt jeszcze nie był świadkiem ani nawet nie słyszał o takim wydarzeniu, aby wysiadł cały obwód elektryczny. Usiłowałem pójść dalej w nadziei, że napotkam inny rodzaj wrzawy. Wszędzie panowało takie samo zamieszanie. Intonacja głosów brzmiała wszędzie podobnie i nie wiedziałem, czy kręcę się w kółko, czy posuwam w jakimś kierunku. Nie tylko ja; wszyscy byli w podobnym położeniu. Dziś, kiedy o tym mówię, może wyglądać na to, że zrozumiałem, co się dzieje, czyli że zdałem sobie sprawę z tego, że nie wiem nic; zastanawiam się, co bym opowiadał natychmiast po wydarzeniu. Przecież nawet niczego się nie domyślałem. Potem zaś nie miałem już czasu o tym myśleć, tyle ciągle musiałem sobie zadawać nowych pytań i pośpiesznie szukać na nie odpowiedzi. Tłum znowu zawirował w drugą stronę nie ruszając się jednak z miejsca i byłbym upadł, gdyby nie podtrzymały mnie tłoczące się naokoło ciała ludzkie, mimo to zatoczyłem się i znalazłem się nagle na bocznym, dosyć wąskim ruchomym trotuarze. I on tak jak jezdnia przestał się toczyć.

Zrobiłem parę kroków wyciągając przed siebie ręce. Nagle

znów ogarnęła mnie cisza. Natknąłem się na otwarte wejście do nieruchomej windy i poszedłem dalej galerią, która spiralała pięła się pod górę. Nigdy jeszcze tyle się nie nachodziłem, i to w dodatku na ślepo, po omacku. Bardzo rzadko zdarzało mi się śnić i nigdy nie przyśniło mi się, że nic nie widzę. Oto wróciłem w zamierzchłe czasy, kiedy nie umiano jeszcze leczyć ślepoty i człowiek nią dotknięty przez całe życie posuwał się tak jak ja teraz, trzymając się jakiegoś muru. Galeria wznosząc się coraz to zakręcała, było nią dużo łatwiej iść niż poprzednio schodami. Nagle znieruchomiałem, dostrzegłem bowiem światło, nie, nie światło — cień światła.

Był to drobny punkcik świetlny gdzieś daleko — i niczego nie oświetlał. Wielokrotnie zamykałem i otwierałem oczy, by upewnić się, że się nie mylę. Ta ruchoma, ledwie widoczna plamka światła nie była jednak wytworem mojej wyobraźni. Nie spuszczać z niej oczu zrobiłem jeden krok, potem drugi; bałem się, że światełko zda sobie sprawę z mojej obecności i zniknie. Ale nadal poruszało się. Zrobiłem parę kroków i zatrzymałem się. Światełko wydłużyło się, rozszerzyło, nie stając się jednak bardziej wyraźne. Przestało się poruszać, miałem wrażenie, że krocę w miejscu. Panowała zupełna cisza, a światełko powiększało się tak powoli, że przyjmowałem to do wiadomości nie zdając sobie z tego świadomie sprawy. Zauważyłem, że nie trzymam się już ściany.

Było to nagłe i nieoczekiwane. Znalazłem się na środku pokoju. Był słabo oświetlony. Błękitnawym nieznanym mi światłem, jakby zmierzchającym, tak że widziałem tylko kontury przedmiotów. Pokój ten nie miał nic wspólnego z lokalami, w których mieszkaliśmy, liczącymi trzy metry na trzy i wysokimi na dwa metry dziesięć. Ten pokój był większy nawet

i od sali, w której pracowałem. Było tu tyle miejsca, że zamiast zużyć je racjonalnie wypełniono je nieznanymi mi, nie wiedzieć czemu służącymi przedmiotami. Pod ścianą stało coś czarnego i błyszczącego, liczącego jakieś półtora metra szerokości, wąskiego, z podniesioną do połowy wysokości pokrywą i dwoma złotymi czy też może miedzianymi pedałami. Przyjrzałem się temu uważnie, nie dotykając niczego, aby nie wprawić w ruch przyrządu, którego przeznaczenia nie znałem. Tak samo postąpiłem z innymi maszynami czy też meblami, których kształt, a także materia, z jakich były zrobione, były mi zupełnie nieznanne.

Wyglądały dziwnie, były pokryte wykładzinami, które zajmowały tylko miejsce i wydawały się bezużyteczne. Przedmioty te stały w pewnej odległości od siebie i nie mogłem się domyślić, na czym polega ich użyteczność.

Poruszałem się ostrożnie, ale z takim zainteresowaniem, że nie od razu zauważyłem, iż moje stopy nie ślizgają się tu tak jak w mojej kwaterze czy sali pracy. Tu siedłem równie bezszelestnie, ale po czymś dużo miększym, a gdy spojrzałem w dół, wydało mi się, że widzę jakieś esy floresy, których barwy nie odróżniam. Przykucnąłem, aby dotknąć tej powierzchni, która była miękka i sprężysta. Podnosząc się, dostrzegłem coś, co mnie zdumiało, bowiem w przeciwieństwie do innych przedmiotów wiedziałem, co to jest.

Nigdy tego nie widziałem, ale słyszałem opisy, a nawet oglądałem fotografie. Nie była to kopia, lecz oryginał zamknięty w przezroczystym kloszu ustawionym na stojaku: pierwsza książka, jaką widziałem w życiu. Wielkości ręki człowieka, prostokątna, gruba na jakieś dwa centymetry, zrobiona z papieru, i to nie syntetycznego, lecz naturalnego. Była biała dość żółkła bielą i robiła wrażenie podartej. Z trudnością

odcyfrowałem nazwisko tego, kto, jak przypuszczałem, był autorem, i tytuł: *Let this cop pass from me*; nie zrozumiałem go, ale domyśliłem się, że to po staroamerykańsku. Dłuższy czas przyglądałem się temu przedmiotowi, który zajmował tyle miejsca, a który służył naszym przodkom. Wreszcie odwróciłem się i zobaczyłem przed sobą półkoliste przejście. Dalej był następny pokój, równie duży, ale jasno oświetlony, tak że mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Światło padało równomiernie, nie było ani tak jaskrawe, ani tak przyćmione jak światło, do którego przywykłem. Nigdzie blasku ani cienia, tak jakby zwały się w jedno. Wszystkie kontury przedmiotów odcinały się wyraźnie, natomiast barwy jakby się zatarły, o ile oczywiście istniały; wszystko stało się niebieskie, ściany, przedmioty, a nawet moje ręce. Obszedłem pokój dookoła. Był okrągły — pierwszy okrągły pokój, jaki widziałem w życiu. Na środku stał duży niebieski stół, także okrągły, i wokół niego ustawione były niebieskie siedziska w niczym nieprzypominające tego, na którym zasiadałem w trakcie pracy. Były duże, ciężkie i nieruchome. Ośmieliłem się usiąść. Siedzisko było miękkie, odchylało się do tyłu: miałem wrażenie, że się kładę. Nie zwykłem podnosić głowy, ale ją podniosłem. Nade mną przez okrągły otwór przesłonięty jakąś przezroczystą nieznaną mi substancją widać było czarną dal, a na jej tle błękitną kulę. Zobaczyłem ją po raz pierwszy w życiu: tak jak wielu Księżyczan nigdy jeszcze nie widziałem planety zwanej Ziemią.

Powinienem być od razu zdać sobie sprawę, dokąd trafiłem: jest bardzo niewiele osób na Księżycu, które mogą sobie pozwolić żyć w ten sposób. Nikt z nas tego nawet nie podejrzewał. Przypuszcza się na ogół, że osoby te mają kwatery dwunastometrowe zamiast dziewięciometrowych, że pracują trzy i pół godziny zamiast czterech, gdyż wyobrażamy sobie

przywileje, jakich sobie udzielają, na miarę naszych pragnień, ale ten, kto by twierdził, że ci ludzie żyją w świetle Ziemi, szybko znalazłby się w domu zdrowia. Nawet dla żartu nie byłbym w stanie czegoś podobnego wymyślić. Ale dziś byłem świadkiem zbyt wielu dziwnych i nieprawdopodobnych wydarzeń, a wszystkie miały miejsce po raz pierwszy. Nie miałem nawet pewności, czy nie przeżyłem tego wszystkiego we śnie, choć bynajmniej nie byłem skłonny śnić, i pomyślałem, że powinienem dać się przebadać pierwszemu napotkanemu oficerowi zdrowia. Właśnie powziąłem tę decyzję, kiedy usłyszałem głos kobiety. Zadała ona pytanie, które zapamiętałem do dziś dnia.

— Czy to on się spóźnia, czy też pan przyszedł za wczesnie?

Słowa te nie miały dla mnie żadnego sensu, musiała mówić do kogoś innego. Wstałem, żeby się rozejrzeć. Nie zobaczyłem nikogo. Poszukałem wzrokiem dialogera, na którego ekranie mógłbym dojrzeć obraz mówiącej. Dialogera nigdzie nie było.

— Tu jestem— odezwał się ten sam głos.

Odwrociłem się. Młoda dziewczyna stała w nieistniejącym przed chwilą otworze w ścianie. Pragnąłem dowiedzieć się, jak się tu znalazła. Uśmiechnęła się i oświadczyła:

— Jest już prąd.

Zapytałem:

— Wszędzie?

A ona zapytała z kolei mnie:

— Jak się panu udało tu dostać? Jakim cudem uruchomił pan windę?

Odpowiedziałem:

— Winda nie działała. Wszedłem po schodach.

Podeszła do mnie, tak jakby moje słowa zadziwiły ją i pragnęła mi się dokładnie przyjrzeć. Teraz widziałem ją lepiej.

Była niewysoka i miała trójkątne usta. Nie mogłem ocenić jej cery, koloru oczu i włosów: w ziemskim świetle była od stóp do głów błękitna. Przyjrzała się fiszce identyfikacyjnej na mojej piersi. Na fiszce widniała moja podobizna i sześciocyfrowy numer. Odczytała go:

— Sześćdziesiątdziewięć, dwadzieściadziewięć, trzydzieścitrzy,

Poprawilem: — Trzyścitrzy — gdyż tak wszyscy zwykli mnie nazywać.

Uśmiechnęła się, i ja z kolei zacząłem szukać wzrokiem jej fiszki. Była taka mała, że nic nie udało mi się na niej odcyfrować.

— Trzynastka — powiedziała. Nachyliłem się, by się upewnić, nim odparłem:

— Chyba się mylę, widzę tylko dwie cyfry.

Zamiast mi odpowiedzieć, oznajmiła:

— Nazywam się Trzynastka.

I dorzuciła szybko, jakby to sobie nagle przypomniała:

— Czy to on się spóźnił, czy też pan przychodzi zbyt wcześnie?

Nie wiedziałem, o co chodzi, pytanie wydało mi się pozabawione sensu. Wzruszyłem ramionami:

— Nie mam pojęcia.

Ona zrobiła taką minę, jakby zrozumiała.

— Ano tak, przecież wszystkie godzinniki wysiadły.

Zabrzmiało to śmiesznie i wymieniliśmy uśmiechy.

Potem pytała dalej:

— O której miał pan wyznaczone spotkanie?

— Z kim?

Jeśli sobie dobrze przypominam, zmarszczyła nos, przyglądając mi się uważnie.

— Może pan ze mną o tym mówić — zauważyła wreszcie.
— Jestem jego córką.

Nic z tego nie rozumiałem: jakże mógłbym rozumieć?!
Ośmieliłem się spytać:

— Kim jest pani ojciec?

Wpadła w złość.

— Nie wie pan? Dobrze, niech pan sobie czeka.

Odwróciła się w stronę wyjścia.

Wtedy zawołałem:

— Nikt mi nie wyznaczał spotkania!

Przystanęła i spojrzała na mnie przez ramię. Wyjaśniłem jej, że szedłem bardziej niż po omacku, wręcz jak ślepiec, no i tak trafiłem do niej. Zaczęła się śmiać, ale zaraz spowaźniała.

— Dobrze, więc ja panu powiem — oświadczyła, i to na skutek tych słów i tego, co z nich wynikało, tak dobrze zapamiętałem naszą rozmowę. — Miał pan natychmiast po katastrofie zgłosić się tu ze sprawozdaniem i udzielono panu instrukcji, jak tu dotrzeć mimo braku światła i nieczynnych wind. Nie wolno panu o tym nikomu wspomnieć. Sam pan widzi, że wiem wszystko.

Czekała na moją odpowiedź. Zależało mi na jednym: żeby jej się spodobać, tym bardziej że tymczasem zauważyłem jej małe okrągłe piersi. Zapytałem więc:

— Z jakim sprawozdaniem?

Znowu wpadła w złość.

— Niech pan nie udaje, że pan nie rozumie!

Robiłem, co mogłem, aby wytłumaczyć jej, że na nic bym się nie przydał, gdyż nic nie mógłbym opowiedzieć, widziałem bowiem tylko krótkie spięcie i jego skutki w sali, gdzie pracuję jako nadzorca, a potem unieruchomioną jezdnię.

— Unieruchomioną i czarną — zauważyła ona i zrozumiałem, że tak samo jak mnie wciągnął ją potrącając i gniotąc niewidoczny tłum: być może natknęliśmy się tam na siebie i stali przyciśnięci do siebie. To nie dotyczyło jej ojca; jeśli chodzi o resztę, krzyki i zamieszanie nie wymagają specjalnego raportu.

— Tak — powiedziała — jestem pewna, że medyczna policja zrobiła już wszystko, co należy.

Było to możliwe, a nawet niemal pewne: służba zdrowia jest niezwykle skrupulatna.

— Mego ojca interesuje, jak doszło do przerwania prądu.

Wydało mi się to czymś najnaturalniejszym na świecie. Nie wiedziałem, jakie funkcje sprawuje ten człowiek, ale sądząc po jego mieszkaniu, musiał być lepiej poinformowany niż ja. Dorzuciłem też, że nie zapalił się ani jeden sygnalizator, że nie zabrzmiał żaden sygnał akustyczny. Dziewczyna znów się rozzłościła.

— Świetnie pan przecież wie, że nie chodzi o maszynię kontrolni!

Znów nie stanąłem na wysokości zadania.

— Ale skoro jestem nadzorcą...

Nic na to nie odpowiedziała i już wydawało mi się, że udało mi się ją przekonać. Nagle szepnęła:

— Muszę się tego dowiedzieć. Niech mi pan powie. Przysięgam, że przed nikim nie zdradzę, iż z panem rozmawiałam.

Dziś wiem już, o co jej chodziło, ale wtedy nie rozumiałem nic, wstrząsnął mną tylko ton jej głosu. Nazwałem ją po imieniu, aby ją przekonać, że wyznam jej wszystkie sekrety, których sam nie znałem, a o których istnieniu była przekonana. Powtórzyłem:

— Trzynastko, przysięgam pani, Trzynastko, przysięgam! — i zamilkłem oczekując odpowiedzi.

Nie spuszczała ze mnie oczu. Jej spojrzenie wyrażało równocześnie podziw, strach i wzdargę. Wysła przez owalny otwór, który nagle pojawił się w ścianie. Mnie też pozostało tylko odejść. Wróciłem do ciemnego kąta pokoju w którym wystawiona była książka. Leżała na tym samym miejscu w szklanym kloszu. Przeszedłem obok, jeszcze raz na nią spojrzałem, nie zatrzymując się już jednak, i zacząłem szukać

wyjścia. Przedmioty stały na tym samym miejscu, ale wyglądały tak dziwnie, że nie mogłem ich rozpoznać. Błąkałem się do chwili, gdy zauważyłem prostokątną maszynę z dwoma złotymi pedałami. Należało więc skrócić w prawo.

Nie starczyło mi czasu. Zapaliło się światło, dzienne światło elektryczne, od którego zabłysła czerni maszyny.

Jakiś głos zapytał:

— Kim pan jest?

Podniosłem głowę. Zapalił się dialoger. Z ekranu patrzyła na mnie męska twarz. Męski głos powtórzył:

— Kim pan jest?

Pomyślałem sobie, że może to być ojciec Trzynastki, i zawałem się. Mężczyzna nie wyglądał na zdziwionego.

— Niechże się pan odezwie. Czy przyszedł pan zamiast niego?

Musiał myśleć o tym samym gościu, co jego córka. Przyjrzałem się jego twarzy zastanawiając się, czy jest gdzieś w mieszkaniu, czy na przeciwnym krańcu dystryktu. Miałem wrażenie, że go skądś znam. Ale nie z pracy, nie z jakiegoś przypadkowego spotkania, pewnie z telewiadomości. Szukałem wzrokiem jego fiszki, by odczytać numer, ale widać ją było na ekranie tylko do połowy. Wreszcie odpowiedziałem: — Zabłądziłem — myśląc, że trudno mu będzie w to uwierzyć.

— Nic pan nie wie? — spytał, ale pytanie to zabrzmiało jak twierdzenie.

Odparłem: — Nie — dość niepewnym tonem.

— I tak „całkiem przypadkiem” udało się panu dostać do mnie wśród ciemności, i to w dodatku pieszo?

Mówił wolno, z całkowitą obojętnością, tak jakby nie zwracał się do mnie, lecz dyktował mi zeznanie. Odparłem:

— Tak — tonem przyznającego się do winy.

Odwrócił głowę w stronę kogoś, kogo nie mogłem zobaczyć.

— Proszę przysłać do mnie oficera służby zdrowia — powiedział zachowując dalej pełny spokój. A potem zwrócił się do mnie: — Proszę czekać. — I do tamtego: — Trzeba będzie go zabrać i przebadać.

Ekran zgasł i zaraz znów się rozświetlił. To zjawiała się Trzynastka i nacisnęła na guzik.

— Ojcie!

Teraz już tylko jej oczy pozostały niebieskie. Na ekranie ukazała się twarz mężczyzny i zrozumiałem, że jest gdzieś daleko.

— Co, Trzynastko? — spytał zupełnie innym tonem.

Trzynastka uśmiechnęła się i pomyślałem sobie, że ten uśmiech rozświetla równocześnie inny ekran, na który patrzy jej ojciec, ojciec zaś zaraz odpowiedział jej uśmiechem.

— Nie zrozumiałeś — wyjaśniła.

Roześmiała się. Roześmiała się i ona, nim dorzuciła:

— To nie twoja wina.

Robił wrażenie zachwyconego i jego: „Dlaczego?” było nie tyle pytaniem, ile konieczną repliką.

— On obiecał, że nikomu nic nie powie — oświadczyła dziewczyna zniżonym głosem i poczułem, że bierze mnie za rękę.

Uważałem, że postępuje niesłusznie, chciałem się odsunąć, ale ona przyciągnęła mnie i zrozumiałem, że chce, aby jej ojciec zobaczył nas razem. Zwróciłem się w jej stronę — patrzyła mi prosto w twarz. Nie spuszczając ze mnie oczu powiedziała zakłopotanym tonem:

— On przyszedł do mnie.

Wyczytała widać zdziwienie z mojej twarzy, bo dorzuciła:

— Widzisz, ma mi za złe, że o tym mówię.

Znów usłyszałem jej śmiech, ojciec także ze śmiechem wypowiedział do mnie parę uprzejmych słów, pożegnali się długo i czule, i ekran zgasł. Nic nie rozumiałem i chciałem ją wypytać. Trzynastka zachowywała się przyjaźnie, ale tak jakby była nieobecna.

— Jestem zmęczona — oświadczyła i dodała, że woli się ze mną zobaczyć kiedy indziej. Nie nalegałem. Wskazała mi wyjście i pożegnała, nieznaczając spotkania.

Winda już funkcjonowała. Nigdy nie widziałem tak małej windy — na pięć czy sześć osób zamiast na sto. Wróciłem w nasz podkiszycowy świat i gdybym oznajmił jakiemuś przechodniowi, że widziałem Ziemię, uznałby mnie za żartownisia. Na skrzyżowaniu czas na ekranie znów ruszył z miejsca. W matowym świetle elektrycznego dnia nieruchomy tłum stał na dwóch ruchomych chodnikach, bliższy poruszał się w prawo, dalszy w lewo. Nikt nic nie mówił, wszyscy utkwili wzrok gdzieś ponad moją głowę, a twarze wyrażały taką ciekawość, taki niepokój, że szybko stanąłem w szeregach spieszących do pracy i także podniosłem głowę.

Naprzeciwko nas, na murze, widniały telewiadomości. Spóźniłem się na początek i zacząłem wypytywać sąsiadów. Usłyszałem tylko: — Cii! — Usiłowałem mimo to coś zrozumieć. W słynnej Radzie Logików, którą pokazywano tylko w tak zwanych momentach historycznych, widać było kilku mężczyzn, którzy między sobą rozmawiali. Głos spikera komentował obraz. Teraz mówił, że rozpoczęto śledztwo, ale że przede wszystkim należy zgromadzić wiadomości źródłowe oraz wiadomości pochodne, nie zapominając z drugiej strony o wyjątkowej długości sieci logomatematycznych. Pomyślałem, że chodzi o katastrofę, która musiała być poważniejsza, niż przypuszczałem.

— Kontrola błędów — mówił komentator — przewiduje wszystkie możliwe błędy nie wyłączając błędów kontroli;

chodzi zatem o sporządzenie rachunku prawdopodobieństwa błędu błędów i logicy zebrali się już, by ustalić program parametrów.

Logicy dalej milcząco dyskutowali. Teraz pokazano ich z bliska, najpierw wszystkich razem, potem jednego po drugim. Wszyscy byli już w pewnym wieku, mieli skupione miny i mogłoby się zdawać, że nie wiedzą, iż oglądają ich dziesiątki tysięcy widzów. Na ich fiszkach identyfikacyjnych widniały pojedyncze cyfry.

Wokół mnie zaczęli rozmawiać zdążający do pracy ludzie. Jedni wysuwali hipotezy dotyczące powodów wielkiego śpięcia, inni opowiadali swoje przeżycia: ten został wraz ze stu dwudziestu osobami w windzie, ten o godzinę spóźnił się do pracy, tamtemu tłum zmiażdżył nogę. Nie bardzo słuchałem; ostatnim z pokazanych nam logików, na którego fiszce widniał numer 5, był ojciec Trzynastki. Nie uśmiechał się.

Zastanawiam się, czy w tamtym momencie rozporządzałem już dostateczną ilością informacji, by móc wszystko zrozumieć. Pewnie dałoby się wy, kazać, że miałem na to dosyć danych. Nie ma nic prostszego niż obrać wstecz, które pozwalają odróżnić przyczyny od skutków, ale nawet wtedy nie wystarcza dedukcja pozbawiona intuicji, a zresztą ja osobiście nigdy nie byłem mocny w rachunku prawdopodobieństwa. Zastanawiałem się, owszem, ale raczej nad szczegółami, takimi jak czarna maszyna o dwóch pedałach czy okrzyk kogoś z przerażonego tłumu zapelniającego unieruchomioną jezdnię.

Życie toczyło się normalnym rytmem, tyle że ludzie spotykając się w pracy, w domu czy w centrach rozrywkowych dalej mówili wyłącznie o tym, co według jednych było katastrofą, a według innych wielkim wydarzeniem. W każdym razie, niezależnie od nazwy, coś podobnego zdarzyło się po raz pierwszy i wielkim szczęściem było, że trwało to tak krótko, że policja medyczna wytrzymała na posterunku i udało jej się zapobiec tak uszkodzeniom ciała, jak i zaburzeniom psychicznym. Wielcy technicy zabrali się do roboty, przeprowadzili odpowiednie analizy i syntezy, i wyniki swych badań przedłożyli logikom. Decydować musiała logika. Tylko tych dziesięciu ludzi było w stanie ustalić, czy komputery zatrzymały się dlatego, że

obwody kontrolne dostrzegły gdzieś jakieś uszkodzenie, czy też przeciwnie — owa uszkodzenie spowodowało wyłączenie prądu. Po trochu dyskusje zamierały, zaczynano mówić o codziennych wydarzeniach i wkrótce całą sprawę potraktowalibyśmy jako wspomnienie, gdyby nie była ona ulubionym tematem komentatorów telewizyjnych. Na ścianach z obu stron ruchomych jezdni, w windach i na przepierzeniach kwater teleekrany i teległasy streszczały pospiesznie wiadomości, aby przejść do tego, co nazywały głównym tematem.

Omawiano go ze wszech stron, podając coraz to nowe dane naukowe i coraz to inne sprawozdania z nieszczęść, jakie dotknęły ludzi. Wywoływało to ogólne przerażenie i pewną konsternację, gdyż stroną naukową zagadnienia trudno było zrozumieć logikom, a nawet my, T.W. — technicy wyspecjalizowani, którym nieobca była terminologia, stawialiśmy pytania, na które nie znajdowaliśmy odpowiedzi.

Komentatorzy wyjaśnili nam, że nasze komputery, niezależnie od tego, czy są generacji trzeciej, piątej czy jeszcze wyższej, nie mogą podlegać zwyrodnieniu (ba gdyby takie zaistniało, zostałyby wykryte i usunięte w ciągu jednej mikrosekundy), że obwody wewnętrzne kontroli nie przerywają ani na chwilę weryfikacji obwodów logicznych i że wszystkie dane wprowadzone do centralnej pamięci podlegają najpierw sprawdzeniu. Ktoś mógłby sądzić, że dwie zależne od siebie maszyny oddalone o wiele dziesiątków kilometrów mogą stracić ze sobą kontakt, ale eksperci stwierdzili, że wszystkie maszyny na naszej planecie zostały skonstruowane tak, iż niezależnie od dystansu, jaki je dzieli, automatycznie wymieniają między sobą informacje i ostrzeżenia. Krótko mówiąc, komputery naszych czasów pozbawiono tylko jednej umiejętności — umiejętności mylenia się.

Wystarczyło podnieść głowę czy to w centrum rozrywki, czy na ruchomej jezdni, aby usłyszeć, jak któryś z komentatorów przedstawia możliwe rozwiązanie problemu. Coraz to inne i sprzeczne ze sobą. Zdarzało się, że ten sam człowiek atakował hipotezę wypowiedzianą przez siebie poprzedniego dnia i przedstawiał następną, diametralnie odmienną.

Potem na murze pojawiał się obraz innego specjalisty, który zajrząwszy w oczy każdemu z nas, słuchaczy, mówił nam o licznikach, które rejestrowały informacje nieznanego pochodzenia; nie można było wykluczyć, że informacje owe pochodzą spoza galaktyki, w każdym razie komputery nie były w stanie ich zinterpretować. Podkreślał tajemniczy aspekt sprawy i podawał półnaukowy, półlegendarny opis fenomenu, który za czasów naszych przodków zwano snopem kosmicznym. I to wydało nam się tak zagadkowe, że aż prawdopodobne.

Wymieniliśmy parę uwag, ktoś zacytował przysłowie o tym, jak bezbronny jest człowiek między Ziemią a Słońcem, ktoś inny przypomniał, że przysłowie to odnosiło się dawniej tylko do kosmonautów, a tymczasem następny komentator poddawał naszej uwadze fakt, że wystarczy, aby jedna jedyna nieprzewidziana przesłanka, odcyfrowana przez komputer, nie zdążyła w porę dotrzeć do centralnych ośrodków pamięci, a zatem nie została uwzględniona w programowaniu, aby uległo ono nieprzewidzianym modyfikacjom, jako że możliwości rozumowania maszyn, niewątpliwie ogromne, są mimo „wszystko ograniczone.

Ta wersja była tak zręczna, że przez swą niezrozumiałość wydała nam się całkowicie prawdopodobna. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, a ze ścian przemawiali do nas coraz to nowi eksperci — to o specyficie programowania diagnostycznego, to o języku elektronicznym, to o zarządzaniu ośrodkami pamięci. Wszyscy nadstawiali ucha, ci, co byli sami, zadawali

sobie pytania, ci, co znajdowali się w towarzystwie, zapytywali innych, a odpowiedzi, które padały, stawały się zawsze następnym pytaniem.

Jeśli tak podkreślałam ten fakt, to dlatego, że od chwili, gdy jako dziecko pierwszy raz przysłuchiwałam się telewiadomościom, były one zawsze autorytatywne i dobitne, nigdy nie pozostawiały miejsca na wątpliwości, na dociekanie, nigdy nie podkreślały żadnych sprzeczności. Fakty były wymieniane takim samym tonem, jakim recytuje się tabliczkę mnożenia. Tak było najlepiej dla stanu zdrowotnego ludności. Chętnie rzuciłbym obecnie okiem na centralną kartotekę medyczną, aby dowiedzieć się, ile osób trzeba było na skutek ewenementu poddać badaniom lekarskim i psychofizjologicznym analizom. Byłem przekonany, że liczba chorych wzrosła dziesięciokrotnie i że winą za to należało — przynajmniej częściowo — obciążyć telekomentatorów. Uważało się powszechnie, że tak samo jak ich słuchacze ulegli szokowi, a skoro pozwalało im się publicznie bredzić, mogło to oznaczać tylko jedno — że szokowi ulegli także ich zwierzchnicy: wszystkim trzeba było środków uspokajających. Należało połykać drażetki i uzbroić się w cierpliwość.

Można było oczekiwać, że wkrótce nastanie spokój. Coraz mniej było prób interpretacji ewenementu, coraz mniej wyraźnie zaznaczały się różnice zdań. Coraz częściej eksperci nie wysuwali nowych hipotez i ograniczali się do wykazywania słabych punktów hipotez poprzednich. Podkreślali ich brak logiki wynikający ze złej znajomości przedmiotu i braku informacji. Należało zatem nie przejmować się i spokojnie czekać, aż wypowiedzą się jedyni ludzie zdolni do znalezienia odpowiedzi. Ale logicy milczeli dalej — rozwiązanie zagadki musiało być skomplikowane.

Powtarzałem sobie, że Piątka i jego córka na pewno wiedzą,

co zaszło. Na pewno odwiedził ich facet, za którego mnie początkowo wzięli. Podczas godzin pracy wyobrażałem sobie często, że staram się odszukać ich małą prywatną windę, która zresztą była pewnie obecnie elektronicznie zamknięta; bardzo chciałem zobaczyć jeszcze raz przy dziennym świetle znajdujące się tam maszyny i przedmioty i przyjrzeć się bliżej dwóm pedalom i książce. Arytmiczna melodyjka przywoływała mnie z powrotem na moje ruchome siedzisko. Sala przybrała już znowu zwykły wygląd: rzędy sygnalizatorów, przekaźników sygnałów akustycznych, wszystko funkcjonowało sprawnie, ot, rutyna.

439 342 przyszedł na zmianę dokładnie z wybiciem minuty. Nie miałem mu nic do zakomunikowania, on nie miał żadnych pytań. Wymieniliśmy uśmiech i wyszedłem odpracowawszy te swoje cztery godziny.

W windzie było nas tyłu, że trudno było drgnąć. Wszyscy przeszli potem przed rejestratorem wyjścia i rzucili się pędem, by znaleźć się na ruchomej jezdni. Miałem zamiar też tak postąpić, kiedy usłyszałem czyjś głos.

— Trzyścitrzy.

Odwrociłem się, choć to nie było łatwe, gdyż unosił mnie z sobą tłum. Udało mi się wyrwać. Było warto — oparta o ścianę stała Trzynastka.

Byłem pewien, że spotkanie to zawdzięczam przypadkowi. Ale nie zdążyłem powiedzieć tego głośno. To ona odezwała się pierwsza, tak cicho, że gwar przechodniów i gadanina telekomentatorów zagłuszyła jej słowa. Nachyliłem się nad nią, a ona szepnęła:

— Przyszłam się wytłumaczyć.

Wydawało mi się, że się przesłyszałem, i spytałem:

— Wytłumaczyć się?

Skinęła głową. Usiłowałem zrozumieć, nie udało mi się, więc zacząłem dalej pytać:

— Czy to takie ważne?

Znów skinęła głową. Dalej się zastanawiałem, aż przypomniałem sobie, jak powiedziała, że jeszcze się spotkamy. Wydało mi się, że odgadłem, ale aby się upewnić, nie wymieniając swych przypuszczeń zapytałem:

— Jak się pani udało mnie odszukać?

Trzynastka, nim odpowiedziała, musnęła palcem fiszkę tożsamości, którą nosiłem na piersi.

— W centralnej kartotece. Nic trudnego, jak się zna numer. A przecież znałam pański.

Najpierw wydało mi się, że zmyśla. Ale przypomniałem sobie, kim jest jej ojciec i że logicy mają dostęp do kartoteki. Byłem ciekaw, czy to ojciec udzielił jej informacji.

— Nie — odparła. — Ojciec chciał przejrzeć pana rejestr medyczny, to u niego znalazłam pańskie dosier.

Znów tak jak na początku naszego spotkania przestałem cokolwiek rozumieć. Spytałem: — Po co? — nie precyzując, czy chodzi mi o to, co zrobiła Trzynastka, czy o to, co zrobił jej ojciec; sam tego nie byłem pewien.

Trzynastka uważała pewnie, że czyny ojca są dla mnie czymś ważniejszym, albo po prostu przypuszczała, iż wiem, dlaczego mnie ona szuka.

— Pragnął się co do pana upewnić — wyjaśniła. — Pański rejestr medyczny jest czysty.

Uśmiechnęła się. Odpowiedziałem z przekonaniem:

— Mam nadzieję.

— Sam pan wie — ciągnęła Trzynastka — w jakim to momencie wtargnął pan do mieszkania ojca. A co więcej, twierdził pan, że znalazł się pan tam przez, omyłkę.

Odparłem dość gwałtownie:

— To była szczerza prawda! I dalej nie rozumiem, czemu

przybiegła pani wtedy, aby mnie przed ojcem tłumaczyć.

Trzynastka rozejrzała się: wszyscy ci, co wyszli z pracy, byli już dość daleko, a nowa zmiana znajdowała się od dawna na swoich stanowiskach.

— Muszę z panem pomówić — oznajmiła.

— U siebie w domu?

— Nie, tylko nie u mnie. Jeśli ojciec by pana zobaczył...

— U mnie?

Zaprzeczyła ruchem głowy, wyjaśniając:

— U pana założono ekranowy podsłuch.

Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło. Zaproponowałem, abyśmy się udali do centrum rozrywkowego, ale ona uznała, że byłoby to nieostrożne.

Chodziło więc o coś poważnego. Nie wiedziałem, na czym polega niebezpieczeństwo, ale czułem, że ono istnieje. Moje cztery godziny samotności spędziłem w sali pracy i nie potrafiłem znaleźć w myśli miejsca, gdzie mógłbym być z Trzynastką sam na sam — w naszym świecie nie przewiduje się samotności.

Nagle przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Jeśli udamy się na zapasowe ruchome schody, które odszukałem w czasie katastrofy, na pewno nikogo tam nie spotkamy. Trzynastka nie zgodziła się: jeśli ktoś zauważy, iż byliśmy tam sami, będzie jasne, żeśmy tej samotności szukali. Będzie to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Uśmiechnęła się: znalazła wyjście.

Poszedłem za nią i weszliśmy na ruchomą jezdnię. Było na niej niewielu podróżnych. Niektórzy rozmawiali, inni wpatrywali się w telewiadomości. Nikt na nas nie zwrócił uwagi, a nawet gdyby ktoś nas zauważył i dał o tym znać, nie powinno to obudzić podejrzeń. Było to jedyne miejsce, gdzie mogliśmy się spotkać zupełnie przypadkowo.

Zachowując uprzejmy, lecz obojętny wyraz twarzy rozmawialiśmy półgłosem i szybko: powinniśmy jak najkrócej pozostać razem. Choć zdawałem sobie z tego sprawę, z początku milczałem, a Trzynastka, choć lepiej ode mnie znała niebezpieczeństwo, nie odezwała się pierwsza. Wreszcie spytałem:

— Dlaczego?

Nie rozumiała, że pragnę się dowiedzieć, z jakich to powodów zaczęto mnie śledzić i po co, a także czym wzbudziłem nieufność jej ojca. Zaczęła mówić jeszcze ciszej niż dotychczas, wręcz” szeptać, i to nie robiąc odstępów między słowami, zupełnie jakby mi wyszeptywała jakieś jedno niekończące się słowo, którego nie potrafię już dziś wiernie powtórzyć, ale którego sens był mniej więcej taki:

— Przyszłampanaprzeprosić — zatożęprzypuszczałam —
widzącpanausiebie — żeprzyszedłpansięspotkać —
zmoimojcemżebymuzdaćsprawozdanie — poprostu wzięłam-
panazakogóś — komuojciecizlecił.

Przerwałem jej pytaniem:

— Co zlecił?

Coraz to nowi przechodnie idąc do pracy wchodzili na ruchomą jezdnię, pojedynczo, parami, grupkami, niektórzy rozmawiali, większość wpatrywała się w ścianę, na której pojawiły się telewiadomości. Trzynastka poczuła się pewniej i zamiast mi odpowiedzieć, ona z kolei zadała mi pytanie:

— Przecieżpanwidział — żeoójojciec — pomyślałtosamo-
coja — widzącpana — ajaprzybiegłamżebymupowiedzieć —
żetozewzględnamnie — niechcemupanudzielićodpowiedzi —
niezdzawiłotopana?

Odpowiedziałem: — Owszem — i chciałem dodać: — Ale...
— jednakże Trzynastka przerwała mi:

— Zrozumiałam — żepanmnienieokłamał — że niesłusz-
nietakuwałam — boojciecokazałpanunieufność — tobyłobardzo
niebezpieczne — zrozumiałamże muszępanudopomóc.

Umilkła i dodała innym tonem, cedząc słowa:

— Czy zechce mi pan wybaczyć?

Odpowiedziałem: — Tak, oczywiście — przez chwilę przyglądałem się spikerowi, który ze ściany ogłaszał dzisiejszy program rozrywek, po czym wyznałem, że dalej nie mam pojęcia, o co mnie podejrzewała ani o co podejrzewał mnie .jej ojciec.

Odpowiedziała mi, unikając mego wzroku, że to nieważne, że to drobiazg, powiedziała mi to, co najważniejsze. Teraz mówiła innym tonem: powoli, przerywając, tak jakby szukała słów. Im bardziej wymijająco się zachowywała, tym bardziej nalegałem: chciałem wiedzieć, czym jest to, co nazwała drobiażgiem.

Powtarzałem w kółko: — Za kogo mnie pani wzięła?

Odpowiadała:

— Nie znam go.

Albo:

— Nigdy tego człowieka nie widziałam.

Upierałem się:

— Z czego miał złożyć sprawozdanie?

Trzynastka zamknęła się w sobie:

— To długa historia.

Dalej atakowałem. Ona uchylała się od odpowiedzi. Podniosłem głos. Ona wpatrzyła się w telewiadomości i lekko drgnęła. Komentator ogłosił właśnie:

— Odbywa się obecnie zebranie logików celem przestudiowania nowych faktów, które pozwolą spojrzeć na ewenement z zupełnie innej strony.

Zobaczyliśmy ich na ścianie, najpierw wszystkich razem, potem kolejno, mówili coś, czegośmy nie słyszeli. Ojciec Trzynastki wpatrywał się w nas, jakby starając się nas rozpoznać. Trzynastka szepnęła:

— Zbyt długo pozostaliśmy razem — i zeszła z jezdni, na której staliśmy, i wsiadła na jezdnię jadącą w przeciwną stronę.

Nie usiłowałem jej gonić, dużo bardziej miałem za złe sobie, że nie rozumiem, o co chodzi, niż jej, że nie chce mi tego wytłumaczyć.

Zaprzestano stawiania hipotez.

Komentatorzy zamiast domysłów zajęli się komentowaniem wyrazów twarzy logików, przypisując każdemu uśmiechowi pozytywne znaczenie, a każdemu zmarszczeniu brwi — negatywne. Coraz częściej na ścianach pojawiały się sylwetki dziesięciu mężczyzn, których głosów nigdy nie transmitowano, i ludzie, tak udając się do pracy, jak z niej wracając, studiowali uważnie ich mimikę, przypisywali jej najrozmaitsze znaczenia i oddawali się zapalczystemu dyskusjom. Ci, którzy zaczęli zapominać o ewenemencie uznawszy go za wydarzenie quasi historyczne, znów namiętnie się nim zainteresowali, gdy dano im do zrozumienia, że być może wcale nie w domenie nauk ścisłych należy szukać wyjaśnień.

Dawna terminologia, dawno już zarzucona przez nauki matematyczne, znalazła azyl w mitologii, która posługiwała się dość dowolnym językiem pozwalającym udowodnić wszystko, ale tylko w przybliżeniu. W centrum rozrywkowym mężczyźni i kobiety zamiast przyglądać się komputerom grającym w szachy starali się, każdy na własną modłę, udowodnić, że krótkie spięcie — ale czy naprawdę należy mówić „krótkie”, czy może raczej „długie” — i wielka katastrofa — tu oczywiście „wielka”, ale czy na pewno „katastrofa”? — zostały spowodowane irracjonalnymi powodami. Byli tacy, którzy

odwoływali się do znaków zodiaku i antycznych legend o końcu świata, inni — mniej łatwowierni — odwoływali się do końca Ziemi. Mnie, któremu tak jak wszystkim nie dane było nigdy zobaczyć powierzchni Księżyca, ale któremu udało się dzięki najbardziej nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności rzucić okiem na błękitną planetę, trudno było przysłuchiwać się temu spokojnie i odczuwałem na zmianę to ulgę, to paniczny strach.

Wśród moich znajomych nikt nie był lepiej poinformowany ode mnie, nikt oprócz Trzynastki. Więc należałoby się z nią zobaczyć, poczekać na nią na skrzyżowaniu, tak jak ona czekała na mnie przy wyjściu z pracy, albo jeszcze lepiej — udać się do niej, znaleźć jakiś sposób, aby się do niej dostać; należałoby nie wsiadać do windy, odnaleźć zapasowe schody, które musiały niewątpliwie istnieć. Nie ryzykowałem spotkania z jej ojcem, przecież nie siedział w domu, gdyż cały czas widać było w telewizjach, jak obraduje wraz z innymi logicznymi. Byłem pewien, że uda mi się odszukać mieszkanie 5, obejrzeć jeszcze raz jego kolekcję i pogadać z córką; powtarzałem sobie, że wystarczy się zdecydować i wyruszyć, no i nie wyruszyłem. Obawiałem się podświadomie Trzynastki — ona na pewno musiała znać odpowiedź.

Lepiej było przysłuchiwać się ekspertom, ludziom godnym szacunku, którzy nie wiedzieli nic. Komentatorzy też nie byli dobrze poinformowani, tyle że za to przybierali coraz to bardziej ponure tony, gdyż rzecznik logików ciągle nie miał im nic do zakomunikowania, a sami logicy przybierali coraz to bardziej posępne miny. Może nie udawało im się znaleźć rozwiązania zagadki, a może przeciwnie, odkryli je i wydało im się ono przerażające. Ja miałem powody lękać się jeszcze bardziej niż inni, pamiętałem bowiem dobrze ojca Trzynastki i przesłuchanie, jakiemu mnie poddał.

Nie ja jeden zadawałem sobie nieustannie pytania. 439
342 przyszedł na swoją zmianę o pięć minut za wcześniej za-
miast regulaminowej minuty. Oznajmił:

— Widziałem wczoraj, jak córka 5 czekała na ciebie przy
wyjściu. Więc ty ją znasz?

Po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy pracować w tej samej
sali, zdarzyło się, że o coś mnie zapytał, i ja zresztą nigdy nie
zadawałem mu żadnego pytania. Był tak jak ja T.W., wiedzieli-
śmy jeden o drugim tyle, ile sygnalizowały nasze fiszki, on
nazywał się Czterścідwa ja Trzyścitrzy. Ograniczyłem się więc
do odpowiedzi niebędącej naprawdę odpowiedzią:

— Czemu cię to interesuje?

Przyglądał mi się, jak ustawiam przed pulpitem moje sie-
dzisko, na którym on z kolei miał zasiąść. Spieszno mi było
wyjść: może Trzynastka znów na mnie czeka.

— Przyszło mi na myśl — odpowiedział — że skoro ją
znasz, to możesz wiedzieć coś więcej od nas.

Zrozumiałem, a może tylko wydało mi się, że rozumiem,
co on chce przez to powiedzieć: gdybym to ja zobaczył go w
towarzystwie córki logika, byłbym też pewien, że wie więcej
niż ja o powodach katastrofy. Ciekawe, co by mi on odpowie-
dział będąc na moim miejscu.

Ja odpowiedziałem prawdę:

— Mylisz się, nie wiem nic.

Uśmiechnął się:

— I niczego nie zauważyłeś na jezdniach?

Oświadczyłem:

— Czołem, Czterścідwa!

A on odparł:

— Czołem, Trzyścitrzy — po czym usiadł na moim miej-
scu, a ja wyszedłem.

Wychodząc z windy spojrzałem odruchowo w tę stronę, z

której wówczas pojawiła się Trzynastka. I poczułem zawód połączony ze zdziwieniem, że jej nie widzę. Pewnie wyobrażałem sobie, że jednak wróci, aby mi wszystko wyznać. Tłum tłoczył się na ruchomej jezdni. Poszedłem w jego ślady.

W telewiadomościach nie było dziś nic ciekawego: znane nam już obrazy otchłani podksiężycowej, procesy produkcyjne nowej drażetki, której nazwy ani zastosowania już dziś nie pamiętam. Znalazłszy się na skrzyżowaniu, na którym powinienem przesiąść się na inną jezdnię, wszedłem na chodnik wstępujący i kiedy z góry spojrzałem na tłum ludzi sunących jezdnią, nagle zobaczyłem oficerów medycznych.

Oczywiście w godzinach tłoku spotyka się ich często w najbardziej uczęszczanych miejscach, ale pojawiają się pojedynczo, jedni stoją oparci o ścianę, inni jadą jezdnią, nie rozglądając się specjalnie, nauczeni długim doświadczeniem, że choć muszą krążyć wśród ludzi, nie staną przed żadnym trudnym zadaniem, że rzadko zdarzy się jakiś nagły wypadek: trudno sobie wyobrazić, aby jakaś kobieta zaczęła nagle rodzić na ruchomej jezdni, aby pojawił się na niej jakiś uciekinier z domu zdrowia. Dziś wyglądało to inaczej. Białe fartuchy stały parami, nadstawiając ucha i pilnie wpatrując się w tłum, oficerowie medyczni byli jak zwykle gotowi do interwencji.

Udałem się w dalszą drogę i zauważyłem, że część oficerów zbliża się do grup przechodniów, by przysłuchiwać się dyskusjom, lub idzie parę kroków, by wyprzedzić jakąś parę i odwróciwszy się do niej plecami słyszeć rozmowę. Ich białe fartuchy odznaczały się nieskalaną bielą, a przybory lekarskie znajdowały się w znakomitym stanie; widać było, że tylko oczekują rozkazu, aby porzuciwszy postawę wyczekującą zacząć czynną działalność medyczną.

Przyszedł mi na myśl Czterścідwa i jego ostatnie pytanie: „I nic nie zauważyłeś na jezdniach?” Czy właśnie to miał na myśli? Niewątpliwie. Ale co to miało wspólnego z ojcem Trzynastki? Czego to miał nadzieję ode mnie się dowiedzieć? Co już wiedział, a co podejrzewał? I dlaczego nie podzielił się ze mną przypuszczeniami? Mógłbym zawrócić, poczekać, aż wyjdzie, i wypytać go lub zaczekać do jutra i zrobić to w sposób bardziej dyskretny.

Po zastanowieniu zszedłem z trotuaru, aby ruszyć w przeciwną stronę.

I tam stały na straży białe fartuchy. Zamiast się zatrzymać przed windami obsługującymi moje miejsce pracy dałem się zawieść o jakieś trzy godzinniki dalej.

I starając się wyrwać z tłumu, zacząłem na chybił trafił szukać tamtej drogi. Przy świetle wszystko wróciło do normy, miałem wrażenie, że rozpoznaję miejsce, którego przecież nigdy nie widziałem. Poszedłem w stronę galerii, na początku której, znajdowała się niewielka winda. Jak przewidziałem, wejście do niej było elektronicznie zamknięte. Wszedłem na galerię, która spiralą wspinała się ku górze; ileż to razy mało brakowało, abym tu upadł! Teraz maszerowało mi się wygodniej, nie musiałem uważać, gdzie stąpam, i przez cały czas zastanawiałem się, co powiem, jeśli zastanę w domu 5. Że jeszcze raz umówiłem się z jego córką?

Mijałem właśnie trzeci zakręt, gdy usłyszałem kobiecy głos i rozpoznałem Trzynastkę.

Zapytywała, po co przyszedłem: a więc widziała mnie. Zrobiłem jeszcze parę kroków i natknąłem się na niewidzialną przegrodę. Zawołałem:

— Muszę z panią pomówić!

Odparła:

— Powiedziałałam panu przecież, że nie powinien pan tu przychodzić.

A ja na to:

— Musiałem przyjść.

Zapanowało milczenie. Dotknąłem palcem przegrody fotoelektrycznej: tak, nie znikła. Trzynastka była obecna tylko jako głos. Gdy milczała, przestawała dla mnie istnieć. Zapytała:

— A co pan powie, jeśli ktoś pana u mnie zobaczy?

Powinna była sama wiedzieć. Aż uśmiechnąłem się odpowiadając jej:

— Tak jak za pierwszym razem — że umówiłem się z panią.

Przypuszczam, że zastanawiała się chwilę, może nawet obserwując mnie bacznie na ekranie swego dialogera. Znów dotknąłem palcem przegrody. Znikła. W ścianie pojawił się jasny otwór. Trzynastka zawołała:

— Niech pan wsiądzie do windy!

Zachowałem w pamięci moją pierwszą wizytę i to błękitne nieznanne mi światło, które spowijało wszystkie przedmioty. Teraz widać je było wyraźniej w elektrycznym blasku dnia księżycowego i wyglądały jeszcze bardziej zagadkowo. Trzynastka stała na środku pokoju, uśmiechała się z roztargnieniem i czekała, bym do niej podszedł.

— Tak? — powiedziała i to „tak” było pytaniem.

Mógłbym jej wspomnieć o Czterścídwa i o naszej krótkiej rozmowie. Ale wołałem spytać ją, czy wychodziła w ciągu dnia i czy niczego nie zauważyła. Wydało mi się, że szuka czegoś w pamięci. Dodałem:

— Na jezdniach...

Trzynastka znów zastanawiała się chwilę, nim odpowiedziała.

— Ale czego?

Zapytałem dalej:

— Nikogo pani nie spostrzegła?

— Nie — odpowiedziała — nikogo, kogo bym знаła.

I ze zdziwioną miną:

— Pan tam był? Zauważył mnie pan?

Pomyślałem, że chyba wydawało mi się tylko, iż wśród tłumu widzę wszędzie oficerów medycznych: pewnie nie wyzbyłem się jeszcze wszystkich chorobliwych następstw wielkiej katastrofy, należałoby więc raczej uciec się do środków uspokajających niż pozwalać, aby przed oczyma defilowały mi nieistniejące białe fartuchy. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Odruchowo spojrzałem na czarną maszynę. Spytałem:

— Co to jest?

Trzynastka nie okazała ani zdziwienia, ani urazy. Przeciwnie, uśmiechnęła się, choć był to uśmiech dość blady. Pewno pomyślała sobie, że przyszedłem po to, aby ją jeszcze raz zobaczyć. Podeszła do maszyny i podniosła wieko. Wewnątrz zobaczyłem rząd wydłużonych prostokątów, niektóre były czarne, inne — dłuższe — lekko żółtawe i tych było znacznie więcej. Podeszedłem także i zacząłem się w nie wpatrywać. Wydaje mi się, że Trzynastka nie przestawała się uśmiechać. Dotknęła palcem jednego z prostokątów, z maszyny wydobył się jakiś dźwięk, wypełnił pokój i trwał.

— To motyl — oznajmiła Trzynastka.

Nie znałem tego słowa.

— Wiatr — dodała.

Znałem tylko zbliżone do tego historyczne wyrażenie: wiatr słoneczny.

— Niczego pan nie czytał? — spytała Trzynastka.

Tak jak wszyscy wyuczyłem się w szkole na pamięć trzydziestosekundowych definicji stu arcydzieł ziemskich, ale już je zapomniałem, nigdy bowiem nie były mi potrzebne i nigdy nie wzbudziły mego zainteresowania. Już chciałem oznajmić Trzynastce, że znam najlepszy opis trójkąta miłosnego, a

także prehistorycznego obrazu przyszłej nauki. Pamiętam, że chodziło o Annę Kareninę i o Fausta, ale zapomniałem, czy są to nazwiska autorów, czy też tytuły książek, wołałem więc milczeć. Dziewczyna oznajmiła:

— To jest muzyka.

Usłyszany przeze mnie dźwięk nie miał nic wspólnego z mieszaniną odgłosów i brzmień, które służyły mi za stymulatory w miejscu pracy. A więc ten instrument pochodzi z czasów, kiedy muzyka była wytwarzana ręcznie! Zapytałem:

— Umie się pani tym posługiwać?

Odpowiedziała:

— Trochę. Matka umiała.

Wskazałem — nie dotykając ich — na podłużne prostokąty.

— Jak się to nazywa?

— Klawiatura.

Wydało mi się to śmieszne. Zauważyłem:

— Tak jak w tych dawnych komputerach, do których pamięci wprowadzano wiadomości właśnie via klawiatura. A to co?

— Klawisz.

— Znów coś z zakresu terminologii informatyki.

Przesunęła palcem po białych i czarnych klawiszach.

I wydało mi się, że banieczki dźwięku uniosły się w powietrze i popłynęły przed siebie.

— Dlaczego pan przyszedł? — zapytała cichutko Trzynastka.

Nie odpowiedziałem, wsłuchany w dźwięki unoszące się nad naszymi głowami.

— Czy chce pan — spytała dziewczyna — obejrzeć prawdziwą książkę?

Oglądałem ją już w blasku błękitnej poświaty Ziemi. Tak, to była ta książka nieznanego mi autora. Spytałem, czy ją czytała. Odparła, że nie; książkę zamknięto w sztucznej

próżni, ostrożniej było nie dotykać jej, aby nie rozpadła się w proch.

— Niech się pan przyjrzy — zaproponowała. — To prawdziwy papier, na całym Księżycu jest najwyżej dwanaście książek.

Miała zadowoloną z siebie minę, cieszyła ją ta kolekcja niezwykle przedmiotów przywiezionych z Ziemi w czasie, kiedy jeszcze tam istniały, czyli przed początkiem naszej ery. Pomyślałem sobie jednak, że nie przyszedłem tu po to, aby zwiedzać muzeum, że to, co widziałem na jezdniach, nie było wytworem mojej wyobraźni, i zawołałem niemal:

— Wychodziła dziś pani?! Czy widziała pani białe fartuchy?!

Sospępiała i zrozumiałem, że i ona zauważyła to samo co ja i Czterścidwa. Spytałem: — To taka poważna sprawa?

— Bardzo poważna.

Wydawało mi się, że rozumiem: przez ojca dowiedziała się, jakie były przyczyny katastrofy. Powtórzyłem:

— Bardzo poważna...

Już się nie pytałem, tylko potwierdzałem. Trzynastka milczała. Znów zabrałem głos:

— A nie mogłaby mi pani opowiedzieć, co się stało?

Uśmiechnęła się:

— Dowie się pan. Dowie się pan wkrótce. Wszyscy się dowiedzą. Nie uda się panu tego uniknąć.

Próbowałem zrozumieć. Ona wyraźnie z kogoś podkpiwała. Ze mnie, z kogoś innego, może z samej siebie? Ciągnęła dalej:

— Podniesie pan głowę, spojrzysz na ścianę i telewiadomości będą mówiły tylko i wyłącznie o tym, wytłumaczą wszystko, dostarczą długą, szczegółową listę wydarzeń i po raz pierwszy sami logicy pofatygują się, by osobiście przemówić

do ludzi i wytłumaczyć im, jaka to poważna sprawa.

Nie przestając mówić, wygrywała jednym palcem zabawą, szybciotką melodyjkę, niby akompaniament do swoich słów.

— To bardzo stara piosenka — zauważyła, tak jakby sądziła, a w każdym razie udawała, że sądzi, iż o to właśnie ją pytałem. — Zachował się początek i parę słów. Mowa w niej o świetle Księżycy i o napisaniu słówka. Ale nikt nie wie, o jakie słowo chodzi.

Próbowałem zgadnąć, co chce mi dać do zrozumienia. Pomyślałem na głos:

— Tak mówi piosenka? Że istnieje słowo, którego nikt na Księżycu nie zna?

— Ależ nie — odpowiedziała — po prostu nie odnaleziono całej piosenki, zaledwie parę taktów i dwie linijki tekstu, któremu brak środka.

— Dwie linijki?

— *W świetle Księżycy i by napisać słówko.*

Teraz już byłem pewien, że Trzynastka nie żartuje. Stara się pomóc mi w znalezieniu odpowiedzi na moje pytanie, nie mówiąc jednak niczego wprost. Nieprzypadkowo podkreśliła fakt, że logicy przemówią do nas osobiście. Powody katastrofy nie dlatego były czymś groźnym, że ją wywołały, ale dlatego, że zdolne są wywołać następną, że jest ona nie do uniknięcia i może się okazać ostateczną. Było to oczywiste, a gdybym jeszcze żywił jakieś wątpliwości, wzmożona ilość służby zdrowia na jezdniach była najlepszym dowodem: kiedy ogłosi się, że zbliża się ostatnia godzina, tłum wpadnie w histerię i szaleństwo.

Trzynastka nie spuszczała oczu z klawiatury, a usta drżały jej w melancholijnym uśmiechu. Odniosłem wrażenie, że mogę jej się ze wszystkiego zwierzyć. Powiedziałem:

— Teraz rozumiem. Pani ojciec musiał panią uprzedzić. Deklaracje logików, obecność białych fartuchów. Rozumiem.

Trzynastka zadrzała i zawołała:

— Co?

Nie miałem ochoty wdawać się, w szczegółowe wyjaśnienia i ograniczyłem się do krótkiej odpowiedzi:

— To, co nas czeka.

Przyjrzała mi się uważnie.

— Zatem obecnie wie pan już, czemu byłam pewna, że przyszedł pan do ojca. — I dorzuciła, nie zostawiając mi czasu na odpowiedź: — Nie dziwi się więc pan, że odniosłam się do pana pogardliwie, skoro wzięłam pana za tamtego człowieka, a wiedziałam, na czym polegało jego zadanie.

Znów ogarnęły mnie wątpliwości, ale ona ciągnęła dalej, mówiąc coraz to szybciej:

— Zdał pan sobie sprawę, że ojciec wziął pana za kogoś innego, za tego, komu powierzono tamto zadanie. Miał on przyjść tutaj, aby nikt się o tym nie dowiedział, aby nie było świadków. Wzbudził więc pan nieufność ojca, gdy zorientował się, że nie jest pan człowiekiem, na którego czeka, i gdybym nie zainterweniowała, nie opowiedziała tej historyjki o naszej rzekomej randce, wysłałby pana do domu zdrowia, bowiem albo przysłano tu pana, aby podsłuchał pan rozmowę między ojcem a jego gościem, albo rzeczywiście, tak jak pan utrzymywał, pojawił się pan tu przypadkiem, na skutek katastrofy, a w takim razie także istniało ryzyko, że któregoś dnia będzie pan niewygodnym świadkiem.

Umilkła i spojrzała na mnie jak ktoś, kto już wszystko wyznał i nie ma nic do ukrycia.

Całkiem się zagubiłem: nic nie zrozumiałem z tego jej zdyszanego wyznania. Wszystkie elementy z osobna były dla mnie dostępne, ale w tej chwili w jej ustach zdawały się

oznaczają coś innego, a całość wydała mi się pozbawiona sensu.

Powiedziałem: — Trzynastko — aby zrozumiała, że wymagam jej imię, gdyż obdarzam ją całkowitym zaufaniem i nie zamierzam stawiać dalszych pytań; kiedyś wreszcie i tak dowiem się, czy słynne „dlaczego” było czymś bardzo groźnym lub czy ma się nim stać; lepiej chwilowo skończyć z rozwiązywaniem zagadek. Trzynastka dotknęła palcem klawiszy, ale do mnie dopiero po jakimś czasie dotarło, że dalej wygrywa tę samą piosenkę. Melodia była podobna, ale rytm inny, dźwięki nie brzmiały już śmiesznie i szybko, unosiły się powoli i trwały w powietrzu. Zapytałem:

— Wciąż to światło Księżycy?

Odpowiedziała: — Tak — na chwilę przestała grać, a potem znów rozległy się dźwięki brzmiące jak marsz pogrzebowy.

Zapytałem:

— Co to za słowo?

Odpowiedziała:

— Wymieniłam wiele słów, musi je pan sam ułożyć sobie w jedną całość.

Zadałem wszystkie przygotowane uprzednio pytania, nie byłem mądrzejszy niż przedtem, a jeżeli Trzynastka znała jakieś inne odpowiedzi, to zachowała je dla siebie. Powiedziałem:

— Może do następnego razu?

Odparła:

— Może.

Skierowałem się ku wyjściu, odprowadziła mnie wzrokiem, nie zdejmując ręki z klawiatury. W momencie, kiedy miałem zniknąć, rozległ się jeden niski akord. Przystanąłem, a ona szepnęła: — Niech pan uważa! — i równocześnie zamknęła wieko instrumentu.

Do dziś nie przestaję sobie robić wyrzutów, że niczego nie odgadłem, że nie zmusiłem Trzynastki, aby mi wszystko po kolei wyjaśniła. Choć rzeczywiście opowiedziała mi niemal wszystko: i ona nie знаła wówczas całej prawdy. Wielu rzeczy dowiedziała się lub domyśliła i pewnie zdeformowała je — częściowo ze względu na przywiązanie do ojca, a częściowo ze względu na swą własną prawość. O ile mi wiadomo, nie miała przyjaciół, wszyscy jej znajomi należeli do tego samego wąskiego kółka. Gdyby się komuś z nich zwierzyła, zaraz by się to rozeszło, każda rodzina podjęłaby przeciwko niej odpowiednie kroki, nie wyłączając samego 5, gdyż wiedziałby, że w przeciwnym razie i jego będzie się podejrzewać o chorobę. Trzynastkę poddano by leczeniu psychoterapeutycznemu i wszelkie jej próby zaalarmowania opinii spaliłyby na panewce.

Cóż więc mogłaby zrobić? Wbiec na ruchomą jezdnię w porze, gdy ludzie wychodzą z pracy, i przemówić do tłumu? Przecież tenże tłum, słysząc, że jakaś młoda kobieta wygłasza podobne niedorzeczności, natychmiast wezwałby na pomoc pierwszego napotkanego oficera medycznego.

To, że pojawiłem się u niej w chwili katastrofy, wydało jej się cudownym zrządzeniem losu. Przychodziłem z innego świata, nie wiedziałem nic, niczego nie oczekiwałem: mogła obdarzyć mnie zaufaniem. Ale ja nie zdawałem sobie

wówczas z tego sprawy. Wszystko, co mówiła Trzynastka, wydawało mi się niejasne, dotarło do mnie zaledwie parę słów, niewiele bardziej wyraźnych niż ta plamka światła na końcu korytarza, ku której dążyłem po omacku w dzień naszego pierwszego spotkania. Nikomu więc o tej rozmowie nie wspomniałem.

Miałem na to wielką ochotę następnego dnia, gdy Czterściddwa pojawił się, by mnie zmienić, ale nagle uprzytomniłem sobie, że musiałbym mu opowiedzieć wszystko ze szczegółami, a choć szczegóły znałem, nie wiedziałem, na czym polega owo „wszystko”.

Aby nie zapytał mnie tak jak poprzedniego dnia o Trzynastkę, pośpiesznie zadałem mu pytanie, czy na jezdniach dalej widać tyle białych fartuchów.

Skinął głową, dodając:

— A więc też to zauważyłeś.

Powtórzyłem jego gest, mówiąc:

— Zastanawiam się, czemu.

— Ja także — przyznał Czterściddwa. — Bardzo chciałbym się tego dowiedzieć.

— Tak samo jak ja — oświadczyłem i wyszedłem, tym razem bowiem nie przyszedł o pięć minut wcześniej, zjawił się według regulaminu na minutę przed porą rozpoczęcia pracy.

Wszystko wyglądało tak jak zwykle. Udający się do pracy ludzie opowiadali sobie o strapieniach domowych i nielicznych projektach; przechodząc przed kontrolnymi aparatami odsłaniali swoją fiszkę tożsamości, aby ich numer został zarejestrowany przez pamięć komputerów. Ci, co wychodzili z pracy, wykonywali ten sam ruch, tyle że patrząc gdzieś przed siebie; milczeli, pozwalając błąkać się swoim myślom. Wszedłem na jezdnię.

Coś musiało zająć. Rozejrzałem się za białymi fartuchami: ani jednego. Wszyscy milczeli, zadzierając do góry głowy. Na

ścianach wygaszono telewiadomości, tylko co chwila pojawiała się światła podobne temu, jakie wydostaje się z tuby alarmowej komputera, a towarzyszyła mu krótkie wycie syren.

To się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Niemniej był to sygnał, którego znaczenia uczyliśmy się w szkole, i gdybym w dzień katastrofy zobaczył ten sygnał w mojej sali pracy, wiedziałbym od razu, że zbliża się nieszczęście. Pomyślałem o słowach Trzynastki: najgorsze jest nie to, co się stało, tylko to, co nastąpi.

Tuż koło mnie ktoś szepnął:

— Myślicie, że to to?:— nie precyzując, o co mu chodzi.

Nikt nie odpowiedział, wreszcie ja zdecydowałem się:

— Niewykluczone.

Nie wiem, czy moi sąsiedzi mnie dosłyszeli. Nikt nie zareagował. Na ścianie coraz to pojawiał się sygnał świetlny przy wtórze wycia syren. Wspiąłem się na palce — nigdzie ani jednego białego fartucha. Całą policję medyczną zgromadzono widać gdzie indziej, pewnie tam, gdzie oczekiwano katastrofy.

Chciałem się o to zapytać, ale wiele głosów naraz przerwało mi: — Cii!

Zbliżyliśmy się do skrzyżowania, gdzie powinienem był się przesiąść. Wszedłem na biegnący pod górę trotuar. Z góry widziałem dwie podwójne jezdnie krzyżujące się jedna nad drugą i oddalające w cztery strony świata. Wszędzie pełno było ludzi, ale nadal nie było widać ani jednego białego fartucha. Pomyślałem sobie, że zaraz stanie się to, co stać się musi, i zgubię się w ciemnym, znieruchomiałym świecie. Ale zamiast pobiec, aby szybciej znaleźć się na swojej jezdni, wpatrzyłem się w umieszczony nad skrzyżowaniem godzinnik, wymieniający godziny, minuty i sekundy — zupełnie tak,

jakbym chciał się dowiedzieć, kiedy zacznie się wielka katastrofa, która zatrzyma i zniszczy czas.

I wtedy zaczęło się. Nie zapadły ciemności, nie nastał bezruch, wręcz przeciwnie. Wszystkie ściany rozświetliły się. Wskoczyłem na zstępujący chodnik, by znalazłszy się na mojej jezdni, wpatrzeć się w telewizyjność.

Spotkał mnie głos, który wolno obwieszczał:

— Ważna wiadomość, bardzo ważna wiadomość.

Ukazali się logicy. Byli obecni wszyscy, siedzieli koło siebie, niewzruszonym wzrokiem wpatrując się w tłum. Milczeli, ale to milczenie pełne było ukrytych znaczeń. Poszukałem 5, siedział na swoim zwykłym miejscu, z tym samym wyrazem twarzy co inni. Na jezdni słychać było oddech ludzi: wiedzieli, że jak zwykle, gdy chodzi o sprawę pierwszorzędnej wagi, ukaże się rzecznik i poda do publicznej wiadomości orzeczenie Rady Logików. Tymczasem podniósł się 8.

— Ustaliliśmy przyczyny wielkiej katastrofy — oznajmił.

Wszyscy naokoło przełknęli powietrze i nie ośmielili się odetchnąć.

8 mówił dalej tonem stanowczym, lecz powolnym. Dochożenia trwały długo, gdyż wchodziło w grę wiele możliwości i należało przestudiować wszystkie. Zgromadzone w centrach analitycznych przesłanki przedłożono mózgom centralnym, a dzięki telekontaktom komputery filozofomatematyczne nawet najbardziej od siebie oddalone i przeciwstawne wymieniały informacje i programy. W ten sposób przestudiowano i odrzucono wszystkie hipotezy.

Wideosłuchacze starali się nie uronić ani jednego słowa, ciągle oczekując objawienia. Logik wymienił wszystkie hipotezy badawcze, aby niczyjej uwadze nie uszedł fakt, że żaden pojedynczy wypadek, który by się zdarzył w jednym punkcie,

nie mógłby wywołać katastrofy sieci elektrycznej: spostrzeżono by go w porę i skorygowano błąd. 8 umilkł i spojrzął na kolegów: kolejno, przyzwalającym ruchem skłaniali głowy. Spojrzał nam więc prosto w oczy.

— Wielką katastrofę — oznajmił — spowodowała psychoepidemia.

Na jezdni rozległo się jedno wielkie westchnienie zdumienia i konsternacji. Zналиśmy ten termin, wbito go nam do głowy w szkole podczas kursu skróconej historii. Psychoepidemia wybuchła na początku pierwszego roku naszej ery, gdy ogłoszono koniec Ziemi i nasi przodkowie przekonani byli, że i ich czeka zagłada. Biochemia, psychoterapia były jeszcze w powijakach i epidemia, która objawiała się w najróżniejszy sposób, zdzięsiatkowała mieszkańców wnętrza Księżyca; głównie były to samobójstwa. W ciągu pierwszego stulecia epidemia parokrotnie powracała, ale w coraz to słabszym nasileniu. Dwie szkoły naukowców szukały po omacku środków zaradczych, zwalczając się nawzajem: psychoanalitycy szydzili z psychochemików, a ci z kolei ośmieszali ich, ile wlezie. Nikt już teraz nie pamięta, o co się nawzajem oskarżali, a psychoepidemię zналиśmy dotychczas tylko z nazwy.

Niemniej wystarczyło nam usłyszeć z ust 8, jaka nas spotkała klęska, aby wpaść w panikę. Tłum zaczął krzyżeć. Wszyscy krzyżeli równocześnie, nie słuchając się nawzajem. Logicy siedzieli nieruchomo. 8 podniósł rękę. Zupełnie jakby nacisnął na niewidzialny guzik: nastąpiło milczenie.

— Epidemia wybuchła równocześnie w wielu sektorach pracy — oznajmił — i to właśnie spowodowało wielką katastrofę. Ale był to dopiero prodrom.

Znów zamilkł, aby do każdego z nas dotarł ten termin merytoryczny i aby — jeśli ktoś go nie znał — mógł poinformować

się u sąsiada. Wiele osób zaczęło szeptać. Potem 8 ciągnął dalej:

— Prawdziwa psychoepidemia, pierwsza od 94 roku, rozpocznie się lada moment. Nie dziwcie się, że będą ofiary, nie dziwcie się przede wszystkim, iż odwołamy się do drakońskich metod, aby jak najszybciej położyć jej kres.

Twarze stojących wokół mnie ludzi wyrażały równocześnie strach i wdzięczność. Wszyscy z góry zdecydowani byli okazać posłuszeństwo i zdawali się oczekiwać rozkazów. Ale 8 wraz z resztą logików umilkli, a na ścianach znów zaczęły migotać światełka przy wtórze syren. Obecnie wszyscy już rozumieli, co to oznacza, czy też raczej zdawało im się, że rozumieją, tak jak mnie zdawało się, że rozumiem słowa Trzynastki.

Wielka katastrofa była oczywiście czymś groźnym, ale prawdziwa groza miała rozpocząć się teraz. Trzynastka zrobiła, co mogła, by mnie uprzedzić; zdając sobie jednak sprawę, że niebezpiecznie byłoby wyjawić tajemnicę przed wyznaczonym czasem, zdradziła mi tylko część, mając nadzieję, że resztę odgadnę sam. Jej motywy nie były dla mnie jasne. Przychyłość, życzliwość? A może litość? Możliwość serdeczności? A może wszystko naraz plus coś więcej? Wymieniałem sobie wszystkie możliwe niuanse uczuć, nie wdając się w głębsze rozważania. Traktowałem to jako jeszcze jedną przesłankę, którą wprowadzam do pamięci, aby od razu uzyskać obraz informacyjny: zachowywałem się jak mierny komputer, pracujący szybko, lecz niedokładnie. Nawet przez chwilę nie zastanowiło mnie, że podanej obecnie oficjalnie przyczyny katastrofy nikt nie mógł znać w momencie, gdy się ona wydarzyła.

Od chwili zniknięcia logików upłynęło już parę minut. Podniosłem głowę. Ruchoma jezdnia dowiozła mnie już niemal do skrzyżowania. Pod godzinnikami stały białe fartuchy.

Oficerowie medyczni milczeli, nie zadawali pytań, nikomu się nie przyglądali. Ludzie szli naprzód, a oficerowie spoglądali na ich fizyki tożsamości. Od czasu do czasu padał rozkaz:

— Proszę zejść z jezdni.

Zaczepony schodził, czekał chwilę, aż oficer zdezynfekuje mu nadgarstek i zrobi zastrzyk, po czym wracał na jezdnię i odjeżdżał, a rezystrator dyktował do magnetofonu jego numer:

— 428 799... 567 982... 657 222...

Parokrotnie pacjent pytał oficera, czy nie powinien za jakiś czas poddać się następnemu zastrzykowi, pewna kobieta chciała się koniecznie dowiedzieć, czy choroba jest zaraźliwa, większość osób bez słowa przyśpieszała kroku, zresztą tak czy owak białe fartuchy były zbyt zadęte, aby wdawać się w rozmówki. Rozpoczęła się kampania profilaktyczna.

Oficer spojrzął na mój numer nic nie mówiąc i oddaliłem się. Stojący obok mnie nieznamy pytał:

— W jaki sposób odróżnia się ludzi najbardziej podatnych na zarażenie?

— Zrobili panu zastrzyk? — zapytał ktoś z boku.

— Nie, dlatego się właśnie pytam: boję się, by o mnie nie zapomnieli.

— A centralna kartoteka? Pańskie medyczne akta są najlepszą wskazówką. Wystarczy znać pana numer... — przechodząc wdał się w szczegółowe objaśnienia. Nagle spochmurnał i spytał: — A co zrobi się z tymi, którym szczepionka się nie przyjmie?

Nie on jeden się nad tym zastanawiał. W moim centrum żywienia, gdzie zatrzymałem się w drodze powrotnej na kwaterę, było niewielu gości i trzymali się z dala od siebie. Wszyscy zbliżali się kolejno do dystrybutora, otrzymywali należne sobie tubki i odchodzili w kąt, by je możliwie najszybciej skonsumować i odejść. Liczni byli ci, którzy tego

dnia zdecydowali się zrezygnować z pożywienia i zamknąć się w domu.

Tak samo wyglądały centra rozrywkowe. Teleobrazy i teległosy nie przyciągały niczyjej uwagi, gry zręcznościowe i gry pamięci nie zostały nawet wprawione w ruch. Parę osób, które widać nie czuło się na siłach, by znieść samotność domowych pieleszy, i wyszło szukać znajomych twarzy, milczało; wydawały się one odizolowane i nieobecne duchem. Postąpiłem tak samo. I ja przyszedłem tu w nadziei, że spotkam kogoś znajomego, zobaczyłem kilka nieobcych mi twarzy, ale ograniczyliśmy się do wymiany uśmiechów lub gestów.

Kontakt fizyczny nie był wprawdzie zaraźliwy, chyba że reakcja skóry w drodze wyjątku wywołałaby reakcję nerwów, za to słowo czy spojrzenie nawet docierając do nas z dużej odległości mogły przenieść chorobę. Wymieniano wypadki, kiedy ktoś zaraził się rozmawiając przez dialoger: środki audiowizualne sprzyjały rozprzestrzenianiu się zarazy.

Wiele osób wierzyło, że izolacja uchroni je od psychoepidemii. Jednakże nie było to możliwe, aby odizolowali się wszyscy mieszkańcy naszej planety, zresztą choćby się to nawet dało praktycznie wykonać, nikt nie mógł przewidzieć konsekwencji. Telewiadomości, które bez przerwy udzielały szczegółowych informacji, powiadomiły nas o licznych przypadkach, kiedy ktoś uległ zarazie w samotności. Wszystkie osoby, których nieobecność stwierdzono czy to w pracy, czy to w centrach rozrywkowych i wyżywieniowych, i zasygnalizowano władzom medycznym, odnaleziono w ich kwaterach w stanie bardzo poważnym: choroba udzielała się także drogą samotnych medytacji i ci, którzy wybrali izolację, by zachować w pełni swe władze umysłowe, często pierwsi ulegli zarażeniu. Policja medyczna systematycznie odwiedzała kwatery, by przebadać tych, co dobrowolnie się odizolowali. Wielu

chorych ocaliła, ale była też jedna ofiara: ktoś przed ich przybyciem zdążył już popełnić samobójstwo.

W ogóle zdarzyło się kilka samobójstw, co wywołało pewne zmiany w postawie ludzi. Zamiast szukać samotności wiele osób starało się jej unikać, przebywać cały czas w towarzystwie innych. Jeśli dobrze pamiętam, zachowywałem się tak jak wszyscy i robiłem, co mogłem, by nie oddawać się rozmyślaniom. To nie takie proste — zdobyć się na obojętność i wyzbyć ciekawości. Całe godziny spędzałem w moim centrum rozrywkowym, oddając się grom algebraicznym i logicznym, starając się rozwiązywać antyrównania albo układać tabele prawdopodobieństwa.

Kiedy wyczerpany, z pustą głową, wracałem do domu, brałem środek nasenny i kładłem się, ale mimo to zaraz zaczynałem się zastanawiać, co Trzynastka miała na myśli nakazując mi w chwili pożegnania: „Niech pan uważa”. I rozbudzony powtarzałem sobie, że na pewno chodziło jej o to, abym tak jak wszyscy uważał, by nie poddać się psychoepidemii, że nie była to uwaga osobista. No dobrze, myślałem zaraz, ale dlaczego rozległ się ten niski akord i dlaczego wypowiedziała te słowa specjalnym tonem, tak jakby chodziło jej tylko o mnie, jakby to mnie szczególnie z nieznanymi mi powodów zagrażało jakieś niebezpieczeństwo — na pewno związane z czymś innym, ale dotyczące mnie i tylko mnie. I tak rozmyślałem o tym w kółko, nie zważając na bezsenność, która gotowa była przynieść z sobą chorobę, o ile w porę nie zwrócę się do białych fartuchów.

W najwyższych rejonach wnętrza Księżyca, gdzie mieszkali wielcy technicy, zachorowało bardzo niewiele osób. Już więcej wypadków zdarzyło się w rejonach średnich, zamieszkałych przez T.W., techników wyspecjalizowanych. Epidemia szalała zaś w rejonach najniższych, gdzie niemal wszyscy T.N., technicy niewykwalifikowani, zostali zaszczepieni i musieli wychodząc z pracy zgłaszać się do oficera medycznego, który badał ich i wręczał następnie lekarstwa. Policji medycznej było tam więcej i zachowywała większą czujność niż w innych rejonach, a przed wszystkimi zakładami pracy spacerowali sanitariusze.

Czterścідwa, który mieszkał o rejon niżej ode mnie, często jeździł najniżej położonymi jezdniami i to on właśnie opowiedział mi, że T.N, przestali się odzywać. Zadziwił zaś go fakt, że nie robili wrażenia ludzi pogrążonych w rozmyślaniach czy wspomnieniach. Wręcz przeciwnie, rzucało się w oczy, że o niczym nie myślą, nie gnębi ich żadne wspomnienie.

— Wszyscy zachowują się łagodnie i uprzejmie — oznajmił mi Czterścідwa — są gotowi do wszelkich usług: sprawiają wrażenie dzieci.

Myślałem, że przesadza, ale opowiedział mi, że poprzedniego dnia na jezdni nie mógł się powstrzymać i zadał komuś jakieś niedyskretne pytanie. T.N, natychmiast mu odpowiedział,

co więcej, zaczął mu opowiadać całe swe życie wraz z najintymniejszymi szczegółami, nie pomijając też życia swych kolegów z pracy, i mówił dopóty, dopóki Czterścidwa mu w końcu nie przerwał, i zauważyłem, że na pewno nie jest to typowe, że jego rozmówca był już pewnie zarażony i wkrótce znajdzie się w domu zdrowia. Czterścidwa potrząsnął przecząco głową.

— Możesz mi wierzyć — powiedział cicho. — Oni wszyscy tak się zachowują.

— Jak idioci?

— Z naiwnością dzieci. To bardzo poważna sprawa.

Pomyślałem o Trzynastce. Przecież nie mogła już wtedy wiedzieć, co będzie się działo w głowach ludzi, a jeżeli jej ojciec to przewidywał, to czemu mnie ostrzegła? Żeby oszczędzić mi wyjawienia przed światem jakiejś haniebnej tajemnicy? Ale o jakiej tajemnicy myślała, skoro ja nie znałem żadnej?

Na próżno powtarzałem sobie jej ostatnie słowa, nadal nie wiedziałem, przed czym mam się mieć na baczności.

Ludzie wychodzący z pracy gromadzili się jak zwykle w windzie, a potem na jezdni. Może rzeczywiście byli uprzejmiejsi i mniej rozmowni niż zwykle.

Byłem bliski tego, aby zdając się na los szczęścia, rozpocząć z kimś rozmowę i sprawdzić, czy ten ktoś, tak jak rozmówca Czterścidwa, zasypie mnie zwierzeniami. Wahałem się między dwoma sąsiadami, ale byli tak do siebie podobni, że prawdopodobnie obaj zachowaliby się w ten sam sposób. Zrobiłem parę kroków: trzeci mężczyzna miał zupełnie inne rysy i włosy, ale taki sam wyraz twarzy co tamci. Poszedłem dalej. Każdy z przechodniów miał inny nos i oczy, inne usta, ale wszyscy zachowywali się tak, jakby niczego nie widzieli. Znajdowałem się w ich polu widzenia, ale oni mnie nie dostrzegali. Nie było po co ich wypytywać.

Przesiadłem się na jezdnię biegnącą w przeciwną stronę, aby dojechać do Trzynastki. Tylko jej mogłem się zapytać, czy czuje się dobrze, czy została zaszczepiona, czy ma się na baczności i przed czym.

Wejścia do małej windy tak jak poprzednio broniła fotoelektryczna komórka, ale zaporą zaraz znikła: Trzynastka była pewnie w domu i zobaczyła mnie. Wszedłem do pierwszego pokoju. Nikogo tam nie zastałem. Zrobiłem parę kroków, nie odmówiwszy sobie przyjemności rzucenia okiem na książkę w kwadracie światła, po czym zatrzymałem się przed czarną machiną z dwoma pedałami i podniosłem wieko. Miałem ochotę nacisnąć na klawisz, ale nie wiedziałem, który z nich wydał ten niski ton, jakim pożegnała mnie Trzynastka. Wszystkie klawisze czarne i klawisze białe wyglądały podobnie i nie śmiałem żadnego dotknąć. W tym momencie poczułem, że ktoś wszedł, i zawołałem:

— Trzynastko!

Nie odpowiedziała. Męski głos oznajmił:

— Trzynastka wyszła.

Odwrociłem się. Był to 5.

— Umówiliście się? — spytał. — Trzynastka wie, że miał pan dziś przyjść?

Oniemiałem i sam się nad tym zacząłem zastanawiać, zupełnie nie wiedząc, co odpowiedzieć. Dotychczas to ona była zawsze w domu, jego nigdy nie zastałem. Wreszcie odpowiedziałem: — Nie. — 5 nie wyglądał na zdziwionego. Pocieszył mnie:

— Trzynastka wkrótce wróci.

Staram się nie pominąć ani słowa z naszej rozmowy. Gdyby nie miała ona miejsca albo potoczyła się inaczej, nie musiałbym podejmować ryzyka opowiedzenia tej historii. Nie jestem pewien, czy zapamiętałem dokładnie wszystkie słowa i czy wymienię je w należytej kolejności. Ale postaram się odnaleźć w pamięci każdy z elementów naszego spotkania.

Nie będzie to łatwe: ojciec Trzynastki zachowywał się jak ktoś, kto nie ma mi nic do powiedzenia, kogo nie interesuje to, co ja mógłbym powiedzieć jemu, i zwraca się do mnie jedynie przez uprzejmość, która obowiązuje go w stosunku do przyjaciela córki. Kiedy któreś z jego pytań wydawało mi się kłopotliwe i wahałem się z odpowiedzią, nie nalegał, i od razu zaczynał mówić o czymś innym. Nasi przodkowie nazywali to dobrym wychowaniem. Nic z tego nie rozumiałem. Oto byłem u jednego z dziewięciu logików, a on nie żałował czasu na zabawianie mnie towarzyską rozmową.

— Od dawna się znacie? — spytał.

Odpowiedziałem wymijająco: nie wiedziałem, czy nie pytał już o to córki. Nie nalegał i zmienił temat.

— Co mówi się wokół pana o wielkiej katastrofie?

Już miałem odpowiedzieć, że wokół mnie, tak w centrach wyżwieniowych i rozrywkowych, jak na ruchomych jezdniach, wszyscy przestali już o tym mówić, kiedy on nie czekając dorzucił:

— A pan, co pan o tym myśli?

Wówczas powtórzyłem słowa Trzynastki:

— To bardzo poważna sprawa.

Przytaknął mi obojętnym skinieniem głowy. Przypomniałem sobie jedną z uwag jego córki i nie spuszczać wzroku z klawiatury dodałem:

— Pan już pewnie wiedział o tym podczas mojej pierwszej wizyty.

Leciutko się uśmiechnął:

— Jest pan tego pewien?

Wzruszyłem ramionami.

Wydało mi się, że ta moja nieświadomość wzbudziła w gospodarzu pewne zainteresowanie. Gestem zaprosił mnie, bym za nim poszedł.

Okrążyła sala skąpana była w tym samym błękitnym świetle co podczas mojej pierwszej wizyty.

— Niech pan siada — zaproponował 5 — uzbroi się w cierpliwość i czekając na Trzynastkę odda się kontemplacji Ziemi.

Poczułem ulgę, że zostanę sam. Ale 5 zasiadł obok mnie. Przez chwilę milczał, musiał się skupić, aby dobrze rozegrać swoją partię. Teraz wydaje mi się to czymś tak oczywistym, że sam się sobie dziwię, iż od razu się: w tym nie połąpałem. Nawet nie starałem się niczego zrozumieć, nadal traktując go tylko jak ojca dziewczyny, która zgadzała się ze mną spotykać. Usiadłem więc i podniosłem głowę. Na czarnym sklepieniu widniała nieruchomo błękitna tarcza Ziemi.

5 milczał. Spojrzałem na niego. Patrzył na mnie, okazując równocześnie całkowity brak zainteresowania.

— Wie pan o tym od Trzynastki — skonstatował uprzejmym, lecz obojętnym tonem.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi, spytałem więc:

— O tym, że to poważna sprawa?

Dziś wiem, że źle go zrozumiałem. On mówił o moim, pierwszym spotkaniu z jego córką w trakcie wielkiej katastrofy, ja o drugim, o którym on nic nie wiedział, i o psychoepidemii. Popełniłem błąd oznajmiając: „Pan już pewnie o tym wiedział podczas mojej pierwszej wizyty”. O czym? O katastrofie? O niej wiedzieli wszyscy. Czyli imputowałem mu, że wiedział o psychoepidemii w momencie, kiedy nikt, nawet logicy, nie mógł nawet podejrzewać jej istnienia. Jeżeli uważałem, że 5 orientował się w sytuacji wtedy, kiedy widziałem go po raz pierwszy, mogła mi o tym wspomnieć tylko jedna Trzynastka.

Nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób udało jej się odkryć tajemnicę logików. Pewno przypadkiem, tak jak przypadek kazał mi wybrać wśród wszystkich przejść podksiężycowych to, które zaprowadziło mnie do Trzynastki. Trzynastka niewątpliwie obrzuciła ojca oskarżeniami, potępiła go.

A jemu tak bardzo zależało, aby córka go nie tylko kochała, ale i podziwiała. Wiedziała zbyt wiele, aby mógł przed nią udawać, że podziela jej zdanie, tylko nie może się przeciwstawić swoim ośmiu kolegom. Ostatecznie jeśliby nie udało mu się jej przekonać, nie byłoby nieszczęścia. W domu. Ale na zewnątrz nie wolno jej było pisać słówka.

Pewnie zdawała sobie z tego sprawę, pewnie nawet nie szukała kontaktów. I ona także kochała ojca. Ale gdy rozpoczęła się wielka katastrofa, pojawiłem się ja — ktoś obcy.

Najpierw podejrzewała mnie, że spiskuję wraz z jej ojcem, ale później upewniła się, że nie należę do świata logików, i starała się za moim pośrednictwem uprzedzić innych. Nie śmiała zrobić tego otwarcie, gdyż z jednej strony sama nie była stuprocentowo pewna, co się zdarzy, a z drugiej przywiązanie do ojca działało jednak hamująco. A zresztą czy uwierzyłbym jej, gdyby mi była wszystko opowiedziała? Równie dobrze mógłbym uznać, że ze mnie kpi lub że jest chora, a wtedy pobiegłbym po oficera medycznego: jej opowieść wydałaby mi się pozbawiona cienia prawdopodobieństwa. Jeszcze dziś, choć tymczasem uzyskałem pewność, trudno mi w to uwierzyć, i dlatego właśnie opowiadam wszystko po kolei, nie precyzując tego, czego się dowiedziałem później: chciałbym, aby ten, kto mnie wysłucha, mógł się postawić na moim miejscu.

Owego dnia, gdy siedziałem obok 5 w okrągłej sali, odzna-
czałem się jeszcze całkowitą naiwnością i byłem przekonany, że uważa mnie on po prostu za człowieka zakochanego w jego córce. 5 przestał zresztą na mnie patrzeć. Odchyliwszy do tyłu głowę, zdawał się pogrążony w kontemplacji błękitnej Ziemi. Odniosłem wrażenie, iż zapomniał o mojej obecności, i zastanawiałem się, czy nie powinienem wyjść, nie czekając na

Trzynastkę. Pewnie tak byłoby najlepiej, wróciłbym do swojej codzienności i nigdy więcej nie zobaczył ani ojca, ani córki. Nie wiedziałem, że była to sprawa sekund, potem było już za późno.

5 spojrział na mnie z roztargnieniem, uśmiechnął się i spytał:

— Lubi pan patrzeć na Ziemię?

On wyraźnie lubił. Odpowiedziałem, że to dzięki Trzynastce po raz pierwszy zobaczyłem Ziemię. I dodałem:

— Przedtem nigdy jej nie widziałem. Tak jak wszyscy.

— No, nie wszyscy.

— Nie, nie pan i nie pańska córka.

Spojrzał w stronę czarnego sklepienia.

— U państwa wystarczy podnieść do góry głowę — zauważyłem.

Teraz to ja mu się przyglądałem: robił wrażenie człowieka nieobecnego duchem.

— Chodzi nie tylko o to, by patrzeć — wyjaśnił szeptem.

Mówił do siebie i nie zadałem mu żadnego pytania. Błękitne światło, tak dziwne dla kogoś, kto go nigdy nie oglądał, przydawało mu nieruchomości. Spuściłem oczy: także i moje ręce były błękitne i przyjrzałem się im uważnie, z trudem je rozpoznając, gdyż dotąd oglądałem je tylko — tak jak wszyscy — w elektrycznym blasku wnętrza Księżyca.

5 spytał:

— Miałby pan ochotę tam pojechać?

Byłem przekonany, że przesłyszałem się albo źle go rozumiem: od dziecka śni nam się czasem, że któregoś dnia uda nam się wygrać wielki los i weźmiemy udział w wycieczce na Ziemię. Nic nie odpowiedziałem. Powtórzył pytanie, tym razem niemal niedostrzegalnym ruchem wskazując na wielką planetę.

A więc jednak... Wystarczyło odpowiedzieć też ruchem. Głęboko kiwnąłem głową. I zaraz przypomniałem sobie, jak trudno jest zostać uczestnikiem takiej wędrówki. Nie składało się podać, nie robiło starań, decyzja zapadała gdzieś u samej góry i zdumienie wybrańca równało się zdumieniu telewidzów. Telespikerzy biegli do szczęśliwców, którzy opowiadali, jak bardzo cieszą się i jak bardzo się zdziwili, pokazywano, jak przymierzają podróżne kombinezony, ochraniacze wzroku, aparaty do oddychania i jak uśmiechają się w chwili odlotu. Potem oglądaliśmy ich, gdy wracali i z tym samym uśmiechem na ustach opowiadali, jak miło było obejrzeć Ziemię i jak się cieszą, że wrócili do domu. Wystarczyło mi przypomnieć sobie ich zachowanie, ton ich głosów, aby wiedzieć, że nie mam szans.

Spytałem:

— Ja? — I dorzuciłem: — Ależ jakim sposobem?

5 uspokajająco machnął ręką. Był przecież logikiem. Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Sam dziś jestem zdziwiony: wydawało mi się, że mówiliśmy o czymś skomplikowanym i nader ważnym. A tu zachowałem w pamięci zaledwie parę bezbarwnych zdań. Więc o czym to ja, który przecież zwykle rejestrowałem wszystko — zdążyłem zapomnieć? Trudno mi to sobie wytłumaczyć. Wytłumaczenie znajduję tylko jedno: w tamtej chwili czymś ważnym wydała mi się jedynie wzmianka o podróży.

Siedziałem więc w błękitnej poświacie, zastanawiając się, czemu zawdzięczam tę cudowną propozycję. Nagle wydało mi się, że zrozumiałem: w sąsiednim pokoju rozległy się cztery tony. Rozpoznałem dźwięk maszyny. 5 wstał z obojętną miną. Poszedłem w jego ślady. Zbliżył się do wejścia. Ja czekałem.

Powiedział:

— Trzynastko, przyszedł twój przyjaciel.

A więc byłem jej przyjacielem. Ale Trzynastka milczała.

— Odbiliśmy długą rozmowę — dodał — na temat jego pierwszej wizyty.

Pomyślałem sobie, że była ona tylko dlatego długa, iż często przerywało ją milczenie. Z miejsca, w którym stałem, nie widziałem ani ojca, ani córki. Oboje milczeli. Potem ona spytała:

— No i dużo się dowiedziałeś?

Ta jej ostrożność zdradzała obawę. Zrobiłem parę kroków i w księżycowym świetle elektrycznym zobaczyłem sylwetki Trzynastki i logika.

Powiedział dwuznacznym tonem:

— Wszystkiego.

Dziewczyna drgnęła. Chciała coś powiedzieć. Wszedłem i zwróciła się do mnie:

— Co pan naopowiadał ojcu? Jest wstrząśnięty.

Nic nie rozumiałem: mnie wydawało się, że nic z tego, co mówiłem, bynajmniej go nie obeszło. Zachowanie Trzynastki też było dla mnie zawsze czymś niepojętym, ale tych dwoje rozumiało się w pół słowa. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

— Ona zawsze przesadza — powiedział i zwracając się do córki dorzucił: — Dobrze by było, gdybyś poradziła się oficera medycznego.

Trzynastka przyjrzała się nam kolejno, była coraz to bardziej niespokojna.

— O co on pana wypytywał?

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale ojciec przerwał jej, zwracając się do mnie:

— Powinienem być już dawno posłać ją na przebadanie. Ma pan rację: to bardzo poważna sprawa.

Trzynastka musiała wtedy pomyśleć, że rozmawialiśmy o niej i że ja coś o niej powiedziałem.

— Co jest takie poważne? — spytała.

Poinformowałem ją, że była mowa o epidemii. Myślałem, że uspokoję ją odwracając jej uwagę, i okazało się, że mam dla niej wielką nowinę: dzięki jej ojcu odbędzie podróż na Ziemię.

— Nie! — zawołała. — Pan nie może pojechać! To prawda?
— zwróciła się do 5.

Nic nie odpowiedział.

— Nie powinien pan jechać! — powtórzyła. Wydało mi się, że czegoś tu nie może zrozumieć.

Zacząłem się zastanawiać: czyżby zazdrościła mi podróży? Chciałaby może w niej uczestniczyć? Czy też uważała, że jej ojciec pragnie nas rozdzielić? Wyobrażała sobie może, że nasza długa rozmowa dotyczyła mojego do niej uczucia? Czyżby oznaczało to, że mnie kocha? Na każde pytanie odpowiadałem sobie równocześnie i tak, i nie, i w rezultacie nie dosłyszałem następnego zdania Trzynastki. Powtórzyła je:

— Jeśli pan pojedzie, już pan nie... Ojciec przerwał jej:

— Wkrótce znów się zobaczymy.

Wzrokiem wskazał mi wyjście. Zrozumiałem, że lepiej zniknąć. Trzynastka robiła wrażenie osoby, która straciła głowę. Coś jeszcze powiedziała, gdy odchodziłem, ale równocześnie głośniejszy i szybciej przemawiał do niej jej ojciec. Może zdała sobie z tego sprawę, a może coś jej się przypomniało, bo w chwili gdy wychodziłem, usłyszałem ten sam niski ton, którym mnie poprzednim razem pożegnała, wymówiła jeszcze parę słów, które do mnie nie doleciały, i zamknęła wieko instrumentu.

Siedziska były czymś w rodzaju leżysk wypoczynkowych, same dostosowywały się do kształtu ciała. Wszyscy wyciągnęli się, a asystent założył nam ochraniacze wzroku i immobilizatory magnetyczne, które zabezpieczały nas od fruwania po kabinie. Część pasażerów wybuchnęła śmiechem, zupełnie jakby ich łaskotano, pragnąc ukryć – może nawet bardziej przed samymi sobą niż przed innymi – podniecenie i strach, jakie odczuwali na myśl o tym, że oto przyszło im opuścić nasz Księżyc, aby odwiedzić Ziemię.

Nikogo spośród pasażerów nie znałem, twarz jednego pojawiała się czasem w telewiadomościach, był to jeden z wielkich techników, pan w podeszłym wieku, 343 167, którego koledzy nazywali Sześciąsiem. Wszyscy przekroczyli już wcześniej czy później pięćdziesiątkę i zajmowali nie najwyższe, ale cieszące się szacunkiem stanowiska. Nawet ci, co się dotąd osobiście nie znali, odnajdywali mnóstwo wspólnych przyjaciół. Podróż odbywali w towarzystwie żon, wyjątek stanowiłem ja i kilku wdowców.

Byłem najmłodszy i byłem skromnym funkcjonariuszem; to wystarczyło, aby obudzić ogólną ciekawość: nikt nie uwierzyłby, że milczę nie z dyskrecji, lecz dlatego, iż sam nie wiem, czym zasłużyłem na to, by wziąć udział w podróży. Zresztą nie było o tym jeszcze mowy. Poprzez nasze ochraniacze wzroku

po raz pierwszy przyglądaliśmy się powierzchni planety, w której wewnątrz mieszkaliśmy.

Pokryta była glazami i kraterami, tak jak uczono nas w szkole.

— Piękny pejzaż — zauważył ktoś. A ktoś inny:

— Bardzo malowniczy.

— Uwaga, uwaga — szepnął telemegafon.

Z lewej strony zobaczyliśmy błyszczące i nieruchome punkciki.

— To gwiazdy — szepnął ten sam głos.

Inni milczeli, gwiazdy rozbłysły silniej, można by przypuszczać, że są to latarnie ustawione na ciemnej stronie Księżyca. Niektóre, najjaśniejsze, nagle znikły i megafon wyjaśnił, że ukryły się za górami, które widniały na horyzoncie; słowo „horyzont” było nam znane, ale samego horyzontu nikt jeszcze nigdy nie widział.

— Na horyzoncie? — zapytała jakaś kobieta.

Reszta pasażerów milczała. Te same gwiazdy rozbłysły znów tam, gdzie poprzednio. Poniżej można było odróżnić kolistą linię powierzchni Księżyca, który zdawał się wypełniać przestrzeń. Część pasażerów przestała wyglądać przez bulaje, ale nikt się jeszcze nie odzywał. Pojawiało się coraz to więcej gwiazd. Telemegafon wymieniał ich nazwy.

Zapomniałem już, jakie, poza planetą Mars i konstelacją Łabędzia, a to dlatego, że znów jakaś kobieta spytała:

— Co to jest łabędź?

Nikt nie odpowiedział. Turyści szukali wzrokiem zasygnalizowanych gwiazd i przyglądali im się z ciekawością. Nie trwało to zresztą długo: świetliste punkciki wyglądały jednakowo, a ich nazwy brzmiały niezrozumiale. Większość podróżnych przestała na nie zwracać uwagę, a ktoś się nawet

zdrzemnął. Aż podskoczył, gdy telemegafon przemówił głósniej:

— Proszę się upewnić, czy ochraniacze wzroku znajdują się na swym miejscu, i spojrzeć w prawo.

Tak jak wszyscy odwróciłem głowę i aż podskoczyłem, odetchnąłem głęboko i zamknąłem oczy, ale ani ochraniacze, ani powieki nie wystarczały, by obronić wzrok przed oślepiającym światłem; zakryłem oczy rękoma, ale i to nie pomogło. Wokół mnie rozległy się okrzyki. Telemegafon oznajmił:

— Widzicie Słońce.

Z ciekawości otworzyłem oczy, zakrywając je jednak palcami, przez które przedostawały się ostre czerwone promienie.

— I pomyśleć — zauważył jakiś męski głos — że Ziemianie musieli żyć w blasku Słońca.

— Tylko za dnia — powiedział inny głos — a noce zdarzały się często.

— Wystarczy.

— No ba!

Asystenci założyli ekrany parasłoneczne: można było znów wyjrzeć na zewnątrz. Słońce nie dorównywało wielkością Księżycowi i Ziemi, ale było o tyle większe od gwiazd, że te nikły i na czarnym tle widniało teraz tylko ono. Nie potrafię określić jego koloru, było ni to żółte, ni to czerwone. Wspominam o tym, bo — jak to już wyjaśniałem — staram się zanotować wszystko, co zauważyłem, a w dodatku nie jestem pewny, czy dalej będą się odbywać turystyczne albo jakiegokolwiek inne podróże na Ziemię.

— Uwaga, uwaga — powiedział telemegafon. — Za chwilę opuścimy strefę przyciągania księżycowego.

Asystenci obeszlą kabinę sprawdzając, czy wszyscy są dobrze przymocowani do swoich łozosiedzisk.

Teległos zaczął liczyć:

— Dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście...

Rzuciłem okiem na Sześciąsiem. Opowiadał coś sąsiadowi i obaj zaśmiewali się, nie zwracając uwagi na megafon. Inni pasażerowie sprawiali wrażenie wzruszonych.

— Trzy, dwa, jeden, zero — obwieścił głos.

Nic się nie stało, tyle że jeden z asystentów uniósł się w powietrzu. Miał widać wprawę, bo poruszał się swobodnie, sterując otwartymi dłońmi. Aby mu się lepiej przyjrzeć, odwróciłem głowę: stała się tak lekka, że przeraziłem się, iż uleci, nie było to jednak przykre uczucie. Miałem ochotę podnieść się i popfrnąć jak ten człowiek, który właśnie nade mną przeleciał; zrobiłem nawet ruch, jakbym chciał się zerwać, zupełnie zapominając, że przytrzymuje mnie w miejscu immobilizator magnetyczny. Powinienem być zrozumieć, co się z nami dzieje, niemniej wszyscy podzielali moje zdumienie. Jedni usiłowali wstać, inni zadawali pytania, wszyscy obserwowali fruującego człowieka, który robił to pewnie po to, by zadziwić turystów, gdyż dopiero gdy spłynął na podłogę kabiny, telemegafon oznajmił:

— Wlecieliśmy w strefę nieważkości.

Wiadomość wywołała ogólny śmiech i pasażerowie zaczęli żartować.

— Jedzie się szybciej niż na ruchomej jezdni — zauważyła jakaś kobieta.

A jej sąsiad zawołał:

— I wygodniej niż w godzinach tłoku!

— Nie boicie się zderzenia?

— Ja tam obawiam się tylko zderzeń zwrotnych!

— Które prowadzą do czego?

— Do pięknych nieznanym.

Było jasne, że oboje zaliczają się do kategorii wdowców. On wyjął tubę z napojem i poczęstował kobietę. Ona nie potrafiła się z nią obchodzić: parę kropel zawisło przed nią w

powietrzu. Sąsiad usiłował jej dopomóc i krople zleciały; inni pasażerowie usiłowali je schwytać, ale tylko wprowadzili je w ruch wirowy i dopiero asystent złapał je w dwa palce i połknął wywołując swą zrzęczością ogólne oklaski.

Niewysoki starzec o krzaczastych brwiach zwrócił się do mnie z przerażeniem:

— Niech pan patrzy na Księżyc! Gdy wystartowaliśmy, znajdował się pod nami. A teraz jest o tam, hen, w górze.

Przypomniałem:

— Nie ma przecież ani góry, ani dołu.

Przyjrzał mi się nieufnie:

— A to dlaczego?

— Znajdujemy się w przestrzeni kosmicznej.

Miał taką minę, jakby sądził, że z niego kpię, i już chciał mi odpowiedzieć, kiedy nagle zbladł.

— Wywróciliśmy się! — wykrzyknął. — Wywróciliśmy się głową na dół, a pan mi tu plecie jakieś brednie!

Uczepił się mego ramienia, aby móc wołać jeszcze głośniej:

— Lecimy głową na dół, ratunku, spadamy!

Zaraz podszedł do niego asystent i wyzwolił go z magnetycznego immobilizatora, tłumacząc równocześnie szeptem, że nic mu nie jest, że to zwykłe złudzenie psychosensualne.

Przelecieli kabinę ponad naszymi głowami, z tym że asystent lekko, jedną ręką, popychał przed sobą mego sąsiada. W jego ślady poszli inni turyści, którzy ulegli iluzjom spadania lub zawrotom głowy. Jeden z nich kazał się przyprowadzić z powrotem, aby powiadomić żonę, że na nowym miejscu leci się dużo wygodniej, i znów się tam wraz z małżonką pod pieczęcią asystenta udał. Kabina po trochu wyludniła się. Sześćsiąsiem dalej rozmawiał ze swoim znajomym, który odwrócił

głowę, aby mi się przyjrzeć.

Widniejący wysoko Księżyc zmalował, ale można było jeszcze odróżnić łańcuchy górskie i kilka kraterów, które przypominały jasne lub ciemne plamy. Zastanawiałem się, w którym punkcie znajduje się kwatery Trzynastki i czy w tej chwili gra ona może na maszynie, czy też może wpatruje się w Ziemię; krótko mówiąc, zastanawiałem się, czy Trzynastka o mnie myśli.

Nadal nie znałem powodów mej podróży i teraz, kiedy już się trochę przyzwyczaiłem do widoku czarnej przestrzeni i gwiazd, znów się nad tym zacząłem głowić.

Od chwili, gdy pożegnałem się z 5 i jego córką, aż do chwili odlotu cieszyłem się na myśl, że na pokładzie astroplanu Księżyc-Ziemia spotkam Trzynastkę, albo samą, albo w towarzystwie ojca, wyobrażałem sobie bowiem, że wycieczka ta została wymyślona po to, aby pozwolić nam się lepiej poznać. A teraz przypomniałem sobie kilka słów wypowiedzianych przez logika, jego wyraz twarzy i doszedłem do wniosku, że chciał on raczej nas — mnie i Trzynastkę — rozdzielić, myśląc pewnie, że cieszą ją moje wizyty; no i udało mu się oddalić mnie, nie kompromitując się w oczach dziewczyny, przeciwnie, kompromitując mnie, gdyż to ja wolałem odwiedzić Ziemię niż widywać Trzynastkę.

Ale dalej tego wszystkiego nie rozumiałem. Rozmyślałem więc z zadartą ku Księżycowi głową i widać musiałem przybrać zatroskany wyraz twarzy, gdyż podleciał do mnie asystent, by spytać, czy nie lepiej poczułbym się w restauratorni. Odpowiedziałem mu, że wolę tu zostać sam, i w tej samej chwili zobaczyłem, że sąsiad Sześciąsiem wstaje i kieruje się w moją stronę.

Poruszał się z łatwością, leciutko sterując to ruchami ręki, to nogi, i po chwili już koło mnie siedział.

— Pan pozwoli?

Sam założył sobie immobilizator magnetyczny i pokazał mi swoją fiszkę. Przeczytałem jego numer: 414 480, ale nic mi on nie mówił.

— Osiemsiąt dla przyjaciół — oznajmił. — Jestem supervizjerem komputerów liczbotwórczych. A pan?

Odpowiedziałem, że jestem nadzorcą i że podziwiam zręczność, z jaką porusza się w nieważkości: pewnie już nieraz zdarzyło mu się odbyć podróż na Ziemię.

Uśmiechnął się:

— Wiedza dotycząca liczb wywodzi się z prawa nieważkości.

I dorzucił ironicznym tonem:

— Jest pan zwykłym nadzorcą?

Skinąłem głową.

— I został pan wybrany, by uczestniczyć w tej podróży? Mój drogi Trzyścitrzy! — zawołał, rzuciwszy okiem na moją fiszkę. — Czy chce mi pan wmówić, że jest pan pierwszym w historii nadzorcą, który został zaszczycony podobnym wyróżnieniem?

Osiemsiąt oczekiwał ode mnie odpowiedzi, ale ja obawiałem się, że sprowokowałaby ona jeszcze kłopotliwsze pytania, i zachowałem milczenie, które po swojemu zinterpretował.

— Ma pan rację — odparł — nie należy wymieniać nazwisk ani wdawać się w szczegóły.

Zniżył głos, aby dać mi do zrozumienia, iż mówi poufnie:

— Mój przyjaciel Sześciąsiem uważa, że tylko członek Rady mógł dla pana uzyskać podobne wyróżnienie jako nagrodę za spełnienie jakiegoś uczynku o wyjątkowej użyteczności publicznej. — Osiemsiąt i w połowie, i na końcu zdania zrobił pauzę, ale ja nadal milczałem.

— Nie staram się bynajmniej dowiedzieć nazwiska logika, który to uczynił, ani odkryć, o co tu chodziło i kiedy, a nawet nie wysuwam przypuszczeń, że wyróżnił się pan w momencie

wielkiej katastrofy lub psychoepidemii.

Nie zapamiętałem dalszego ciągu jego przemówienia, często przerywanego pauzami, które trwały akurat tyle czasu, żebym mógł odpowiedzieć tak lub nie, czyli zdradzić się. Odniosłem nawet wrażenie, że poprzez swój ochraniacz wzroku mruga do mnie porozumiewawczo.

— Byłoby zbyt łatwe utrzymywać, że pana protektorem jest 4.

Osiemsiąt spojrział na mnie uważnie, a ponieważ nie potwierdziłem, ciągnął dalej:

— Gdy jeśli odpowiedziałby pan negatywnie, zamiast dziewięciu możliwości pozostałoby tylko osiem.

Byłem szczęśliwy, że nie wymienił 5, gdyż trudno mi powiedzieć, jak bym się wówczas zachował.

— Sześćsiąsiem utrzymuje — ciągnął dalej — że dobrze mu znany 9 nie zajmuje się nigdy podobnymi sprawami...

Umilkł na chwilę, aby dać mi czas wpaść w pułapkę.

— Zatem nie chodzi tu ani o 4, ani o 9 — stwierdził. — Pozostaje już tylko siedem możliwości.

I przerywając sam sobie dorzucił:

— Nie nalegam. Cóż, nie będę się starał dowiedzieć, czy zawdzięcza pan tę podróż 2, 5 czy 8; tym gorzej dla mnie, bo założyłem się o to z Sześćsiąsiem.

Znów się roześmiał, a ja czując coraz to większy niepokój, skorzystałem z tego, aby mu oświadczyć, że nieważkość zaczyna mnie przyprawiać o mdłości.

— Choroba przestrzeni — oświadczył. — Niech pan idzie na chwilę do restauratorni.

Osiemsiąt wyglądał tak, jakby wiedział, że nie potrafię mu się wymknąć, i pomógł mi nawet wyłączyć immobilizator. Natychmiast wstałem i odwróciłem głowę. Był to błąd.

Uleciałem aż pod sufit, ale nim go dotknąłem, spadłem

głową w dół i Osiemsiąt, który nie ruszył się dotychczas z miejsca, nagle minął mnie pędem. Machnąłem ręką, dotknąłem stopą czegoś, czemu nawet nie zdążyłem się przyjrzeć, i wywinąłem koziołka na tyle wolno, że mogłem przyjrzeć się z bliska Osiemsiąt, który zaśmiewał się, pozdrawiając mnie ruchem ręki. Jego śmiech oddalił się, przede mną widniał bardzo już niewielki Księżyc. Wyciągnąłem ku niemu rękę, ale dotknąłem przepierzenia obcasem i odbiłem się tak, że przeleciałem koło dwóch nieznanych turystów, którzy przyglądali mi się z dezaprobatą. Bałem się, że na nich wpadnę; wyciągnąłem ramię, znów wywinąłem koziołka i poczułem, że ktoś obejmuje mnie w pól. Nareszcie bezruch.

Myślałem, że znalazłem się u wejścia do restauratorni, ale mężczyzna, który mnie powstrzymał w locie, i jego kolega nie należeli do ekipy asystentów. Byli to młodzi ludzie — mniej więcej w moim wieku — i wydawało się, że bawi ich mój widok. Wyznałem, że musiałem zablądzić. Wyższy z dwóch mężczyzn, 647 322 — odnotowuję jego numer, gdyż ma to swoje znaczenie — wskazał palcem jakiś punkt za moimi plecami.

— Restauratornia? Z drugiej strony kabiny.

— A tutaj?

Dwaścjadwa wskazał na ścianę. To wystarczyło, abym sam mógł się zorientować. Widniały na niej trójkątne, prostokątne i owalne sygnalizatory, tyle że mniejsze i nie tak liczne jak w mojej sali pracy; było tu zaledwie paręset wykrywaczy anomalii i jeden telekomunikator, by w razie awarii uprzedzić pilotów automatycznych na Księżycu. Ci dwaj chłopcy spełniali funkcje nadzorców — zupełnie tak samo jak ja.

Widać się tego domyślali, gdyż młodszy spytał mnie:

— Coś ci to mówi?

A ja wskazując na tablicę od razu się poinformowałem:

- Zdarzyły wam się kiedyś jakieś awarie?
- Drobne, i to z rzadka — odpowiedział Dwaściadwa.
- Na przykład rozmagnetyzował się jakiś immobilizator
- dorzucił jego kolega.

A Dwaściadwa spytał:

- To ty jesteś Trzyścitrzy?

Wyglądało na to, że moja obecność intryguje ich tak samo jak turystów, natomiast robili wrażenie dyskretniejszych: z nimi mogłem rozmawiać. Nie należeli do świata logików i wielkich techników. Moja obecność musiała ich dziwić: nadzorca tylko wtedy odbywał podróż na Ziemię, gdy był nadzorcą aparatury statku kosmicznego. Zapytałem, czy ich sygnalizatory zapalają się tak samo jak moje. Wyjaśnili mi, że mają one inne kolory: czerwony, zielony, błękitny i żółty. Młodszy, Dwaścicztery, chodził do tej samej szkoły co ja, tyle że o parę lat później. Chwilę pogawędziliśmy, poprosili mnie, żebym znów do nich zajrzał, oświadczyli, że chętnie odprowadziliby mnie do restauracji, gdzie zaraz przyjdę do siebie, ale że niestety mają służbę, i Dwaściadwa pożyczył mi rękawicę magnetyczną, która miała mi ułatwić poruszanie się.

Istotnie przestało mi ono sprawiać trudności.

— Widać od razu, że to nie po raz pierwszy znalazł się pan w stanie nieważkości — zauważył Sześciąsiem, poinformowany niewątpliwie przez przyjaciela, o co mnie tamten wypytywał, a także o tym, że nie udzieliłem żadnej odpowiedzi.

Dalej nękała mnie myśl o zainteresowaniu, jakie okazywali mi ci dwaj wysocy urzędnicy, gdyż wydało mi się, że słyszeli o mojej historii i wiedzieli na temat mojej podróży coś, czego ja nie wiedziałem. Słowa Sześciąsiem nie dowodziły bynajmniej, że jest źle poinformowany, może nawet specjalnie mówił coś innego, niż myślał, tak samo jak przedtem Osiemsiąt; chodziło im o to, aby mnie przechytrzyć i zmusić do wypowiedzi. Nie odpowiedziałem więc ani tak, ani nie, wymigując

się stwierdzeniem, że nadal źle się czuję i idę odpocząć do restauratorni.

Dalej płynąłem nad kabiną, gdzie znajdowało się już niewiele osób. W komorze restauracyjnej biały fartuch ze zdziwieniem spojrział na moją magnetyczną rękawicę, ale o nic nie spytał. Asystent zdjął mi ochraniacz wzroku i pod stopami przyczepił mi za pomocą klamr magnetycznych coś w rodzaju sztylpów. Zrobiłem trzy kroki i poczułem się tak, jakbym znalazł się z powrotem we wnętrzu Księżycy.

Restauratornia pełna była turystów, którzy gadali jeden przez drugiego. Stali i wyglądali tak, jakby znajdowali się na dwóch unieruchomionych pasach jezdni, a przed nimi defilowały telewiadomości, światło elektryczne zaś było tu na tyle słabe, że nie raniło oczu. Wszystkim turystom tak samo jak mnie założono klamry magnetyczne, które uniemożliwiały nam uniesienie się w górę. W stanie nieważkości równie wygodnie było człowiekowi stać co leżeć. Ludzie wpatrywali się w obrazy telewiadomości, ale nikt nie słuchał komentarza. Rozmawiano.

Stojący tuż obok mnie mężczyzna opowiadał, że po narodzinach dwojga dzieci, które każde małżeństwo księżycowe ma prawo i obowiązek wydać na świat, jego żona i on złożyli podanie o prawo posiadania trzeciego potomka i znaleźli się na liście oczekujących, ale ta była tak długa, a przypadki sterylności lub niemocy płciowej tak rzadkie, że już od wielu lat czekali na swoją kolej.

Mała grupka słuchała z zainteresowaniem, każdy znał podobny wypadek albo przynajmniej o takim słyszał. Ktoś przypomniał sobie, że pewne małżeństwo, otrzymawszy wreszcie pozwolenie, nie mogło już z niego skorzystać. Ktoś inny opowiedział o przygodzie młodej kobiety, która, rodząc po raz drugi, urodziła dwojaczki, a więc przekroczyła limit, i w jej

sprawie odbyło się specjalne posiedzenie Rady Logików. Jakaś kobieta zauważyła:

— Są tacy, co twierdzą, że za dawnych czasów na Ziemi miało się prawo nawet i do dwadzieściorga dzieci.

To oświadczenie powitał ogólny śmiech.

— Do tyłu to jednak nie — powiedział jakiś mężczyzna.

A inny dorzucił:

— Oni mieli więcej miejsca od nas.

— Teraz mają jeszcze więcej, ale już ich nie ma i nie mogą z niego korzystać.

Przestano rozmawiać o naszych prawach i obyczajach, aby zająć się legendami o Ziemi i Ziemianach. Część turystów uważała, że Ziemianie istnieją jeszcze, że gdzieś na terytoriach, do których nie ma dostępu, schronili się potomkowie tych, co przeżyli Wielki Krach. Nasi badacze wielokrotnie przelatywali nad tymi rejonami, ale nigdy nikogo nie zauważyli. Imaginiści bardzo sobie cenili ten temat i na teleekranach centrów rozrywkowych można było oglądać przygody potomków Ziemian, którzy ukrywali się w skalnych grotach. Wymyślono nawet opowieść o całym narodzie zamieszkującym pod powierzchnią Ziemi w czymś w rodzaju komórek wydrążonych wzdłuż dróg; ten spektakl cieszył się wielkim powodzeniem — pewnie dlatego, że pokazywał nam Ziemian żyjących na modłę Księżyczan.

I ja także lubiłem się bawić myślą o mieszkańcach innych planet. Najprawdopodobniejsze było to w stosunku do Ziemi: Ziemia była przecież kiedyś zaludniona, na co my, potomkowie tamtej ludności, stanowiliśmy najlepszy dowód. Nic by więc w tym nie było zadziwiającego, gdybyśmy odnaleźli swą rodzinę. Jednakże uczeni byli na tym punkcie nieugięci. Geografowie podkreślali fakt, że wszystkie, jak to określali, bajki miały za scenerię nieznaną zakątki Ziemi, co do których nie

było żadnej pewności, iż istnieją, tym bardziej że wszystkie zachowane na Księżycu mapy Ziemi były sporządzone przed Wielkim Krachem, który według opinii geologów zmienił całkowicie oblicze tej planety. Geochemicy przypominali, że imaginatorzy dlatego właśnie kazali dzieć się swoim bajkom w rejonach niedostępnych, ponieważ nie można było tam dotrzeć, aby udowodnić ich bezpodstawność, a dotrzeć nie było tam można z dość prostego powodu: w rejonach tych nie istniało życie. Nic nie pomagało, dalej mnożyły się legendy i mity.

I ja też na próżno powtarzałem sobie, że nigdy jeszcze te wiadomości nie wspomniały, aby jakkolwiek turysta wracający z Ziemi, jeśli już nie spotkał Ziemiaków, to choćby zobaczył jakiś ślad życia.

— Ale nam się to może zdarzyć — zauważył ów mężczyzna, który w momencie przechodzenia w stan nieważkości żartował ze swoją sąsiadką.

— Przecież wycieczki jeżdżą zawsze tą samą trasą — odpowiedział mu ktoś inny.

Jakaś kobieta dorzuciła:

— Zwiedza się zawsze tak zwane wielkie miasta starożytności.

— Podobno były one najgęściej zaludnione — szepnęła jej sąsiadka. I zamilkła, robiąc taką minę, jakby coś w myśli obliczała na podstawie rachunku prawdopodobieństwa.

— Te miasta są zupełnie wymarłe — zauważył ponuro jakiś głos.

Drugi go poparł:

— Gdyby ktoś tam żył, już dawno by go odnaleziono, przecież te miasta odwiedzamy już od wielu lat.

Ale marzyciele nie dawali za wygraną. Nikt nigdy nie udowodnił, że nie mają racji. Większość uczonych wie tylko tyle, ile wie, i nie chce wziąć pod uwagę przesłanek, które zaprzeczałyby ich wiedzy.

— Kiedyś wyśmiewano się także z trzech E — zauważył mój sąsiad, mając na myśli Euklidesa, Einsteina i Ei Yuma.

Grupa ludzi, która za temat rozmowy obrała legendy o Ziemi, nie należała do najliczniejszych ani najbardziej gadatliwych. Podszedłem do innej, gdzie mowa była o bardziej codziennych sprawach: o koledze, który stale się spóźniał, aż uzdrowił go za pomocą elektroszoku dyżurny biały fartuch, o chłopcu, który otrzymał wykształcenie T.N., technika niewykwalifikowanego, a pragnął zostać T.W., technikiem wyspecjalizowanym, ale nie potrafił swych pragnień przełożyć na język logiki.

Inni turyści milczeli drzemiąc lub leniwie rozmyślając z oczyma utkwionymi w telewiadości.

Zrobiłem parę kroków i zatrzymałem się, aby przysłuchać się słowom kobiety rozmawiającej z sąsiadką. Twierdziła, że można urodzić dwoje regulaminowych dzieci raz tylko przechodząc ciążę.

— Znalaziono już metodę, która gwarantuje narodziny bliźniąt.

Nowy wynalazek nie miał wielkiego powodzenia: bliźnięta były tej samej płci i większość przyszłych matek wolała dwukrotnie zachodzić w ciążę, mając nadzieję, że urodzi i syna, i córkę. Niemniej uczeni dalej pracowali nad tym problemem wierząc, że uda im się produkować bliźniaki płci odmiennej.

— Ale po co? — zapytała inna kobieta, która sprawiała takie wrażenie, jakby bawiła myślami zupełnie gdzie indziej. — Ja na przykład mam dwie córki. — I roześmiała się.

Poszedłem dalej. Grupa, która dyskutowała o istnieniu Ziemiań, rozproszyła się. Pozostało tylko dwóch mężczyzn, z których jeden, widocznie geohistoryk, tłumaczył drugiemu, dlaczego nie uda się nigdy wyjaśnić powodów Wielkiego Krachu.

— U nas nikt się tego nie spodziewał, nikt na Ziemi nie zdążył nas uprzedzić. Ani ci, co rozpoczęli ofensywę, ani ci, co na nią odpowiedzieli.

— A przecież jedni i drudzy mieli na Księżycu swoje instalacje i swoich ludzi, powinni więc byli dać im zaraz znać.

Geohistoryk wzruszył ramionami.

— Jest bardziej niż prawdopodobne, że już pierwsze pociski zniszczyły nadajniki na Księżyc. Aby wiadomość z Ziemi dotarła na Księżyc, trzeba było mniej więcej półtorej sekundy, plus czas na jej odcyfrowanie, razem przynajmniej pięć sekund.

Milczenie, a potem szept:

— Nikt tego nie odnotował?

I odpowiedź:

— W jaki sposób? Nic nie przetrwało, ani przyrządy odtwarzające dźwięki, ani mózgi elektronowe. A jeśli byśmy nawet przyjęli, że ktoś na skale wyrył swoje obserwacje, to i skały uległy przecież zagładzie.

I geohistoryk dalej rozprawiał długo o Wielkim Krachu, który zakończył okres prehistoryczny i zwiastował początek naszej ery, i o czasach, kiedy Księżyc zamieszkiwały tylko odizolowane od siebie grupki Ziemian. Zasnąłem w restauratorni i obudziłem się na swoim miejscu w kabinie znów we władzy magnetycznego unieruchamiacza. Kabina była pełna, pewnie asystenci przenieśli nas podczas snu. Z tyłu dobiegł mnie jakiś głos:

— Jak się panu spało?

— Wspaniale — odpowiedział ktoś inny.

Znów rozpoczęły się rozmowy. Na czarnym sklepieniu gwiazdy widniały w tych samych co przedtem punktach. Księżyc stał się tak maleńki, że z trudem go rozpoznałem.

Poszukałem wzrokiem Słońca, nie było go jednak widać: zasłaniały je ekrany. Ktoś zawołał:

— Cierpliwości! Za chwilę zobaczy pan!

Był to Sześćsiąsiem. Stał tuż koło mnie. Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy też ze mnie pokpiwa. Spytałem:

— Co zobaczę?

Uśmiechnął się, ale jego oczy zachowały powagę. Odpowiedział:

— Ziemię!

Pewnie zauważył, jak odwracam głowę, i wyciągnął z tego własne wnioski. Przypomniałem sobie, jak jego przyjaciel Osiemsiąt starał się wyciągnąć mnie na słowa. Sześćsiąsiem musiał coś wiedzieć o powodach mojej podróży: należało go wypytać. Ale sam szukał informacji o tym, który z logików mi tę podróż umożliwił: powinienem więc milczeć. Milczałem zatem, a wielki technik doszedł do wniosku, że jestem człowiekiem dyskretnym. Tak jak on. Oznajmił: — Zaraz ją pan zobaczy — i wrócił na swoje miejsce.

— Spójrzcie na Ziemię — obwieścił telemegafon.

Nadal była okrągła i błękitna, ale na błękitnie widniały białe plamy, a równocześnie stała się tak ogromna, że turystom nie udało się powstrzymać okrzyków podziwu i zdumienia.

— Patrzcie państwo!

— Że też jest aż tak piękna!

— Warto było się pofatygować!

Zaraz za białymi fartuchami, którzy uzbrojeni w wykrywacze kontrolowali, jak sprawują się nasze organizmy, pojawili się asystenci, aby podać nam tubki z karmą i płynami.

Ziemia stawała się coraz to większa. Już nie trwała w bezruchu, ale trudno by było powiedzieć, czy to ona obraca się

powoli na nasze spotkanie, czy też my zaczynamy krążyć wokół niej. Przestała być błękitna, stała się brunatna, a potem brunatno-zielona.

— To Azja — oświadczył geohistoryk.

Jakaś kobieta spytała:

— Tutaj to nastąpiło także?

— Co?

— Wielki Krach.

— Tak.

Wszyscy wyglądali przez bulaje, jakby chcieli dojrzeć ruiny. Widać było błękitne pasemka, pewnie rzeki, białe punkciki, które mogły być jeziorami, wreszcie duży obszar intensywnie niebieski.

— Ocean Spokojny — oznajmił geohistoryk.

Ta widziana przeze mnie po raz pierwszy woda sprawiła wrażenie ciała stałego.

— Proszę sprawdzić działanie ochroniaczy — nakazał megafon. — I pozostać w pozycji leżącej. Wchodzimy w strefę przyciągania Ziemi.

Asystenci fruwali sprawdzając, czy wszyscy są dobrze przymocowani. Potem sami wyciągnęli się na swoich leżyskach, megafon zaczął liczyć wstecz, a kiedy oznajmił: „Zero”, z trudem tylko udało mi się nie dopuścić, aby moje bujające swobodnie w powietrzu ramię nie opadło mi ciężko na kolana.

— Weszliśmy — oznajmił telemegafon — w sferę przyciągania ziemskiego, które jest pięć coma dziewięć razy silniejsze od przyciągania Księżyca.

Asystenci już krążyli między nami, zdejmując immobilizatory magnetyczne. Ludzie wstawali i robili dwa, trzy kroki bardzo ostrożnie i z ogromnym wysiłkiem. Nie było to bowiem łatwe. Miałem wrażenie, że dźwigam cały mój pulpit kontrolny.

— Ja tam wolę stan nieważkości — zauważył jakiś mężczyzna.

— A ja Księżyc — oświadczył ktoś inny i wiele osób roześmiało się.

— Strach pomyśleć o tych biednych Ziemiach!

— Musiało im tu być bardzo ciężko!

Wszyscy z powrotem zasiedli i zaczęli się zabawiać własnym ciałem. Jedni podnosili ramiona lub nogi ciężące im jak ołów i pozwolili im opadać, inni wazyli w rękę swoje głowy lub dłonie i wołali: „Ależ jestem ciężki!” albo: „Padam ze zmęczenia!”.

Wiele osób przypomniało sobie dzień wielkiej katastrofy, kiedy to trzeba było iść pieszo po zatrzymanych jezdniach. Gdyby to nastąpiło na Ziemi, nie byłiby zdolni do marszu. Niektórzy niepokoiłi się: a jeśli podobne nieszczęście zdarzy się podczas naszej podróży?

— Przed odlotem zasięgnąłem dokładnych informacji — powiedział ktoś. — Ani razu nie stąpniemy po Ziemi.

Sąsiedzi uspokoili się, ale geohistoryk zauważył, że nie odnaleziono na Ziemi śladu ruchomych szos, które niewątpliwie nigdy nie istniały.

— Można z tego wyciągnąć wniosek — ciągnął — że Ziemia nie poruszali się pieszo, i to nie tylko po równym, ale także wchodząc i schodząc z wzniesień.

Znów zaalarmowani turyści twierdzili zgodnie, że gdyby zaszła taka potrzeba, nie byłiby zdolni do podobnego wysiłku.

— Widzisz, że miałem rację — powiedział mąż do żony na tyle głośno, iż usłyszeli go sąsiedzi. — Nie powinniśmy byli wyruszać w tę podróż!

— Mogłeś zostać w domu — odpowiedziała — a ja wyruszyłabym sama, żeby zwiedzić miejsca zamieszkiwane przez naszych przodków.

I kontynuowali kłótnię, która musiała się rozpocząć jeszcze na Księżycu: on utrzymywał, że przecież nikt nie wie, na jakim zakątku Ziemi mieszkali jego przodkowie, na jakim

kontynencie czy wręcz na wyspie, a ona powtarzała w kółko, że jej wystarczy świadomość, iż było to na Ziemi jako takiej. Do dyskusji wtrącili się inni podróżni podtrzymując to stanowisko męża, to żony. Większość chciała obejrzeć planetę, na której mieszkaliby, gdyby nie nastąpił Wielki Krach.

— Opowiada się tyle historyjek — zauważył ktoś, a ktoś inny dodał: — I tak pewnie opuścilibyśmy Ziemię.

Zauważyłem, że Sześciąsiem przysłuchuje się ogólnym sporom. Spostrzegł to widać także geohistoryk, gdyż zwrócił się do niego z prośbą o wypowiedź. Wszyscy umilkli, aby jej wysłuchać.

— Podróże kształcą — oświadczył wielki technik — ale najmilej jest wracać do domu. — Chwilę się zastanowił. — Osobiście wolę podróżować retrospektywnie.

Parę osób zaśmiało się aprobującą i po krótkiej uprzejmościowej chwili ciszy znów rozpoczęły się rozmowy. Byłem jednym z niewielu, a może w ogóle jedynym, który nie spuszczał oczu z Ziemi. Pewnie dlatego nie zauważyłem, jak podchodzi do mnie Dwaścicztery, młodszy z dwóch nadzorców.

— Chodź do nas — zaproponował. — I tam będziesz się mógł jej przyglądać. Już od dawna oczekujemy twojej wizyty.

Poszedłem za nim. Dwaściadwa znajdował się na swoim posterunku. — Przybraliśmy na wadze, co? — zauważył.

Odpowiedziałem twierdząco. On ciągnął zaś dalej:

— To jeszcze nic. Poczekaj, aż znajdziesz się na Ziemi.

Rzeczywiście stąd lepiej było widać Ziemię niż z pasażerskiej kabiny. Zaczęła się już spłaszczać, tylko na horyzoncie widać było jej kulisty zarys. Wyraźnie odcinały się kontury

kontynentów i kręte linie oddzielające je od oceanów, które przestały być nieruchome.

Nie spuszczać oczu z sygnalizatorów, Dwaściadwa spytał:

— Cieszysz się, że tam będziesz? — Powiedział to takim tonem, jakby mało interesowała go odpowiedź. Oświadczyłem, że bardzo byłem ciekaw, jak też ona wygląda z bliska.

— Wiele to nie zobaczysz — oznajmił Dwaściadwa. — Jdzie się zawsze tą samą trasą. Istnieje tylko jedna trasa wycieczkowa.

Zamilkł. Obaj chłopcy spoglądali na mnie wyczekująco. A ja patrzyłem w dół. Pół Ziemi znikło za jakimiś białymi i szarymi oparami.

— Można by z niej zboczyć — zauważył Dwaściadwa.

To mnie zaciekało.

— Czy wam się to udało?

Wzruszył ramionami.

— My musimy cały czas nadzorować, zupełnie tak jak ty w godzinach pracy.

— A jak macie wolne?

— Możemy siedzieć w restauratorni i przyglądać się wiadomościom.

— A podczas przystanków?

Dwaściadwa robił wrażenie pogrążonego w myślach.

— Służba trwa — wyjaśnił jego kolega. — A jeśli akurat przypada nam wolny czas, możemy zejść z pokładu wraz z turystami. — Tu uśmiechnął się pogardliwie. Zdziwiło mnie to. Powiedział:

— Kiedy po raz setny oglądasz to samo miejsce, to wygląda ono zupełnie tak samo jak twoja tablica rozdzielcza.

Wskazał głową na, widniejące przed nami sygnalizatory. Spytałem:

— A turyści?

— Jest to ich pierwsza i ostatnia podróż i bawi ich, że będą mieli o czym opowiadać swym przyjaciółom i znajomym.

Znów zamilkliśmy. Wyrzałem: oto ukazał się nowy kontyent. Zapytałem, co turyści opowiadają po powrocie.

— Mówią o pejzażu, stale o tym samym pejzażu — powiedział Dwaścicztery.

Przerwał mu przyjaciel. Robił takie wrażenie, jakby rozmyślał na głos.

— Jest tylko jeden sposób.

Powiedział to takim tonem, jakby zadawał pytanie. Odczekał chwilę, nim sam sobie odpowiedział:

— Trzeba wyruszyć inną trasą.

Wpatrzyłem się w niego. Najbardziej zdziwiło mnie to, że odwrócił się od swoich instrumentów i obserwuje nie je, lecz mnie. Nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem, i spytałem, czy ma na myśli podróż w ogóle i wszystkich turystów. Pokręcił przecząco głową. Jego towarzysz przyglądał mi się bacznie. Nagle poczułem, że rozumiem. Nim powiedzą więcej, chcąc się naprzód upewnić o mojej dyskrecji. Odważyłem się:

— Gdyby tak na przykład wy wraz ze mną... — i nie dokończyłem zdania.

Dwaściodwa wyglądał na zdziwionego i rozczarowanego. Zaśmiał się sztucznie, nim rzucił:

— Słyszałeś! Ale mu nie brak wyobraźni!

Poczułem się zbity z tropu. Sądziłem, że mają na myśli wspólną wyprawę, i pomyliłem się. Ich słowa, ton, jakim je wypowiadali, spojrzenie i milczenie tak bardzo nie zgadzały się ze sobą, że łatwo było je źle zrozumieć. Pewnie byli po prostu ciekawi, tak jak turyści z Sześciąsiem na czele, co zrobiłem, aby zasłużyć na tę podróż. Już chciałem się odezwać, kiedy pomyślałem, że jeśli mam słuszność i zasypią mnie pytaniami, nie będę wiedział, co odpowiedzieć. Nie chciałem kłamać ani odmawiać odpowiedzi, nie chciałem

także wymieniać nazwiska Trzynastki i jej ojca. Milczałem więc.

— Przepraszam — powiedział Dwaściadwa i odwrócił się.
— Muszę obserwować tablicę.

Teraz było widać tylko Ziemię. Spłaszczyła się i zajęła całą przestrzeń, rzeki puchły w oczach.

Dwaściadwa wpatrywał się w jak zwykle wygaszone sygnalizatory, ja w wymarłą planetę, obaj postępowaliśmy nieśluszenie, należało sobie nawzajem wszystko wyznać, ale na to byliśmy zbyt ostrożni czy też zbyt nieufni i każdy zachował dla siebie to, co wiedział. Oddałem mu rękawicę magnetyczną i podziękowałem za jej wypożyczenie. Odpowiedział oschle:

— Na Ziemi nie będzie ci potrzebna.

Gdy odchodziłem, tylko Dwaściacztery odprowadził mnie wzrokiem.

Podnieść głowę — doradził telemegafon. Nad nami przestrzeń zmieniła kolor. Stała się jasno-błękitna, tej barwy nigdyśmy nie widzieli. Gdzieś tam widniały jakieś okrągławe lub owalne kształty. Jedne były białe i wydawały się bardziej puchate niż inne, szare. Niektóre płynęły, a nawet rozplywały się, inne tkwiły nieruchomo. Telemegafon oznajmił:

— Oto ziemskie niebo.

Słowo było nam znane, przetrwało w paru wyrażeniach aż do dziś, ale nabrało innego sensu. Naokoło mnie turyści przyglądali się widowisku. Wyglądali na zdziwionych. Jakaś kobieta spytała sąsiadów:

— Co to jest, te białe błyszczące formy?

Nikt jej nie odpowiedział.

— Spójrzcie w prawo — nakazał telemegafon.

Wszyscy odwrócili głowy. Znikły ekrany ochronne. Na jaśniejszym w tym miejscu niebie świeciła blado-żółta tarcza nie rażąc już blaskiem. Była ona niewielka, mniejsza niż Ziemia, gdy oglądałem ją z mieszkania Trzynastki.

Telemegafon oznajmił:

— Słońce.

Nastąpiło ogólne rozczarowanie. Przypomniałem sobie tamten moment, kiedy Słońce olśniewało mnie mimo

przesłoniętych dłońmi oczu. Teraz wystarczał mi ochraniacz.

— Więc takie jest Słońce? — zapytał ktoś, a ktoś inny do-
rzucił: — Wygląda zupełnie szaro.

Jakaś kobieta zawołała:

— Ziemia nas nie rozpieszcza!

— Teraz — rozkazał telegafon — proszę spojrzeć w dół.

Znów wszyscy odwrócili głowy. Jakaś rzeka, która nie była
niebieska, lecz zielona — pierwszy raz w życiu widziałem zie-
loną rzekę — wiała się w esy floesy coraz to się zwężając, aż
wreszcie znikła. Poza tym powierzchnia Ziemi była płaska,
brunatna i pokryta głazami tak jak powierzchnia Księżyca,
tyle że kilka widniejących tu wzgórz było pozbawionych kra-
terów. Dalej kręte łożysko innej, widocznie wyschłej rzeki
przecinało nagie połacie ziemi. Lecieliśmy coraz to niżej i
coraz wolniej. Można było dostrzec zwaliska metalowych
szczątków, potem jakieś budowle.

— Dolecieliśmy — oznajmił telegafon. — Jesteśmy na
Ziemi.

Byliśmy na niej i nie byliśmy, gdyż zatrzymaliśmy się o pa-
rę metrów nad jej powierzchnią nie dotykając gleby. Z boku
statku otworzyło się przejście: wystawała zeń tuba spiralnie
opadająca w dół. Turyści zerwawszy się z miejsc mówili coś
jeden przez drugiego. Między nami krążyli asystenci wskazu-
jąc wyjście. Białe fartuchy zdejmowały nam ochraniacze za-
stępując je podwójnymi, nie tak już ciemno zabarwionymi
szkłami.

Trzeba było zejść pieszo. Pochylenie było nieznaczne, ale
wszyscy schodzili ostrożnie, dotykając najpierw końcem pal-
ców gładkiej powierzchni.

Większość osób milczała, ci, co wymieniali jakieś uwagi,
robili to szeptem, jakby się bali, że ktoś ich może usłyszeć.
Tuba prowadziła do wielkiej hali. Ta zamknięta ze wszystkich

stron hala była dość słabo oświetlona; na środku godzinnik wskazywał czas, nikt nie wiedział, czy chodzi tu o czas ziemski czy księżycowy. Bezbarwna, dźwiękoszczelna, klimatyzowana sala wyglądała tak, jakby się znajdowała na Księżycu.

Tak samo wyglądały wszystkie inne pomieszczenia, zupełnie identyczne, tyle że na ich drzwiach widniały numery odpowiadające numerom nas, podróżnych. Można było wejść i wyciągnąć się jak w domu. Jedyna różnica polegała na tym, że każdego z nas odwiedził biały fartuch przynosząc środki uspokajające i zawiadamiając, że za godzinę wszyscy mają się zebrać, bo odbędzie się pierwsza wycieczka.

Obudziłem się na dziesięć minut przed wyznaczonym terminem. Stał koło mnie Sześciąsiem. Przeprosił: nie zamierzał brać udziału w zaplanowanym programie zajęć i obawiał się, że później nie będzie już miał okazji się ze mną zobaczyć.

— Ja przyjechałem tu na kontrolę administracji turystycznej — oznajmił konfidencyjnym tonem. I zniżając jeszcze głos zapytał: — A pan?

Wstałem i rozejrzałem się dokoła, jakbym szukał odpowiedzi. Powody, dla których odbywałem tę podróż, musiały być nader ważkie, skoro on tak obstawał przy tym, by je poznać. Ja jeszcze bardziej niż on pragnąłem się tego dowiedzieć, ale nie mogłem mu się przyznać do swej ignorancji ani podzielić się niewyraźnymi podejrzeniami. O mały włos, a wymieniłbym nazwisko 5. Miałem ochotę wspomnieć, że go spotkałem, że znam jego córkę, byłoby to prawdą, nie będąc nią równocześnie: ot, takie półkłamstewko. Czy Sześciąsiem wiedział dostatecznie dużo, aby to sobie uprzytomnić? Czy w zamian wystąpiłby z innym półkłamstwem? Miałem już zamiar przemówić, kiedy w głowie zadźwięczała mi nuta, którą pozegnała mnie Trzynastka, przywodząc na myśl słowa:

„Niech pan uważa”. Odpowiedziałem skromnie:

— Jakże bym ja, prosty nadzorca, otrzymał do spełnienia jakąś misję, niczym wielki technik? Jestem tylko turystą.

Zmusiłem się do uśmiechu. On postąpił podobnie.

— A w jaki to sposób prosty nadzorca mógł znaleźć się wśród uczestników podróży na Ziemię?

Mógłbym mu odpowiedzieć, że jeśli uznano by, iż można mi powierzyć jakąś misję, to tylko dlatego, że wykazałem się dyskrecją i powściągliwością. Sześciąsiem stwierdziłby entuzjastycznie, że zdał sobie z tego sprawę, wyraziłby mi swoje uznanie, mówiąc równocześnie, że przecież jemu mogą ufać, i tak wszystko zaczęłoby się od nowa. Nagle wydało mi się, że znalazłem rozwiązanie zagadki. Skoro byłem wyspecjalizowanym technikiem, nadzorcą i turystą, oznaczałoby to, że zostałem nagrodzony za jakiś sukces w pracy, jakąś akcję, która sprawiła, że nie nastąpiło zniekształcenie zawartości centralnej pamięci mego komputera, nie dopuściłem do błędnego odcyfrowania jej przez obwód logiczny. Mogłem tego nawet sam nie zauważyć, a nikt mnie o tym nie powiadomił, szczególnie jeśli się to stało w momencie, kiedy szukano przyczyn wielkiej katastrofy, a jeszcze nie odkryto psychoepidemii. Przypuszczenie wyglądało prawdopodobnie i szczerze.

Już w trakcie mówienia zdałem sobie sprawę, że nie może ono być prawdziwe. Nie brało pod uwagę ani mego spotkania z Trzynastką, ani jej początkowej do mnie nieufności, ani późniejszych ostrzeżeń, ani podejrzliwości jej ojca. Na szczęście nie zdążyłem się zdradzić. Sześciąsiem wysłuchał mnie z uwagą, chwilę się wahał, po czym oznajmił:

— Cóż, możliwe — i wyszedł.

Po jego wyjściu zarumieniłem się, ale gdy pojawiłem się w

hali, nikt na to nie zwrócił uwagi. Byłem chyba ostatni. Jakiś głos oznajmił: „Proszę za mną”.

Przewodnik nie przyleciał wraz z nami, ale miał przypiętą fiszkę ze swą podobizną i numerem, nie był to więc Ziemianin i turyści okazali rozczarowanie, choć dobrze wiedzieli, że Ziemianie nie istnieją. Przeszliśmy za nim przez halę i weszliśmy do windy, która zaczęła unosić się powoli w górę. Zatrzymała się, otworzyła, i odnieśliśmy wrażenie, że znajdujemy się na powierzchni Ziemi.

Był to rodzaj tarasu otoczonego ze wszystkich stron jakąś przezroczystą substancją, przez którą przenikało bez przeszkód światło i która bynajmniej nie zniekształcała kolorów. Trzeba jej było dotknąć, by uwierzyć w jej istnienie. A po drugiej stronie widniał pejzaż, który przyszlismy podziwiać, ale czuliśmy się tak, jakbyśmy się znaleźli w samym jego środku.

Wokół nas wznosiły się wielkie rury o nieregularnych kształtach, jedne chropowate, inne gładkie, szare lub brunatne, grubsze i cieńsze. Rozgałęziały się, każda na innej wysokości, a te odgałęzienia, w miarę jak oddalały się od centrum, dziwnie się zwężały. Poczawszy od pewnej wysokości ruszowanie to przesłonięte było przedmiotami o kształtach to stożkowatych, to okrągłych, to walcowatych, ale wszystkie były zielone, zielenią najrozmaitszych odcieni — od jasnożółtego do ciemnoniebieskiego.

Podszedłem, aby się lepiej przyjrzeć, i zobaczyłem, że ta zielona masa składa się z maleńkich lusek. Były one okrągłe, owalne i wielokątne, na każdej rurze inne, ale na tej samej nie różniły się od siebie.

Przewodnik dał nam się do woli przyjrzeć tym przedmiotom, nim wyjaśnił, że są to drzewa, które razem tworzą las. Te dwa słowa były nam znane, ale nie kojarzyły się dotąd z niczym: na Księżycu nie mogliśmy obejrzeć żadnego lasu.

Przewodnik wytłumaczył nam, że las ten różni się od innych lasów tym, że rosną w nim po jednym drzewa wszystkich gatunków. Po kolei wymieniał nazwy, precyzując, jakimi to szczególnymi cechami ich — jak to określił — listowie i gałęzie różnią się między sobą. Słuchacze zaczęli się nudzić. Musiał to wyczuć i zmieniwszy ton przypomniał nam, że las nie składa się jedynie z drzew.

Poszliśmy za nim parę kroków i u stóp drzew dostrzegliśmy lśniąca smugę, w której odbijały się zieleń i niebo.

— Jest to strumień nawadniający las — oznajmił przewodnik i zrobił pauzę, abyśmy po raz pierwszy w życiu mogli się przyjrzeć płynnej substancji naturalnej. Potem poradził nam, abyśmy zwrócili uwagę na brzegi strumienia.

Były obrośnięte czymś w rodzaju zielonego uwłosienia, ponad które wystawały okrągłe tarcze oraz kulki — niebieskie, czerwone, fioletowe, żółte i białe.

— A to co? — spytała jedna z turystek.

— To kwiaty — odparł przewodnik.

Jego oświadczenie powitała pełna szacunku cisza. Ta sama kobieta jeszcze raz przyjrzała się wszystkiemu i znów zażądała informacji:

— Las składa się tylko z roślin, prawda?

Przewodnik okazał zadowolenie.

— Zupełnie słusznie. A teraz proszę spojrzeć w tę stronę.

Wskazał na któreś z drzew, potem na drugie. Stały tam na dwóch nóżkach jakieś dziwne stworzonka. Wyraźnie widać było ich okrągłe oczka. Każde z nich wyglądało inaczej, nie ruszały się.

— Oto widzicie ptaki — oznajmił przewodnik i wszyscy turyści wstrzymali oddech, a potem głęboko westchnęli. Wysłuchaliśmy szczegółowych wyjaśnień, starając się zapamiętać

nazwy wszystkich gatunków. Oglądanie lasu miało się ku końcowi. Przewodnik zmierzał do konkluzji. Jeszcze raz wskazał na drzewa, strumień, trawę, kwiaty, ptaki i wygłosił końcowe zdanie:

— Oglądacie Przyrodę.

Turyści pragnęli od razu podzielić się wrażeniami i wnioskami, ale uprzejmość nakazywała chwilę się zadumać i ta sama kobieta, którą zastanowiło, do czego służą kwiaty, skorzystała z milczenia, by wykrzyknąć:

— Od razu widać, że Przyroda na Ziemi już wymarła!

Wszyscy okazali zdziwienie, a geohistoryk spytał ją, co właściwie ma na myśli. Z kolei ona zdumiała się.

— Przecież nic nie słychać — zauważyła. — Nawet ptaki milczą.

Choć nie zwróciłem na to uwagi, miała ona rację: las milczał.

— Drzewa milczały zawsze — oznajmił przewodnik z zakłopotaną miną. — A jeśli chodzi o ptaki, to tylko słowik odznaczał się pewnymi walorami akustycznymi.

I wskazał na przycupniętego na gałązce brunatnego ptaszka.

— Ale obecnie jego głos się zmienił, oczekuje się, że zastąpi go jakiś inny ptak.

— A tego słowika nie dałoby się wyleczyć? — zapytała kobieta.

Zainterweniował geohistoryk:

— Czyż pani nie widzi, że nie są to ptaki, tylko modele ptaków?

Nareszcie zrozumiałem, o co chodzi, i nie byłem w tym odosobniony. Nie tylko ptaki były wiernymi reprodukcjami oryginałów, cały las był znakomitą kopią natury.

Trudno nam to było odgadnąć, skoro nigdy nie widzieliśmy prawdziwego lasu i nie wiedzieliśmy, na czym polega różnica między drewnem na przykład a substancją, która

posłużyła do wyprodukowania tych drzew. Choć można to było z góry przewidzieć, poczuliśmy rozczarowanie.

— Rozumiem — powiedział staruszek o krzaczastych brwiach. — Gdybyśmy tych przedmiotów mogli dotknąć, od razu poczulibyśmy, że to imitacja.

Geohistoryk nie zgodził się. Przyroda została zrekonstruowana w sposób doskonały. Ciągłe ta sama kobieta, która częściej od innych zabierała głos, zadała następne pytanie:

— Czy po Wielkim Krachu nie ocalał na Ziemi żaden prawdziwy las?

— O ile nam wiadomo, to nie, o ile wiadomo, nie — odpowiedział przewodnik niepewnym głosem i zaraz stanowczo dodał: — Pokazujemy państwu jedyny las doskonały. — Sprezycował: — Widzicie państwo po jednym egzemplarzu każdego gatunku drzew.

Turystów zadowoliło to wyjaśnienie i dyskusja byłaby wygasła, gdyby nie uwaga geohistoryka:

— Zresztą tak czy owak niedozwolony jest wszelki kontakt z tymi przedmiotami, gdyż prawdziwe czy nieprawdziwe, znajdują się one na Ziemi, a my jesteśmy od niej odizolowani.

Twarze podróżnych zasępiły się.

— Gdybyśmy podczas podróży nie przestrzegali ściśle tej izolacji, zobaczylibyśmy, co by się z nami stało po powrocie.

— A to dlaczego?

— Z powodu mikrobów. I wirusów! — wykrzyknął geohistoryk, ale nikt nie znał tych terminów. Dorzucił więc: — Wywołują one epidemie.

— Psychoepidemie? — zapytała znów ta sama kobieta.

Wspomnienie było zbyt świeże i zbyt bolesne: wszyscy poczuli się zaalarmowani, mało brakowało, a po wstałaby panika, tym bardziej że inny turysta spytał wskazując brodą gdzieś ponad swoją głową:

— Więc ta nasza psychoepidemia, ta, która wywołała wielką katastrofę, została przywleczona z Ziemi?

Przewodnik, geohistoryk i reszta podróżnych zaczęli się nawzajem przekrzykiwać, każdy utrzymywał co innego, ale ja bawiłem już myślami zupełnie gdzie indziej: zacząłem się zastanawiać, czy nie ma związku między ziemskim pochodzeniem psychoepidemii a moją podróżą, o której ciągle nie wiedziałem, czy została mi ona zaofiarowana, czy narzucona. Wydało mi się, że ta druga hipoteza wyjaśniałaby pewne słowa Trzynastki, a szczególnie jej ostrzeżenie. Turyści zaczęli wreszcie słuchać w skupieniu przewodnika, który wygłosił coś w rodzaju przemówienia. Oświadczył, że nie mają się czego obawiać, bowiem podczas całego pobytu na Ziemi pozostaną ściśle odizolowani od niej, od jej wód i atmosfery, znajdując się w dodatku pod ścisłą kontrolą i opieką medyczną, którą zapewnią im białe fartuchy. Uznał widać, że uspokoił wzburzone umysły, dodał bowiem, że dzisiejsza wycieczka nie dobiegła jeszcze końca.

Ledwie zamknął usta, taras, na którym znajdowaliśmy się, zaczął kręcić się w miejscu. Znikł las wraz z tym lśniącym, lecz nieruchomym strumykiem, znikły drzewa, kwiaty i syntetyczne ptaki. Gdy taras zatrzymał się, widzieliśmy już tylko niebo. Było jasnoblękitne i opadało aż po ciemną linię, która musiała być horyzontem, choć biegła prosto, nigdzie się nie załamując. Na wysokości naszych oczu zniżała się ogromna kula. Była ciemnoczerwona. Otaczały ją wielokątne nieruchome przedmioty.

— Podziwiającie zachodzące Słońce — oznajmił z emfazą przewodnik.

Był to pewnie cytat z jakiegoś arcydzieła ziemskiego, którego streszczenia uczyłem się niewątpliwie w szkole, a potem

je zapomniałem. Podziwiać było co: rzeczywiście widok był przepyszny, ale przecież prawdziwe Słońce było zupełnie innego koloru i nigdy nie zachodziło. Co do tego wszyscy byli zgodni. Za tą przezroczystą substancją, która zabezpieczała nas przed zarazkami ziemskimi, organizatorzy podróży urządzili drugi spektakl mniej wierny od pierwszego: na tle nieprawdziwie różowego nieba pokazali nam syntetyczną rekonstrukcję Słońca przedstawiając je jako większe i czerwieńsze; poprzedniego dnia widzieliśmy przecież Słońce prawdziwe, które nas omal nie oślepiło. Jednakże nikt nie zaprotestował: widowisko warte było tego, aby je w skupieniu podziwiać.

Czerwone Słońce dotknęło horyzontu. Jakby spłaszczyło się i rozszerzyło. Opadało teraz coraz szybciej, zamieniło się w półkole, a potem nagle znikło. Nad horyzontem pojawił się czerwonawy poblask. Niebo zaczęło się ściemniać. Idąc w stronę windy klaskaliśmy.

Teraź — oznajmił przewodnik —

nadeszła pora na agapy.

Nikt nie zrozumiał. Przewodnik to przewidział.

— Chciałem powiedzieć — wyjaśnił — że rozpoczniemy bankiet.

Tylko geohistoryk zrozumiał, co to oznacza, i aby to okazać, uśmiechnął się z aprobatą. Inni krępowali się wyjawiać swą ignorancję. Przewodnik milczał chwilę, nim wyjaśnił nam poufnym tonem, że nie możemy wiedzieć, o czym mowa. Te słowa, które znikły na początku naszej ery, oznaczały tyle, co spożywanie karmy, zwane przez nas zwyczajnie pożywianiem się. Podniósł głos:

— Dziś pożywimy się na modłę Ziemian.

I poszedł do drugiej windy. Udaliśmy się w jego ślady.

Słysząc było jakieś szepty, po czym niespokojny głos spytał:

— Czy spożywanie pokarmów ziemskich nie grozi nam żadnym niebezpieczeństwem?

Po przewodniku widać było, że nie rozumiał pytania. Geohistoryk odpowiedział:

— To zależy.

Inny turysta nalegał jeszcze:

— A to, czym nas teraz uraczą, nie zaszkodzi aby naszemu zdrowiu?

Przewodnik podniósł rękę.

— Nie macie się czego obawiać.

Przypomniał nam, że znajdujemy się w ścisłej izolacji od Ziemi: musieliśmy to przecież zauważyć, oglądając las. Czyżbyśmy uważali, że chroniąc nas przed powietrzem i wodą organizatorzy chcą nas zarazić przez pokarm? — i jego słowa powitano uśmiechem ulgi.

Jednakże bankiet nie przypominał żadnej z naszych karm. Trwał niemal godzinę. Co więcej, miał miejsce w sali, która różniła się bardzo od sal, do których przywykliśmy. Turyści zostali podzieleni na czteroosobowe grupki i posadzeni na niewygodnych siedziskach wokół stołów, z których każdy miał chyba metr kwadratowy powierzchni. Były one źle oświetlone przez dziwne przyrządy, które same pochłaniały część wysyłanego przez siebie elektrycznego światła, tak że musieliśmy zdjąć ochronne szkła. Przed każdym z nas postawiono biały krążek z namalowanym nań kolorowym motywem roślinnym i pojemnik napełniony czerwonym płynem.

Siedziałem obok geohistoryka, kobiety nr 522 316, tej samej, która na widok prehistorycznego lasu zadała tyle pytań, i jej męża, 478 641 — Czterścijedn — który się niemal nie odzywał.

— Mam nadzieję — powiedziała kobieta dotykając swego antycznego przyrządu do jedzenia — że nie zapomniano o zdezynfekowaniu tych przedmiotów. Na co by się zdało chronić nas przed zerwaniem kwiatu, gdybyśmy później mieli pakować prosto do ust jakieś epidemiczne choróbsko!

Geohistoryk uspokoił swą sąsiadkę: te przerażające ją przedmioty, tak samo jak stół i siedzisko, zostały wyprodukowane na Księżycu.

— Wspaniała reprodukcja — oznajmił, podnosząc do góry to, co nazwał talerzem — ale wykonano ją u nas, wystarczy spojrzeć się materiałowi. Tu używano gliny.

Spytałem, co to oznacza.

— Wypalana ziemia — wyjaśnił Czterścijedn — talerz z wypalanej gliny.

— Była to materia tak krucha — dodał jego sąsiad — że z Wielkiego Krachu nie wyszedł cało ani jeden talerz.

I uśmiechnął się do Czterścijedn.

— Widzę, że słyszał pan o glinie.

— Słyszałem? — zdziwił się tamten. — Kiedy ktoś jest geolingwistą, rzadko słyszy coś innego niż słowa języków martenwskich.

Pragnąłem dowiedzieć się, o jakich językach mówi. Odpart:

— O amerykańskim, rosyjskim i francuskim.

Przerwała mu muzyka. Dochodziła z daleka i nie przypominała naszej.

— Ziemianie mieli zwyczaj — poinformował nas geohistoryk — słuchać muzyki odżywiając się.

Milczeliśmy nabożnie.

— Jest to prehistoryczna melodia. Ale Ziemianom ta muzyka nie przeszkadzała rozmawiać.

Miałem szczęście, że posadzono mnie koło niego: znał swój przedmiot i lubił się tym popisywać. Kiedy weszli asystenci niosąc karmę, zwrócił nam uwagę, że przebrali się w stroje, jak to nazwał, antyczne. Turyści aż wykrzyknęli widząc ich czarno-białe stroje obwieszane niepotrzebnymi niewygodnymi połami. Inaczej niż to było w zwyczaju u nas, każdą karmę podawano nam kolejno, ale wszystkie były nam znane, a napój w naszych pojemnikach odznaczał się tym samym brakiem smaku co napoje, które piliśmy na Księżycu.

Geohistoryk powiedział, że proces odżywiania trwał na Ziemi długo, i zrozumieliśmy, czemu asystenci podają nam tylko jedną karmę naraz i przez jakiś czas nie wracają z następną. Wielu turystów milczało, przelknąwszy jak zwykle szybko pokarm. Wielu wykrzyknęło radośnie, a niektórzy

zaczęli nawet bić brawo, gdy rozjaśniła się jedna ze ścian: wszyscy zrozumieliśmy, że zobaczymy nasze telewiadomości.

Nigdy nas nie niepokoiły, nigdy nie alarmowały, odznaczały się ogromną zaletą: były zawsze do siebie podobne. Jedyne wyjątki stanowiły sprawozdania z wielkiej katastrofy i psychoepidemii. I tego wieczoru telekomentatorzy nie zapomnieli o nich wspomnieć, ale w tak uspokajającej formie, że wydawało się, iż komunikat układali oficerowie medyczni. Wprawdzie ostry przebieg powszechnej epidemii trwał jeszcze, ale nie był już tak ostry, a epidemia była jakby mniej powszechna. Większość chorych została zidentyfikowana, sklasyfikowana i poddana teleterapii; pewna liczba chorych pozostawała jeszcze w domach zdrowia, ale nie należało już obawiać się zarażenia i ludzie przestali wycofywać się z czynnego życia. Na ścianie pojawiły się zatłoczone jezdnie, a zaraz potem centra rozrywkowe pełne osób, które przestały się nawzajem obawiać, zaczęły się nawet do siebie odzywać. Rozmawiano z ożywieniem i nikt nie wyglądał na przerażonego myślą, że oto przełknie zaraz czyjeś słowo niosące zarazę. Twarze były spokojniejsze, białe fartuchy pojawiały się rzadziej; telekomentatorzy starali się podkreślić te oznaki zbliżającego się ozdrowienia; potem nastąpiły inne wiadomości i zapomnieliśmy zupełnie, że znajdujemy się na Ziemi. Światło na ścianie zgasło: bankiet dobiegł końca.

Znów rozległa się muzyka, była to melodyjka równie prosta jak ta, którą usłyszeliśmy na początku, ale z nieznanymi mi powodów dziwnie pociągająca. Geohistoryk opowiedział nam, że jest to utwór, którego egzemplarz znaleziono na Księżycu, gdyż jeszcze przed naszą erą ktoś przywiózł go z Ziemi.

— Po staroniemiecku — oznajmił geolingwista — utwór ten nazywa się *Eine kleine Nachtmusik*.

— Kompozycja Mozarta.

— W starofrancuskim języku *moz* jest transkrypcją wyrażenia *mots*, który oznacza słowa, a *art* to tyle co sztuka.

Chciał jeszcze coś dorzucić, ale jego żona oznajmiła, iż czuje się zmęczona, i rozstaliśmy się.

Dochodziłem już do windy, gdy usłyszałem, że ktoś mnie woła. Był to Dwaściadwa. Dwóch nadzorców jadło przy stole ustawionym w głębi sali. Dwaściztery wyszedł już, a na mnie czekał jego przyjaciel. Spotkaliśmy się po raz pierwszy od chwili naszej półkłótni.

— Masz chwilę czasu? — zapytał.

Chciał się dowiedzieć, czy patrzyłem na telewizyjną wiadomość i czy nic mnie nie uderzyło. Chwilę zastanawiałem się i odpowiedziałem:

— Wygląda na to, że sytuacja się polepszyła.

On zaczął nalegać:

— To wszystko? Niczego nie zauważyłeś?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Dwaściadwa chwilę mi się przyglądał, nim zdecydował się zadać mi bardziej konkretne pytanie.

— Nie zauważyłeś, jak bardzo podkreślają, że wkrótce wszyscy już ozdrowieją? To cię nie dziwiło?

— Nie — odpowiedziałem. — Psychoepidemia nie jest chorobą nie do zwalczenia, ale jest chorobą poważną, nic więc dziwnego, że jeśli udaje ją się pokonać, dużo się o tym mówi.

Chwilę milczał: wówczas przypuszczałem, że rozważa to, co powiedziałem, dziś wiem, że zastanawiał się, czy może mi zaufać. Wreszcie oznajmił:

— Mam inne wiadomości. Wszystkie domy zdrowia są już przepełnione. Otworzono wiele nowych ośrodków, ale i tam zaczyna brakować miejsca. Co o tym myślisz?

Odpowiedź była łatwa: epidemia dalej szaleje.

— A dlaczego komentatorzy mówią inaczej?

— Aby zapobiec ogólnej panice.

Dwaścjadwa uśmiechnął się.

— W takim razie zachowaj dla siebie moje wiadomości. Po co przerażać turystów. Niektórzy żądaliby natychmiastowego powrotu.

Nie odpowiedziałem.

— Albo mogliby zapragnąć zostać na Ziemi — dodał, a ja przypomniałem sobie naszą pierwszą rozmowę.

Byłem nadal przekonany, że wraz z Dwaściczą zaproponowali mi okreśną drogą, abyśmy wspólnie zbieżyli z wytyczonej trasy wycieczkowej, i że teraz robi do tego aluzję. Już miałem powiedzieć to głośno, ale miałem do niego żal, że okazuje mi nieufność, nie robiąc mi tej propozycji wprost.

Milczałem więc, on też milczał i nie przyszło mi do głowy, że milczy z tego samego powodu. Ograniczyliśmy się do wzajemnych życzeń spokojnego snu i rozstaliśmy. O ile dobrze pamiętam, spałem świetnie, w każdym razie zbudził mnie dopiero asystent: mieliśmy wybrać się z wizytą do Muzeum Maszyn.

Było tak ogromne, że nie dałoby się pomieścić go na Księżycu; w blasku słonecznym ustawione tam były przedmioty, z którymi nikt z nas nigdy się nie spotkał. Każdy z nich znajdował się pod kloszem z przezroczystej materii, a to dla celów konserwacyjnych, a także po to, by nie narazić turysty z Księżycy na ryzyko zarażenia. Żałuję, że nie zapamiętałem wszystkich objaśnień, ale pojawiłem się w ostatniej chwili i nie udało mi się stanąć koło geohistoryka, którego mógłbym wypytać.

Musiałem się ograniczyć do przysłuchiwania teległosowi, który włączał się za każdym razem, gdy nasza grupa podchodziła do jakiejś maszyny. Przyglądaliśmy się każdej z kolei z mieszaniną zdumienia i obawy, zastanawiając się, do czego mogła służyć. Zwykle były zbyt długie lub zbyt wysokie, a

także zbyt skomplikowane, wyposażone w niepotrzebne części, jak na przykład ten długi pas zwierzęcej skóry, łączący z sobą dwa metalowe cylindry, z których jeden kończył się zębatą tarczą. I ten aparat, tak jak wiele innych, nie przetrwał w całości. Niektóre uzupełniono tworzywami sztucznymi według wskazówek paleotechników. Z innych maszyn pozostały tylko fragmenty, często zbyt małe, aby dało się odgadnąć, czemu służyły i jak mogła wyglądać maszyna, której stanowiły częścią. Zostały pokazane osobno. Turyści wymieniali przypuszczenia i żarciki oglądając na przykład metalowy pręcik z jednej strony zaostrowany, z drugiej kończący się rozplaszczaniem, który teległos przedstawił:

— Nazwa: gwóźdz. Zastosowanie nieznane.

Dalej weszliśmy w sektor maszyn służących do przewozu ludzi. Ziemiańskie musieli poruszać się po powierzchni planety i pokonywać duże dystanse.

W sąsiedniej sali dostrzegliśmy przyrządy równie prymitywne, ale mniejszych rozmiarów. Zauważyłem aparat nazywany aparatem fotograficznym, który służył do fabrykacji kopii rzeczywistości, ale w dwóch tylko wymiarach, aparat telegraficzny, który przesyłał na odległość słowa, ale potem należało przepisywać je ręcznie, aby mógł się z nimi zapoznać ich odbiorca, i aparat telefoniczny, służący przekazywaniu dźwięków.

W innej znów sali stała maszyna, której nazwę znano, nie znając jej przeznaczenia. Zrobiona z drewna — materii dostarczanej przez drzewa — miała kształt prostokątnej bryły ustawionej na czterech kółeczkach i nazywała się *telega*. Miałem szczęście podejść do niej wraz z Czterścідwa, geolingwistą, który wyjaśnił mi, że nie odkryto pochodzenia tego słowa. Pierwsze dwie sylaby — *tele* — które zachowaliśmy w naszym języku, oznaczały odległość. Ale ostatnia sylaba stała się tematem najgwałtowniejszych polemik, gdyż tylko ona mogłaby

pomóc wykryciu, do czego ten instrument służył.

— Zważywszy, że znamy znaczenie słowa *tele*, należy przypuścić, iż chodzi o środek komunikacyjny, którego sposób użycia określała trzecia sylaba, ale z drugiej strony sylaba ta może określać odległość, w jakiej ów aparat miał się znajdować od źródła poruszającej go energii. Powstaje więc pytanie, co i w jakim języku oznacza *ga*?

I sam zaczął obszernie odpowiadać na swoje pytania, przypominając, iż źródłosłowy ziemskie nie zmieniały się w ciągu stuleci przechodząc z jednego języka do drugiego, natomiast końcówki, o ile ich w ogóle nie zarzucano, zmieniały się najpierw w języku mówionym, a potem i w piśmiennictwie. Cytował liczne przykłady, które wypadły mi z pamięci.

— Przypuśćmy więc, że *ga* jest rdzeniem słownym niepodlegającym przemianom, ale wobec tego rdzeniem jakiego słowa? W staroamerykańskim istnieją dwa takie słowa: *gang*, oznaczający grupę robotników pracujących nad wykonaniem tego samego zadania, i *gaz*, który znaczy tyle co benzyna, będąca produktem służącym do poruszania pewnego rodzaju pojazdów. W obu więc wypadkach i *telegang*, i *telegaz*, w skrócie *telega*, byłyby określeniem źródła lokomocji, niezależnie od tego, czy poruszałyby go siła ręczna czy mieszanka napędowa.

I wskazując ręką na maszynę, koło której przystanęliśmy, zwrócił nam uwagę, że i ona jest uszkodzona, tak jak tyle innych.

— Pozostało *tele*, ale brakuje jej *ga* — oznajmił i pierwszy się roześmiał; przerwała mu żona, chcąc pokazać mu przyrząd, którym Ziemianie za pomocą rwącej się nici łączyli z sobą kawałki materiałów pochodzenia roślinnego lub zwierzęcego, czyli podlegających zniszczeniu, po to aby produkować z nich odzież. Poszedłem za nim i usłyszałem następną

wypowiedź teległosu:

— Nie należy zapominać o trudnościach, których przyspa-
rzała Ziemiom obecność atmosfery.

Głos umilkł, a temat ten zaczął rozwijać geohistoryk oto-
czony zewsząd turystami.

— Jak na przykład wiatr — powiedział. — Znane są setki
odmian wiatru, poczynając od przeciągu, który wywoływał
ból, a kończąc na cyklonie, który zabijał.

Zaczął je wylizywać, charakteryzując każdą odmianę wiatru.
Odszedłem więc, by przyjrzeć się dwóm maszynom, z których
jedna służyła podobno podgrzewaniu karmy, a druga jej za-
mrażaniu, bowiem w stanie naturalnym była ona niejadalna
lub ulegała szybko zepsuciu. Jakaś kobieta wypowiedziała na
głos to, co pomyśleli wszyscy:

— Dzikusy!

— Swoją drogą mamy szczęście, że mieszkamy na Księży-
cu.

Ostatnia zwiedzana przez nas hala była tak ogromna, że
zmieściłoby się w niej sto naszych sal pracy. Było tu jeszcze
więcej maszyn i robiły wrażenie lepiej zachowanych, dwie
były zupełnie nietknięte. Niektóre były zrobione z drzewa,
większość z metalu, na ogół były to maszyny niewielkie, ale
jedna była tak ogromna, że w żaden sposób nie dałoby się jej
zmieścić na księżycowej ruchomej jezdni. Składały się z kół i
walców, dźwigni i pedałów, korb i przeciwważników, a także
zębatach kółek, śrubek, szczypiec, krzywek i sprężynek.

— Kolekcja maszyn służących do fabrykacji papierowego
pieniądza — oznajmił teległos. — Była ona zainstalowana we
wnętrzu ziemi, nie podlegała więc ujemnym działaniom atmos-
ferycznym i mniej dotknął ją Wielki Krach.

Nie bardzośmy zrozumieli.

— Papierowy pieniądz? — powtórzyło kilku mężczyzn.

— Inaczej mówiąc banknoty — wyjaśnił geolingwista.

Turyści wymienili zdumione spojrzenia. Tylko jedna kobieta ośmieliła się przyznać do ignorancji.

— Do czego to służyło?

Geohistoryk tylko czekał na to pytanie. Rozwiódł się szczegółowo nad prymitywizmem życia Ziemiaków, przeciwstawiając mu nasze życie. U nich nie wystarczyło tak jak u nas przepracować pewną liczbę godzin, zarejestrować swój numer wchodząc i wychodząc z pracy, aby otrzymać za to kwaterę, karmę, odzież, drażetki, a w wypadku opuszczenia pracy natychmiastową pomoc medyczną, kiedy to zostawało się poddanym psychobadaniom i leczonym w domach zdrowia. Ziemiaków w zamian za swoją pracę otrzymywał metalowe krążki zwane monetami, które wymieniał na potrzebne mu przedmioty pod warunkiem, że miały one tę samą wartość, co posiadany przez niego pieniądz. Ponieważ o metale zaczęło być trudno, zastąpiono je kawałkami papieru, coraz to zmniejszając ich rozmiary.

— Im więcej posiadano tego papieru, tym więcej rzeczy można było nabyć — oznajmił uczonek. — Jeśli się go nie posiadało, nie miało się prawa do niczego.

Turyści z niedowierzaniem przyglądali się tym dziwacznym mechanizmom, które służyły do produkcji papierowego pieniądza. Starzec o krzaczastych brwiach wysunął się naprzód, by oznajmić:

— Szkoda, że nie wystawiono tych papierków obok każdej maszyny.

— Banknotów nie odnaleziono. Wszystek papier na Ziemi spłonął podczas Wielkiego Krachu.

Ponad godzinę staliśmy w tym muzeum i chodzili, co na Ziemi wymaga wysiłku fizycznego, do którego nie przywykliśmy. Organizatorzy podróży przewidzieli nasze zmęczenie i nie zmuszali nas do odbycia następnego bankietu na ziemską modłę, po prostu jak zwykle w ciągu paru minut spożyliśmy posiłek, po czym zjechaliśmy windą do importowanego z Księżyca centrum rozrywkowego. Na ścianach ślizgały się telewiadomości, na katodowych szachownicach komputery grały w szachy, na ekranach elektronicznych rozgrywały się fikcyjne akcje, słowem, poczuliśmy się jak w domu.

Żartowano, śmiano się, a zmęczenie dzięki paru drażetkom znikło bez śladu, wszyscy, jeden przez drugiego, zaczęli się gadać. Zaczęło się od rozmowy o Muzeum. Ktoś zauważył:

— Biedacy! Pomyśleć, że musieli się posługiwać skórą zwierzęcą, chcąc wprowadzić coś w ruch!

— I odżywiać się łatwo psującą się karmą!

— O ile się w dodatku miało na nią papierki!

Odnoszono się do naszych ziemskich przodków z mieszaniną ironii i współczucia, ale po trochu zmienił się i temat, i ton rozmów. Powrócono do tego, co uważano za najciekawsze. Turyści podzieliwszy się na małe grupki zaczęli opowiadać o swym życiu.

Na życie to składały się wspomnienia z dzieciństwa i ze studiów, praca zawodowa, nieliczne zaburzenia psychiczne, no i oczywiście trafne powiedzonka wnuków. Ktoś mówił, inni przysłuchiwali się, czekając na swoją kolej. Niektórzy przerywali mówiącemu w pół słowa i kontynuowali jego opowieść jak własną.

Chodziłem od grupki do grupki, różniąc się od mych współtowarzyszy podróży młodym wiekiem, który sprawiał, że nie miałem żadnych godnych uwagi wspomnień, z wyjątkiem jednego, zaprzatającego bez przerwy moje myśli — ale tym nie chciałem się z nikim dzielić. Przecież nie mogłem zwrócić się do żadnego z turystów z prośbą, by wyjaśnił mi, czemu znajduję się tu, na Ziemi! Miałem nadzieję, że w centrum rozrywkowym spotkam Sześciątsiem lub jego przyjaciela Osiemsiąt, ale prawdopodobnie zatrzymały ich jakieś ważniejsze sprawy. Wreszcie podszedłem do człowieka, który wprawdzie nie wiedział nic o mnie, za to znał dobrze historię Ziemi.

Geohistoryk właśnie coś opowiadał: podszedłem doń, gdy jednym słowem, którego nie znałem i nie rozumiałem, odpowiedział na zadane mu pytanie.

— Prometeusz — oznajmił i dumnym wzrokiem zmierzył słuchaczy.

Było ich wielu i wydawali się zasłuchani.

— Nie przypadkiem — podkreślił uczony — występuje on w jednej z najważniejszych, jeśli nie w najważniejszej legendzie Ziemi, którzy zrobili z niego równocześnie i boga, i tego, kto buntuje się przeciwko dzierżącym władzę bogom. Ale o różnicy między cywilizacją ziemską a naszą świadczy najlepiej fakt, że żywołem, który Prometeusz porwał bogom, by ofiarować ludziom, był... — tu wykrzyknął: — ogień!

Znaliśmy to słowo nie bardzo rozumiejąc, co ono oznacza. Wiele osób zaczęło naraz coś mówić, milczeli tylko geolingwista i jego małżonka.

— Chwileczkę — powiedział geohistoryk. — Prometeusz

wykradł ogień z nieba Ziemian, czyli z atmosfery. Rozumiecie?

Większość z nas pomyślała, że rozumie. Uczony pokiwał głową.

— Chodzi tu o zjawisko spalania się, które wymaga obecności powietrza. Moglibyśmy więc zapalać ogień na Księżycu, byłoby to jednak czymś zbyt szalonym i niebezpiecznym: co by nam przyszło z marnowania tlenu? Tym bardziej że na Ziemi palono substancje pochodzenia roślinnego, które u nas nie istnieją.

Uśmiechnął się, inni uśmiechnęli się także, i dorzucił:

— Na Księżycu Prometeusz nie byłby sprzymierzeńcem. Raczej podżegaczem. Ale tu na Ziemi i dla Ziemian był i jednym, i drugim.

Zdanie było niejasne, nie znaleźliśmy bowiem sensu słowa podżegacz, ale geolingwista nie zostawił nam czasu na pytanie.

— I jednym, i drugim! — wykrzyknął. — I jeszcze paroma innymi! Po staroamerykańsku słowo *match*, które oznacza małeńki aparacik służący do wytwarzania ognia, oznacza równocześnie kogoś równego, podobnego, kogoś nadającego się do małżeństwa, małżeństwo, związek, przeciwnika, walkę, starcie między dwoma konkurentami lub dwiema ekipami.

Wszyscy roześmieli się, ja także, nie przypuszczając, w jakich okolicznościach przyjdzie mi przeżyć mit o Prometeuszu. Jakiś turysta chciał się dowiedzieć, czy w Muzeum Maszyn znajdował się *match*. Geohistoryk nie był tego pewien.

Nikomu nie przyszło na myśl domagać się obejrzenia ognia, choć nie powinno to sprawić trudności, skoro znajdowaliśmy się na Ziemi. Jedni dalej gawędzili, inni oglądali telewizję: wszystko wyglądało jak najlepiej, psychoepidemia skończyła się, mówili o tym i oficerowie medyczni, i ozdrowieńcy.

Nagle podszedł do mnie Dwaścierztery.

— Wszędzie cię szukam.

Odpowiedziałem mu, że ani na chwilę nie odłączałem się od innych turystów.

— Prawda, jesteś turystą! — zawołał, i nie potrafię powiedzieć, czy w tym wykrzykniku zawierał się wyrzut pod własnym adresem, że o tym zapomniał, czy też kpina ze mnie. — Mam dla ciebie polecenie od Dwaściadwa — dodał szeptem.

Pomyślałem sobie, że widać zdecydowali się porozmawiać ze mną otwarcie. Spytałem jednak:

— A propos podróży?

Myślałem tu o projekcie odłączenia się we trójkę od wycieczki. Dwaściadwa uśmiechnął się kącikiem ust.

— Lepiej późno niż nigdy — zauważył. I dodał po krótkiej pauzie: — Wykazałeś szczyty dyskrecji.

Spytałem:

— Czego chciałbyś się ode mnie dowiedzieć?

Jeśliby mi zadał pytanie, na które wołałbym nie odpowiadać — na przykład na temat Trzynastki — miałem zamiar mu to szczerze wyznać. Ale zamiast zacząć mnie wypytywać oznajmił:

— Przyszedłem w sprawie odjazdu.

— Jakiego odjazdu?

Dwaścierztery znów się lekko uśmiechnął, jakby uważał, że gram przed nim komedię, i to nie najlepiej.

— Chwilowo jesteśmy na pierwszym etapie podróży. Znajdujemy się w miejscu lądowania. Tu pokazuje się parę obrazków ziemskich nie przemęczając podróżnych: las, bankiet, Muzeum Maszyn. Teraz nastąpi odpoczynek, sen i jutro zaraz po przebudzeniu odjazd.

Jeszcze raz chciałem spytać, jaki odjazd ma na myśli, ale on powtórzył moje pytanie.

— Jaki odjazd? Odjazd na wycieczkę po Ziemi.

Nie spuszczał ze mnie oczu, tak jakby obwieścił mi wielką

nowinę, a ja powinienem był wyrazić zachwyt. Staralem się zrozumieć, o co mu chodzi. Czekał cierpliwie z kciukiem w ustach. Wreszcie spytałem, czy to właśnie kazał mi powtórzyć Dwaściadwa.

— A pan nie ma mu nic do powiedzenia?

Zdałem sobie sprawę, że przestał mnie tykać. I odpowiedziałem: — Nie. — Chciał coś dodać, ale nagle wpadł w złość i odwrócił się bez słowa, nie mówiąc nawet do widzenia. Dziś wiem, że na jego miejscu postąpiłbym identycznie.

Sala opustoszała. Tylko komputery grały dalej w szachy, teleekrany pokazywały fikcyjne wydarzenia, po ścianach płynęły telewiadomości. Stałem przed ścianą i zacząłem się jeszcze raz zastanawiać.

Wszyscy czuli się dobrze. Nie było potrzeby kłaść nikogo na psychodiagnozerze. Białe fartuchy stały u wejścia do windy z kieszonkowymi komputerami w ręku. Aparaty te nie wykryły żadnych podejrzanych objawów. To było zresztą do przewidzenia: przecież przez cały czas pozostawaliśmy w ścisłej izolacji od Ziemi i nadal mieliśmy w niej pozostać, tym bardziej że obecnie czekała nas podróż powietrzna, a powietrze, którym oddychaliśmy, zostało uprzednio wysterylizowane.

Z windy weszliśmy do komory, z której prowadziło przejście do aparatu niewiele mniejszego od tego, którym przylecieliśmy z Księżyca, ale o odmiennych kształtach. Każdemu z pasażerów przydzielono łożosiedzisko, które można było odizolować. Zewnętrzne ścianki tego planetolotu były przezroczyste, wystarczyło więc podnieść głowę, by zobaczyć ziemskie niebo, a spuściwszy, oglądać Ziemię we własnej osobie. Była płaska i brunatna, usiana wzgórzami i upstrzona błękitnymi plamkami. Wznosiliśmy się do góry, jeziora zmieniały się w punkciki, rzeki i ziemia zszarzały, pejzaż coraz bardziej przypominał powierzchnię Księżyca z jego głazami i kraterami. Na horyzoncie niebo opierało się o ciemną linię.

— Uwaga, uwaga — ogłosił teległos.

Ciemna linia zaczęła się poruszać, rozświecić. Teległos oznajmił:

— Oto Ocean Atlantycki.

Wszystkie głowy zwróciły się w tym samym kierunku. Z prawej strony kłębiły się czarne, zielone i białe wody, z lewej widniała nieruchoma ziemia. Lecieliśmy teraz wzdłuż linii brzegu oddzielającego fale Atlantyku od zwalisk ruin coraz to obszerniejszych i położonych bliżej siebie. Zniżaliśmy lot.

— Widzicie teraz — mówił teległos — miasto Nowy Jork, największe miasto kraju zwanego Stanami Zjednoczonymi, który to kraj znajdował się na kontynencie amerykańskim położonym między Oceanem Atlantyckim a Oceanem Spokojnym.

Nawet najmniej wykształceni turyści znali ze szkoły nazwę Nowy Jork i oglądali go na teleekranach w widowiskach historyczno-fikcyjnych mających najczęściej za temat Wielki Krach. Nikt więc nie zdziwił się, że to właśnie Nowy Jork obejrzymy jako pierwsze ziemskie miasto, część osób okazała nawet wzruszenie, na próżno jednak szukaliśmy go wzrokiem. Widzieliśmy tylko jezioro, do którego wpadały dwie rzeki, opływające wokół wąską i długą wyspę. Planetolot nasz stał już niemal w miejscu, dalej zniżając lot.

— Oto Nowy Jork — powtórzył teległos i wielu turystów wydało okrzyk.

— To jakaś omyłka! — wołali. — Źle skoordynowano objaśnienia podróży z tąże podróżą, pewnie w obwodzie logicznym komputera nastąpiło jakieś uszkodzenie!

— Musieli się pomylić co do kraju!

— Albo całego kontynentu!

A jakaś kobieta dorzuciła:

— Może pomyliły się im oceany!

Część osób śmiała się, większość wpadła w gniew. Nagle wszyscy umilkli. Planetolot zatrzymał się. Znajdowaliśmy się na wysokości dwustu czy trzystu metrów, tuż przed szerszą z dwóch rzek.

— Rzeka, którą widzicie — kontynuował teległos — wpa-
dała do łączącej się z oceanem zatoki. Cieśnina została zasy-
pana i zatoka zamieniła się w jezioro.

Ekran zapalił się, widniała na nim mapa. To podnosiliśmy,
to opuszczaliśmy głowy: nie mogliśmy odnaleźć żadnego
związku między mapą a pejzażem.

— Chyba się jednak pomylili — powiedział ktoś. — Na
ekranie nie widać jeziora.

— Więc nigdy nie słyszał pan o nowojorskim jeziorze? —
zapytał geohistoryk.

— Nigdy — odparł sucho mężczyzna.

— Jednakże ono istnieje — poinformował geohistoryk.

— Spójrzcie w dół — mówił teległos, jakby brał udział w
dyskusji — i przyjrzyjcie się wodzie jeziora, zwracając uwagę
na jego lewą stronę.

— Widzę coś! — zawołała 323 418. Wyglądała na wzru-
szoną, wszyscy zaczęli ją wypytywać. — Nie jestem pewna, co
to. Jakby ręka, a w niej jakiś przedmiot.

Ja niczego się nie mogłem dopatrzeć, ale siedzący koło
mnie mężczyzna zawołał: — Tak, to ręka!

Zawtórowała mu inna kobieta.

— Ręka?

Wiele osób zaprzeczyło. Ktoś zawołał:

— Czyżby to był Ziemianin?

Sznastka, żona geolingwisty, specjalistka od zadawania
pytań, dorzuciła:

— A może Ziemianka? Ale wobec tego były to olbrzymki!

Nikt nie szczędził pytań: chciano znać wzrost naszych
przodków, dowiedzieć się, czy odkryto także innych, czy ten
był jedyny i czy woda i powietrze mogą działać równie kon-
serwująco jak próżnia. Ośmnastka miała zdaje się najlepszy

wzrok, ale chwilę wahała się, nim zabrała głos.

— Wydaje mi się, że ta ręka jest z jakiegoś metalu — szepnęła, wzbudzając śmiech otoczenia.

— To prawda — potwierdził geohistoryk. — Jest to prawa dłoń antycznego posągu, który załało jezioro, a który nosił nazwę Posągu Wolności, niosącej światło światu.

Chciał mówić dalej, ale planetolot ruszył z miejsca schodząc ukośnie w dół. Po chwili zatrzymał się i teległos oznajmił:

— Obecnie oglądacie Nowy Jork. Na prawo dzielnica Brooklin, na wprost Manhattan.

Było tu dużo betonu, żeliwa, cegiel, szkła i tynku, ale jeszcze więcej zniszczeń i ruin. Wszystkie proste załamywały się, wszystkie krzywe strzępiły, nie ostał się ani jeden prawidłowy czworobok, koło, trójkąt. Zwaliska dziwacznych przedmiotów z trudem po tylu latach utrzymywały jeszcze równowagę, nie wiadomo było, do czego mogły one kiedyś służyć, wszędzie leżały stosy nieprzydatnych nikomu odpadków.

— Proszę porównać Nowy Jork sprzed Wielkiego Krachu z Nowym Jorkiem obecnie.

Na ekranie zamiast mapy pojawił się obraz miasta, na które składały się prostokątne wieże stojące tak blisko siebie, że nie widać było ulic, a światło dzienne dochodziło tylko do wyższych pięter, niżej zaś zastępowało je światło elektryczne. Wieże te były tak wysokie, że gdyby przetrwały, sterczałyby powyżej naszego planetolotu. Na wierzchołku wież widniały kule, kopuły lub iglice, każda wieża od góry do dołu podziurawiona była rzędami otworów.

Nic z tego nie przetrwało. Wystarczyło spojrzeć w dół, aby się o tym upewnić. Ruiny stanowiły jakieś świadectwo przeszłości, gruzowiska nie miały żadnej wymowy. Wszystko

zamarło w bezruchu, zarówno szczyby w jakiejś niezrozumiałej bryle z nieznanego materiału, jak i wygięta w kokardę stalowa. Wszystko to mogłoby równie dobrze znajdować się w próżni na powierzchni Księżyca, gdybyśmy tam zbudowali miasta po to, by je następnie zburzyć; jedynym akcentem lokalnym była olbrzymia okrągła machina z dwiema wskazówkami w kształcie strzałek, jedna z tych, które służyły Ziemiom za godzinniki.

Sznastka i Ośmnastka pierwsze zabrały głos, jedna pewnie dlatego, że jej mąż wołał milczeć, druga dlatego, że podróżowała samotnie.

— I nigdy nikogo nie odnaleziono? — spytała Ośmnastka z wahaniem w głosie.

Wszyscy zrozumieli, co chce przez to powiedzieć, i mąż Sznastki odpowiedział:

— Nikogo.

Turyści rozmyślali wpatrując się w ekran.

— Czy to są okna? — zapytał ktoś i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: — Jeśli na jedno okno przypadały dwie osoby, musiało tu mieszkać wielu ludzi. Może i milion: więcej niż jest nas na Księżycu.

Roześmiał się nieśmiało i zawtórowało mu parę osób.

— Co najmniej dwadzieścia trzy miliony — oznajmił geohistoryk i wszyscy spojrzeli nań z niedowierzaniem.

Ktoś pytał dalej:

— Mężczyzn i kobiet?

— No i dzieci — wtrąciła Ośmnastka.

W milczeniu przyglądaliśmy się dla odmiany szczątkom miasta.

— I nikogo nie odnaleziono? — powtórzyła Ośmnastka, a mąż Sznastki powtórzył:

— Nikogo.

Wtrąciła się jakaś inna kobieta, której numeru nie pamiętam:

— Nie odnaleziono nikogo na tyle milionów ludzi? — Wyraźnie trudno jej było w to uwierzyć. — Żle szukano — oświadczyła.

— W ogóle nie szukano — odparł geohistoryk. — Nie było to możliwe. Dopiero po dwudziestu latach udało się nam znów polecieć na Ziemię, a i wówczas nie można jeszcze było tam dotrzeć.

Gestem wskazała na zgłiszcza Nowego Jorku.

— Wtedy by się ich jeszcze znalazło — zauważyła Ośmnastka i dorzuciła: — Chyba...

Sznastka aprobująco uśmiechnęła się i powtórzyła:

— Chyba tak.

Ale wydawało się, że jest tego pewna. Na twarzy geohistoryka pojawił się wyraz skupienia, jak zwykle gdy zamierzał wdać się w szczegółowe objaśnienia.

— Wielki Krach — oznajmił — którego koniec zwiastował początek naszej ery, trwał według naszych badań pięć do siedmiu minut.

Chciał ciągnąć dalej, ale liczne głosy przerwały mu, by spytać, czy po upływie tych paru minut nie pozostał na Ziemi ani jeden żywy człowiek.

— Nie pozostał nawet ani jeden trup.

Miał taką minę, jakby nas o to obwiniał, i zaczął tłumaczyć, że w ciągu tych paru minut wszystkie substancje pochodzenia roślinnego i zwierzęcego, a także część innych zamieniły się w popiół, który zmyły deszcze, i w parę, którą rozwiały wiatry. Chciał mówić dalej, ale Ośmnastka przerwała mu w pół zdania:

— Więc nie odnaleziono nawet niczych szczątków?

Jej mąż zaśmiał się ironicznie, nim odpowiedział:

— Odnaleziono dłoń Wolności.

Już od dłuższego czasu teległos opowiadał nam o wyschłych rzekach i zatopionych wyspach, ale nikt prócz

staruszka z krzaczastymi brwiami tego nie słuchał. Większość turystów zabawiała się dzieleniem liczby mieszkańców Nowego Jorku przez czas trwania Wielkiego Krachu.

— Macie pojęcie? Więcej niż pięćdziesiąt tysięcy zabitych na sekundę.

— Jak to pięćdziesiąt? Więcej niż sześćdziesiąt pięć!

Zachowywali się jak komputery dla dzieci. Wrócili na Księżyc i głośno obliczali, ile sekund trwało unicestwienie Ziemi, przerzucając się cyframi i uważając, że to jest najważniejsze. Starzec z brwiami zaczął bronić swoich przodków, którzy byli Szwedami, innym narodem ziemskim, ale nikt nie wiedział, w ile sekund naród ten znikł z powierzchni Ziemi. Ich potomek mówił o arytmetyce tak, jakby chodziło o rodzinną chorobę. Planetolot pionowo unosił się do góry, linia horyzontu uciekała gdzieś na dno coraz to powiększającego się oceanu, stos odpadków zwanych Nowym Jorkiem skurczył się, jezioro zastygło w świetlany punkcik, a ręka Wolności znikła. Teległos milczał.

— A inne miasta? — spytał staruszek z brwiami. Zaczął się rozglądać. — Przecież musiały istnieć inne miasta — zauważył, jakby jeszcze się nie upewnił co do ich losu.

— Tak — wtrącił ktoś, kto niewątpliwie nie wiedział więcej. — Ale i po nich nic pewnie nie pozostało.

Ośmnastka jeszcze raz spytała, czy nigdy w żadnym zakątku nie odnaleziono żadnego Ziemianina całego lub w kawałkach. Zwróciła się do geohistoryka:

— Choćby tylko jedną rękę, tak jak tutaj!

— Nie znaleziono nawet ręki.

Kobieta, której numeru nie pamiętam, zauważyła nagle:

— W domu mówiło się, że nasi przodkowie pochodzili z miejscowości w okolicach Nowego Jorku.

Jeden z moich sąsiadów spytał, jak nazywała się ta miejscowość. Kobieta nie była pewna i zakłopotana się.

— Jakaś taka głupia, nic niemówiąca nazwa — wyjaśniła.

Geohistoryk uspokoił ją: to nie miało żadnego znaczenia, nie przetrwało żadne miasto — ani duże, ani małe.

— Nasze miasto — odpowiedziała kobieta przybierając nienaturalny wyraz twarzy — nie należało do najmniejszych.

— Jeśli po powrocie odnajdzie pani jego nazwę, odszukam je dla pani na starych mapach.

Kobieta westchnęła:

— Zobaczę tylko punkcik.

— I tak tutaj zostało z niego jeszcze mniej.

Kobieta wyrzała, widać było wzgórza i od czasu do czasu niewielkie zwaliska gruzu.

— Chciałabym obejrzeć ruiny naszego miasta, aby móc o tym opowiadać przyjaciółom.

— Ruiny wszędzie wyglądają podobnie — oświadczył uczony i obiecał jej szczegółowo opisać ich wygląd.

To ją zadowoliło.

— Teraz — zawiadomił nas teległos — pójdziemy spać, aby nabrać sił na jutro.

Zewnętrzne ściany planetolotu pociemniały. Machnąłem ręką przed komórką fotoelektryczną umieszczoną pod moim fotelem. Odizolowany od innych leżałem w czymś w rodzaju komórki: zupełnie jak w domu, na Księżycu. Zdjąłem szkła i przełknąłem pastylki. Ale wbrew przyzwyczajeniu nie usnąłem. Nie myślałem jednak o odbytej wycieczce ani o wycieczkach, które mnie jeszcze czekały, lecz o słowach Trzynastki, gdyż wydawały mi się one coraz bardziej niejasne i alarmujące, w miarę jak coraz to więcej nieznanymi mi osobami okazały mi podejrzliwość lub bawiło rozmową pełną aluzji. Byłem więc ostrożny, lecz nie wiedząc, przed czym mam się ustrzec,

uważałem na wszystko. Teraz na przykład jakiś męski głos zawołał:

— Czy to Nowy Jork pierwszy uległ zagładzie?

Człowiek ten mówił chyba przez sen. Nikt mu nie odpowiedział: wszyscy spali. Usłyszałem ciche kroki białego fartucha, który chciał się chyba upewnić, czy człowiekowi, który się odezwał, nie potrzeba pomocy medycznej. Mną nikt się nie zajmował i to przeszkadzało mi zasnąć.

Obudziła mnie Trzynastka niskim akordem i paroma słowami. Była to dokładna powtórka tego, co miało miejsce podczas naszego spotkania, i znów nie zrozumiałem słów. Staralem się odgadnąć, co znaczą, ale nie zdążyłem, wynurzyłem się bowiem na powierzchnię snu, a właściwie wyrwał mnie z niego głos geohistoryka.

— Na Księżycu — mówił — istniała łączność komunikacyjna z Ziemią, ale na nic się ona nie zdała, skoro ziemskie aparaty nadawcze i odbiorcze uległy zniszczeniu zaraz na początku bombardowania.

Jakiś głos spytał:

— Dlaczego?

Geohistoryk odpowiedział:

— Wszystkie kraje obawiały się widać interwencji księżycowych osiedleńców wroga.

Było to dla mnie niejasne, ale słuchałem dalej.

— Przede wszystkim więc zniszczono we wrogich krajach wszystkie urządzenia telekomunikacyjne służące porozumiewaniu się z Księżycem. My myśleliśmy z początku, że stało się to na skutek snopu promieni kosmicznych albo słonecznego wiatru, jak to wówczas nazywano, a potem było już na wszystko za późno. Rzecz jasna, osiedleńcy rozporządzali odpowiednimi instrumentami, by móc zarejestrować wybuchy, a przynajmniej wybuchy największe, ustalając nie tylko

ich czas, ale także i miejsce. Ale to nie wystarczyło, aby dowiedzieć się, co naprawdę zaszło.

— Trzeba było zapytać Ziemiaków — zauważył ktoś i nareszcie upewniłem się, że nie śnię.

— Ziemiaków nie mogli już odpowiadać — skonstatował sucho geohistoryk.

Umilkł, i teległos, zupełnie jakby korzystając z pauzy, oznajmił:

— Oto Europa.

Dopiero wówczas zrozumiałem, że przez sen pokręciło mi się wszystko, przeszłość z teraźniejszością. Ziemia z Księżycem. W dole widniały jedynie szare popioły. Planetolot nie zwolnił lotu, teległos milczał, znów jednak zabrał głos geohistoryk.

— Ci, którzy u nas na Księżycu byli świadkami wydarzenia, napotkali też na inne trudności. Wiecie chyba, że na Księżycu znajdowały się wówczas dwie duże kolonie, trzecia nieco mniejsza i kilka zgłębiających i pozbawionych znaczenia. W zasadzie osiedleńcy zajmowali się jedynie badaniami naukowymi i po trosze eksploatacją naszych bogactw naturalnych na rzecz Ziemiaków.

Było to całkowitą prawdą w wypadku drugorzędnych krajów, które dokonały też dlatego paru ważnych odkryć w dziedzinie wiedzy. Ale trzy wielkie kolonie przede wszystkim miały do spełnienia inne zadania.

Teległos oznajmił:

— Uwaga. Na prawo Zurych.

Spojrzelśmy: nie widać było miasta, tylko wąskie jezioro i góry. — One są białe — zauważyła Ośmnastka.

— Zadania wojskowe — powiedział geohistoryk.

Ośmnastka nie dała za wygraną: — Chciałabym z bliska przyjrzeć się temu jezioru. Dotknąć jego wód.

— Jakie zadania? — zapytał staruszek z brwiami.

Geohistoryk żywo zwrócił się w jego stronę.

— Chodziło przede wszystkim o wzajemne śledzenie się. Wszyscy wszystkich bez ustanku kontrolowali. Gromadzili więc dokumenty, które odnosiły się wyłącznie do terytoriów ewentualnych przeciwników. Te elektroniczne kartoteki były uważane za dokumenty stanowiące najwyższą tajemnicę stanu.

Wdał się w szczegóły, a tymczasem teległos oznajmił:

— Z lewej strony Hamburg.

Morze koloru ołowiu wrzynało się w głąb szarego lądu, zalewając sterty ruin, które zaczynały już wyglądać nam znajomo.

— Chciałabym zobaczyć z bliska jezioro albo morze — marzyła na głos Ośmnastka, która nie słuchała wyjaśnień uczonego.

Ten spojrział na nią surowo, by zwrócić jej uwagę na fakt, że wielkie kolonie księżycowe nie zostały uprzedzone przez swych ziemskich zwierzchników i choć podejrzewały, że rozpoczęła się wojna, nie miały na to żadnych dowodów. Ani nie wiedziały, kto ją rozpoczął, ich kraj czy któreś z pozostałych dwóch wielkich mocarstw, może nawet dwa równocześnie, nie wiedziały też, kto wygrał, a kto przegrał tę parominutową wojnę. Były tym bardziej źle poinformowane, że wiedziały tylko, jakie straty mógł ponieść ich ewentualny wróg, a nic o tym, jakie straty poniósł ich kraj. Żeby zdobyć pełną informację, trzy kolonie powinny by zapoznać się nawzajem z dokumentami innych, tymczasem dalej przechowywały je w zamknięciu myśląc, że lada moment też wezmą udział w wojnie.

— Były w każdej chwili gotowe do ataku — mówił geohistoryk. — Nasi przodkowie czekali tylko na rozkaz z Ziemi, ale jak już wam wyjaśniłem, Ziemia nie dała sygnału. Oczekali tak parę godzin, po czym na szczęście zdali sobie sprawę, że

odcięci od Ziemi znajdują się w strasznym niebezpieczeństwie.

— Uwaga, uwaga — wtrącił teległos, tak jakby chciał ustrzec przed niebezpieczeństwem antycznych przesiedleńców. — Na prawo Rzym.

Leciliśmy wolniuszko nad obszarem pokrytym kamieniami. Wszystkie kamienie były białe i rzucały czarny cień. Szukałem wzrokiem szczątków, które mogłyby pochodzić z ruin. Nic takiego nie dostrzegłem.

— Dlaczego w niebezpieczeństwie? — spytała Sznastka.

— Dlatego, że w tamtych czasach osiedleńcy byli zaopartywani w żywność przez Ziemiaków. Sami przecież byli Ziemiakami. I nagle zostali zmuszeni do samodzielnej produkcji karmy, nie tylko zresztą karmy, także i wody i powietrza.

— Wody i powietrza — powtórzyła Sznastka.

Inni turyści słuchali geohistoryka z roztargnieniem. Niektórzy wręcz spali. Jeden z nich powiedział do uczonego:

— Musi pan znać wiele pasjonujących faktów.

— Tak — odparł geohistoryk.

Obchodziły go tylko własne badania naukowe, ewentualnie badania kolegów — tak współczesnych, jak prehistorycznych. Pierwsi geohistorycy księżycowi przestudiowali archiwa dawnych kolonii. Księżyc był już wówczas jednym państwem, co ułatwiło dostęp do źródeł. Naszemu towarzyszkowi podróży udało się osobiście dotrzeć do starych dokumentów: miał nadzieję, że ustali wreszcie dokładnie, jak długo trwał Wielki Krach i jakie były jego bezpośrednie następstwa. Badacze przeszłości porównali rejestry wybuchów sporządzone przez trzy zasadnicze kolonie i kilka pomniejszych, aby ustalić porządek chronologiczny wszystkich wybuchów, jakie miały miejsce na Ziemi i zostały u nas zarejestrowane. Ostatnio

odnaleziono w archiwum małej grupki kolonistów pochodzących z kraju zwanego Japonią parę nieznanych dotąd faktów. Jednakże dalej spis nie był kompletny i geohistoryk miał nadzieję, że na Ziemi zdobędzie jakieś dodatkowe informacje. Trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób miał zamiar się do tego zabrać.

— To już moja trzecia podróż — skonstatował.

— Uwaga, uwaga, na lewo Sztokholm.

— Najpiękniejsza ze stolic — oświadczył staruszek z brwiami, oddając hołd odległym przodkom.

Na gruzach kładły się dziwaczne cienie, po metalowych powierzchniach spływały cieniutkie strużki wody.

— Co to? — spytał się jakiś turysta zapytując jakby samego siebie.

Ośmnastka odpowiedziała:

— To deszcz.

Był to pierwszy deszcz, jaki widzieliśmy w życiu, większość z nas ze mną na czele nie wiedziała nawet, co to słowo oznacza. Sznastka zapytała:

— Czy w dniu Wielkiego Krachu padał deszcz?

— Nikt na to nie zwrócił uwagi — odparł geohistoryk i uśmiechnął się. — Wybuchy i pożary rozpoczynały się co sekundę, jeśli nie w tej samej chwili.

Obecnie turyści przysłuchiwali mu się pilnie, zasypując pytaniami. Opowiadanie geohistoryka stało się dla nich czymś żywym w chwili, gdy patrzyli na rozciągający się im u stóp krajobraz i mieli wrażenie, że sami słyszą huki dalekich wybuchów. Znowu przerwał teległos:

— Uwaga, na prawo Ateny.

Z jednej strony wznosiły się góry, z drugiej błękitno-zielonkawe morze. Wzgórza i dolina pokryte były kamieniami, większymi niż w innych miastach, gładszymi, bardziej błyszczącymi, może dlatego, że padał na nie blask słońca znajdującego się w samym centrum nieba. Było to jedyne

miejsce, gdzie szczątki zachowały pewną regularność kształtów, świadcząca o tym, że były dziełem ludzkiej ręki. Pomyślałem, że tu należałoby się zatrzymać, aby je dokładniej obejrzeć, a jakaś kobieta powiedziała głośno:

— Szkoda!

I już wzgórza zagarnęło morze, nadpłynawszy spoza horyzontu. Uczony mówił dalej. Interesował się jedynie chronologią wydarzeń i wyjaśniał za pomocą cyfr, dlaczego nie da się ustalić, czyja bomba wybuchła pierwsza, czyli kto rozpoczął wojnę.

Ośmnastka po raz pierwszy brała udział w podróży na Ziemię i zrozumiała nagle, że ma historykowi za złe, iż wyliczaniem cyfr przeszkadza jej w kontemplacji pejzażu. Toteż zauważyła kpiąco, że nie widzi, w jaki sposób uczony zamierza zdobyć jakieś dokumenty ziemskie, nie opuszczając — zgodnie z przepisami — aparatu.

— Widać ma nadzieję, że nagle zauważy pośród gruzów jakieś akta naszykowane tam uprzejmie przez Ziemian. Ja wolę patrzeć w chmury.

Dla wielu turystów, tak zresztą jak dla mnie, chmury były nowym słowem. Więc w ślad za Ośmnastką wpatrzyliśmy się w niebo, a geohistoryk tymczasem tłumaczył, że rejestruje każde znajdujące się na naszej trasie skupisko gruzów, niezależnie od tego, czy jest ono duże czy małe; o losie wielu miast nie doniosły nic komputery księżycowe, w ten sposób kompletował więc liczbę tych miast. Wielu innych uczonych zajmowało się tymi poszukiwaniami, ale jemu udało się już odkryć i nazwać ruiny dwóch antycznych miast, które wraz z innymi uległy zniszczeniu — był to Salzburg i Ferrara. Zniżył głos, by dodać tonem zwierzenia:

— Kiedyś dowiemy się wszystkiego.

— O początku i o końcu Krachu? — spytał starszek.

Geohistoryk rozpoczął nowe wyjaśnienia. Za koniec przyjęło się uważać moment, gdy ostatni zarejestrowany na Księżycu wybuch skończył się, ustępując ciszy, nazwanej ciszą wieczystą.

— To w tym właśnie momencie rozpoczął się rok pierwszy naszej ery. — Uśmiechnął się. — A jeśli kiedyś odkryje się ślady późniejszej eksplozji, trzeba będzie przesunąć datę końca wojny i początku ery księżycowej.

Turyści zasnęli. Na nieistniejące już miasta znów padał deszcz. Geohistoryk z braku rozmówców sam zaczął sobie stawiać pytania.

— Czy była to wojna? Możliwe. Fenomen naturalny? I tego nie da się wykluczyć. Stąd lepiej używać terminu „krach”, który trafniej określa wydarzenie, niezależnie od tego, jakie były jego przyczyny.

Na chwilę umilkł, by powiedzieć z naciskiem:

— A dla precyzji należy mówić o Wielkim Krachu.

— Uwaga, uwaga — znów włączył się teległos. — Na lewo Moskwa.

Gruzy ciągnęły się aż po horyzont. Było ich tyle, że potworzyły się z nich wzgórza, nie widać było ziemi i tylko gdzieś tam wydobywała się spod zgliszcz wstęga rzeki.

— Było to największe miasto ziemskie — oświadczył jakiś mężczyzna.

Robił wrażenie pewnego siebie. Zapamiętałem jego numer: 262 153.

Zaczęliśmy obniżać lot. Kobieta, która pochodziła z Ameryki, zwróciła nam uwagę, że gruzy piętrzą się na mniejszą wysokość niż w Nowym Jorku.

— Miasto wydaje się olbrzymie — oznajmiła — gdyż domy były tu niższe, zajmowały więc niepotrzebnie więcej miejsca, a naprawdę było mniejsze niż Nowy Jork.

Pięćsiątrzy był innego zdania.

— Wystarczy zbadać kubaturę tych zgliszcz — zauważył starszek z brwiami. Spojrzał na geohistoryka. — Nie wziąłem ze sobą mego pomiernika. Gdybym był wiedział...

— I tak by nic z tego nie przyszło — zauważyła Ośmnastka.

Wtrącił się oczywiście geohistoryk.

— W Nowym Jorku wieże były wyższe i położone tak blisko siebie, że przejścia między nimi węższe były od naszych jezdni. Wieże Moskwy zbudowano w pewnej odległości jedna

od drugiej — między nimi mieściło się coś, co nazywano ogrodami — za to miasto zajmowało dużo większą powierzchnię.

Turyści wpatrywali się w gruzy, jakby chcieli wymierzyć ich objętość gołym okiem. Podzielili się na stronników kobiety, która broniła Nowego Jorku, i stronników Pięćsiątrzy, który był za Moskwą.

Teległos opowiadał coś, czego nikt nie słuchał. Aparat obniżył lot i podróżni korzystali z tego, by wskazywać sobie nawzajem oddalone od siebie stosy szczątków i oceniać ich kubaturę.

— Co to jest? — spytała milcząca dotąd Sznastka.

— Coś tam błyszczący!

Wśród zgaszonej czerwieni widać było coś zaokrąglonego i prześwitującego złotem. Turyści nie zwrócili na to uwagi, pogrążeni w obliczeniach. Korzystając z ciszy Ośmnastka spytała szeptem:

— A ilu tu było mieszkańców?

Nikt o tym nie pomyślał.

— Jestem przekonana — oznajmiła kobieta, której przodkowie pochodzili z Ameryki — że Nowy Jork miał więcej mieszkańców od Moskwy. W rodzinie mówiło się zawsze, że sądząc z opowieści pradziadów Nowy Jork był strasznie przeludniony.

Znów rozpoczęła się dyskusja. Teoretycznie oba obozy rozporządzały tą samą ilością argumentów, ale stronnicy Nowego Jorku mieli jedną przewagę nad stronnikami Moskwy — należała do nich kobieta, która powoływała się na świadectwo przodków: kiedy przeciwnicy zarzucali ich jakimiś przekonującymi argumentami opartymi na obliczeniach, kobieta odwoływała się do wspomnień z dzieciństwa, do słów dziadka, który, by ją uspić, powtarzał jej zasłyszane za młodu opowieści, jak to kiedyś mieszkało się na Ziemi, w tym sąsiadującym z Nowym Jorkiem mieście, którego nazwę zapomniała.

Matematycy musieli się wycofywać, stronnicy Moskwy milknąć, zwaly gruzów w dole zajmowały całą widzialną przestrzeń, nic nie świadczyło o tym, ilu tu ludzi mieszkało, wszystko wołało o tym, że ci ludzie wyginęli.

— Wydaje mi się, że to tutaj — powiedział Pięćsiątrzy, wskazując na miejsce, gdzie spod gruzów wydobywała się rzeka.

Czekał aż dotąd, aby pochwalić się, że rodzina jego ojca pochodziła z antycznego miasta, które później stało się jednym z przedmieść Moskwy. Wiedział, że znajdowało się ono o pięćdziesiąt mniej więcej kilometrów od centrum stolicy, i zaraz stronnictwo wyższej liczebności Moskwy zasypało go pytaniami. Chciano się dowiedzieć, czy przypadkiem kwatery nie były mniejsze, niż to utrzymywano, no i zamieszkane przez większą liczbę osób. Pięćsiątrzy nic o tym nie było wiadomo.

— Co o tym mówił pański dziadek?

— Dziadek opowiadał o innych sprawach.

Jako dziecko Pięćsiątrzy słuchał często opowieści o najbardziej znanym ze swych przodków, o kosmonaucie, który na prymitywnej rakiecie odbył jedną z pierwszych podróży kosmicznych. Wyruszył w kosmos i nie powrócił, ale ustalono, że opuściwszy swój statek zaczął krążyć dookoła Słońca, czyli stał się nową planetą.

— Powstały o nim całe legendy — przyznał się z zakłopotaniem Pięćsiątrzy.

— Niech nam je pan opowie! — zawołała Sznastka, ale zakrzyczeli ją inni turyści, którzy pragnęli zająć się obliczeniami, ilu mieszkańców miała Moskwa.

Dyskusja rozpoczęła się od nowa, wreszcie wtrącił się geohistoryk.

— Ilu mieszkańców miała Moskwa? — spytał. — Według ostatnich statystyk ziemskich Moskwa liczyła dziewiętnaście i pół miliona mieszkańców.

— Czyli mniej niż Nowy Jork! — zawołała kobieta.

Uczony przypomniał jej, że ostatni spis mieszkańców Moskwy miał miejsce na cztery lata przed Wielkim Krachem, a Nowego Jorku trzy i pół roku później.

— Przez ten czas liczba mieszkańców Moskwy wzrosła bez wątpienia o ładnych parę milionów.

— Pięć lub sześć! — zawołał Pięćsiątrzy. — Czyli była większa od Nowego Jorku.

Geohistoryk zastanawiał się.

— Chyba trzeba przyjąć, że oba miasta liczyły mniej więcej tyle samo mieszkańców. Po dwadzieścia trzy miliony.

Wszyscy turyści wyraźnie obliczali coś sobie w myślach.

— Zaraz pokażemy wam parę wizerunków antycznej Moskwy — oznajmił teległos.

Zapalił się ekran. Wśród wysokich murów czerwonych tą samą czerwienią, co gruzy w środku miasta, widniały budynki zakończone okrągłymi wieżami i złożonymi bulwami. Teległos oznajmił:

— Kreml, twierdza Moskwy.

Objaśnienie to wydało nam się niezrozumiałe, ale nie zdążyliśmy poprosić o dodatkowe informacje. Na ekranie pojawił się inny obraz. Widniały na nim rozliczne wieże na tle zachmurzonego nieba. U ich stóp płynęła wśród ogrodów rzeka.

— To chyba podobne do Nowego Jorku? — spytała Ośmnastka.

— Owe dwa miasta były zupełnie inne — stwierdził geohistoryk.

Pokręciła głową.

— Czy tu też nikogo nie odnaleziono?

— Tak samo jak w Nowym Jorku.

Chciał coś dorzucić, ale kobieta mu przerwała:

— Ani jednego człowieka na dwadzieścia trzy miliony ludzi?

Geohistoryk zaproponował:

— Obliczcie, ile mieszkańców miały oba miasta.

Staruszek z brwiami był najszybszy:

— Czterdzieści sześć milionów.

— A było jeszcze tyle innych miast!

Wszyscy zaczęli wpatrywać się w gruzy, jakby — tak jak w Nowym Jorku — mieli nadzieję odnaleźć tu Ziemianina.

— Tu nie ocalała nawet dłoń kobiety — zauważyła Ośmnastka.

— Nawet dłoń — powtórzył uczony.

Po chwili milczenia jeden z turystów powtórzył wieczyste pytanie:

— Kto wygrał wojnę?

Nikt dotychczas nie zwrócił uwagi, że w szkole nigdy nie było o tym mowy.

— To pan powinien umieć nam odpowiedzieć — Pięściątrzy zwrócił się do geohistoryka.

— Przede wszystkim — powiedział tamten — należy się spytać, kto ją zaczął. — I zaraz odpowiedział sam sobie: — A tego nigdy się nie dowiemy. Nawet jeśli któregoś dnia odkryjemy na Ziemi jakieś świadectwo, nie uzyskamy pewności, czy jest ono prawdziwe. Istnieje tylko jeden możliwy dowód: rejestr wybuchu, który poprzedził wszystkie inne. I to nie o pół sekundy czy sekundę. Nie, przynajmniej o minutę, a tego nie wykryto, choć przestudiowano archiwa wszystkich kolonii.

Mówił długo i rozwlekle. Temat nikogo nie interesował, początek wojny i jej koniec były to wydarzenia historyczne, jak wiadomo, nudne. Być może, wieść o zwycięstwie odniesionym w czasach prehistorycznych mogłaby polećtać dumę rodzinną Pięściątrzy lub kobiety pochodzenia amerykańskiego. Ale co to obchodziło innych? Ja na przykład nie wiedziałem nawet, z jakiej części Ziemi pochodziła moja rodzina, i

tak było z większością Księżyczan. Jednakże wysłuchaliśmy uprzejmie geohistoryka, który raz jeszcze przypomniał nam, że ponieważ na Ziemi nikt nie przeżył wojny, nie dowiedziano się nigdy, kto ją wygrał ani kto przegrał. Nie można było nawet wykluczyć możliwości, że rozpoczęła się ona na skutek jakiejś elektrotechnicznej czy elektronicznej pomyłki.

Geohistoryk wzruszył ramionami.

— Cóż, był to Wielki Krach...

— Kończymy naszą drugą wycieczkę — oznajmił teległos.
— Zanim rozpoczniemy trzecią, przelecimy, nie zatrzymując się, nad miastami Europy i Azji, będą więc państwo mieli czas na odpoczynek.

Planetolot ruszył. Spieszno mi było jak najprędzej zasnąć, aby dobrze odpocząć. Wiedziałem, że naszym następnym przystankiem ma być Pekin.

W czasach prehistorycznych miast było niewiele, a dystanse między nimi — ogromne. Obudziłem się i odsunąwszy przesłony wyjrzałem na zewnątrz. Myślałem, że zobaczę światło, tymczasem osaczyły mnie gęste ciemności, jak u nas w chwili wielkiej katastrofy. Rozejrzałem się i doszedłem do wniosku, że na Ziemi panowała jeszcze, a może właśnie zapadła — noc. Równocześnie dojrzałem jakieś światełka.

Światełka te nie znajdowały się w górze, na niebie, lecz w dole i rosły w oczach, w miarę jak się do nich zbliżaliśmy. Długie i wąskie, poruszały się niespokojnie, a żółte i czerwone odbłaski tańczyły na nagiej ziemi i czarnej wodzie. Teległos szepnął, aby nie budzić tych, którzy spali:

— Oto prehistoryczne szyby naftowe na Morzu Kaspijskim.

Zapamiętałem te słowa, nie rozumiejąc ich, i z powrotem ogarnęły mnie ciemności. Znów zasnąłem.

Kiedy otworzyłem oczy, był już dzień. Turyści od czasu do czasu wyglądali, by przyjrzeć się szczątkom jakiegoś miasta. Ktoś spytał:

— Czy oni żyli podobnie jak my?

— To my, aż do czasu Krachu, żyliśmy na ich modłę — poinformował nas geohistoryk. — Nasi przodkowie sprowadzali wszystko z Ziemi. — Chwilę się zastanowił i dodał: — Potem w

nowych warunkach trzeba było dokonać odpowiednich zmian.

Pomyślałem: „Wszędzie, poza domem Trzynastki” — i przed oczyma stanęły mi złożone pedały oraz książka. Znow ogarnął mnie sen.

Obudziwszy się zauważyłem, że Ziemia pokryła się bielą. Nieliczne wzgórza rzucały długi cień. O horyzont opierało się maleńkie czerwone Słońce. Wyglądało wątko, a jego czerwień była bardziej zgaszona niż czerwień Słońca, które pokazano nam w chwili naszego przylotu na Ziemię, a które uznaliśmy za sztuczne. Zastanawiałem się, czy widzę jego wschód czy zachód, trudno mi było się połapać w cyklu szybko następujących po sobie dni i nocy ziemskich.

Turyści już nie spali. Pięćsiątrzy usiadł przy Amerykance. Rozmawiali z ożywieniem. Byłem przekonany, że znowu dyskutują nad wielkością Nowego Jorku i Moskwy. Nadstawiłem ucha. Nie, oto odkryli, że mają wspólnych znajomych, i opowiadali sobie o nich anegdotki, które interesowały ich bardziej niż potencjalny wiek Ziemi.

— Jesteśmy nad Morzem Arktycznym — informował nas teległos.

Rozejrzałem się za wodami. Ale biały pejzaż wyglądał nieruchomo, solidnie, długie cienie zastygły w miejscu. Słońce nie opuściło horyzontu.

— Podróż byłaby bardziej pouczająca, gdyby udzielano nam więcej wyjaśnień — zauważył jeden z turystów.

Drzemałem. Ktoś powiedział:

— Mamy zaszczyt posiadać w naszym gronie geohistoryka i geolingwistę, ale bardziej przydałby się geograf.

Wszyscy się roześmieli.

Ciągle czekałem, aż ukaże się nam jakieś miasto, którego nazwa nie będzie nam obca, a które zaskoczy nas swoim

wyglądem, tymczasem jednak wszystkie ruiny wyglądały niemal identycznie.

— Azja — oznajmił teległos.

Minęliśmy więc niewidoczne morze, ale Ziemia dalej była pokryta białą skorupą i nie widać był żadnych ruin. Odniosłem wrażenie, że ta część podróży jest mniej interesująca od poprzednich, nawet nazwy miast, wymienione przez teległos, nic mi nie mówiły. Równie trudno było zapamiętać ziemskie nazwy geograficzne, co nazwiska samych Ziemian; czemuż nie używali oni po prostu cyfr, tak jak byśmy to zrobili my, gdyby na, Księżycu istniało wiele miast?

Znów się na chwilę zdrzemnąłem, ale nie pamiętam, co mi się śniło. Obudził mnie teległos:

— Na prawo Samarkanda.

Jak zwykle wzdłuż rzeki ciągnęły się ruiny podobne do wszystkich innych ruin, duże miasta różniły się od małych tylko obszarem, jaki zajmowały ich szczątki. Samarkanda musiała być miastem średniej wielkości. Zatoczyliśmy koło i Ośmnastka była jak zwykle pierwszą, która zauważyła pewne odrębności. W samym środku szarobiałych tak jak wszędzie gruzów leżało coś jasnoblękitnego i świecącego. Teległos się na ten temat nie wypowiedział, a geohistoryk zacytował nieznane nam nazwiska Ziemian, którzy na wiele stuleci przed Wielkim Krachem okryli ponoć Samarkandę sławą.

— Ale skąd ten błękit? — spytała Ośmnastka.

Nie odpowiedział jej.

Samarkanda znikła, pokazały się góry, turyści zaczęli rozmawiać o czymś innym. Powierzchnia Ziemi przybrała żółtą barwę i wyglądała tak, jakby pokrywały ją formuły algebraiczne wyciągając same z siebie całki i różniczki. Usiłowałem je odcyfrować. Nic jednak nie oznaczały. Jakiś głos tuż koło mnie zauważył:

— To pustynia.

Odwrociłem się. Był to Dwaściadwa. Nie widziałem go od chwili sesji pokarmowej na modłę ziemską i sądziłem, że i on, i Dwaściztery pozostali w kosmodromie oczekując naszego powrotu. Zapytałem:

— Co ty tu robisz? Rad jestem, że cię widzę.

Odpowiedział: — Ja także — nie tłumacząc swej obecności. Miałem wrażenie, że jest on moim dobrym znajomym i chciałem mu zadać mnóstwo pytań. Zadałem najmniej ważne:

— Co to jest, te algebraiczne równania?

Nachylił się, by wyjrzeć.

— To wiatr — odpowiedział. — Wiatr na pustyni.

Odpowiedź była niejasna. Wpatrywałem się, jak na Ziemi niewiadome i zmienne kręcą się i ustawiają w coraz to nowe równania.

— Wiatr i piasek — powtórzył Dwaściadwa. — Sam zobaczysz. — Zniżył głos: — Czekałeś na mnie?

— Nie — odpowiedziałem.

Uśmiechnął się.

— Oczywiście.

Znów to samo: przypuszczał, że coś przed nim ukrywam. Między Nowym Jorkiem i Moskwą zdążyłem już o tym zapomnieć. Ale teraz przypomniałem sobie naszą ostatnią rozmowę przed windą, jego opowieść o psychoepidemii, o domach zdrowia przepełnionych chorymi, o niebezpieczeństwie zarażenia się. Zapytałem, czy ma jakieś nowe wiadomości. Dziś wiem, że nie zrozumiał mego pytania.

— Nie — odparł — nie cofnięto rozporządzeń. Byłbyś przecież powiadomiony.

Tak jak przedtem niczego nie zrozumiałem, ale miałem tego dosyć. Oświadczyłem mu, że nie wiem, w jaki sposób i z jakiego powodu miałbym się dowiedzieć, że cofnięto

rozporządzenia, skoro nie wiem, o jakie rozporządzenie chodzi.

Twarz Dwaściadwa stwardniała.

— Mnie także nic nie jest o tym wiadomo.

Niepokoilo mnie najbardziej to, że mimo pewności, iż niczego nie wiem, prześwitywało mi pewne możliwe wytłumaczenie. W każdym razie byłem przekonany, iż Dwaściadwa wie o mnie coś, czego ja nie wiem, nie wierzy jednak w to, że ja tego nie wiem, ma mi za złe moją tajemniczość i zgodziłby się odkryć przede mną sekret tylko wówczas, gdybym się przyznał, że jest mi on znany, co samo w sobie stanowiło największy nonsens. Nic więc nie powiedziałem, a on patrzył na Ziemię. Pustynia skończyła się, pokazały się góry, coraz to wyższe i wyższe. Wyglądały podobnie jak te, które w chwili odlotu oglądaliśmy na Księżycu, tyle że miały białe, iskrzące się wierzchołki.

— No, już pora — zauważył Dwaściadwa.

Spytałem:

— Na co?

Nie odpowiedział. Po chwili wstał.

— Chodź!

Poszedłem za nim. Turyści wpatrywali się w pejzaż, żaden nie odwrócił głowy. Słyszałem, jak Sznastka peroruje:

— Wolę już góry: góry nie są poharatane.

A Ośmnastka odpowiedziała:

— Tak, ocalały tylko góry.

Dwie kobiety zaprzyjaźniły się i usiadły koło siebie. Minęliśmy dwoje ostatnich pasażerów: Pięsiątrzy i Amerykankę; wciąż wymieniali wspomnienia, a ona opowiadała teraz o córce, która właśnie skończyła studia i miała zacząć pracować jako nadzorczyńni obwodu logicznego. Dobrze zapamiętałem sobie jej słowa. Jeśli o tym wspominam, to tylko po to, aby

pokazać, że byłem całkowicie spokojny i nie przewidywałem nic złego.

Idący przede mną Dwaściadwa skręcił w prawo. Nie spytałem go, ani dokąd idziemy, ani po co. Otworzyło się przed nim jakieś przejście i zaraz za mną zamknęło. Znaleźliśmy się w osobnym przedziale. Pomyślałem sobie, że Dwaściadwa przyprowadził mnie do siebie, aby móc pogadać bez świadków. Czekałem więc.

On odwrócił się do mnie plecami i wyglądał na zewnątrz. Nasz aparat obniżył lot, znajdował się niemal bez ruchu tuż obok wierzchołka jakiejś góry.

— No, już za chwilę — oświadczył Dwaściadwa i spojrzał na mnie przez ramię, aby dorzucić: — Patrz!

Podszedłem doń.

Góra dalej wznosiła się przed nami coraz to wyżej. Widać było ostro spadające zbocze, które niżej pokryte było zielenią i przecięte strumieniem; na jego przeciwległym brzegu piętrzyły się skały niczym ruiny miasta.

Dwaściadwa wskazał na nie palcem.

— Lepiej nie tam — i z kolei wskazał palcem na drugi brzeg strumienia — lecz tu.

Wiem, że to właśnie w tym momencie przypomniałem sobie słowa, które wypowiedział do mnie, gdy dobiegło końca to, co przewodnik nazwał ziemskimi agapami. Nie pamiętam, o czym dokładnie mówiliśmy, ale Dwaściadwa powiedział: „Mogliby zapragnąć zostać na Ziemi” — a ja wyobraziłem sobie, że — tak jak podczas pierwszego spotkania — on i jego przyjaciel proponują mi, aby się wspólnie odłączyć od reszty turystów i odbyć razem wycieczkę. Ale zamiast powiedzieć o tym otwarcie, zapytałem tylko: — Gdzie jest Dwaścicztery? — Pewien bowiem byłem, że też znajduje się na pokładzie naszego planetolotu.

— Czeka na mnie tam — odparł Dwaściadwa.

— Gdzie? — spytałem.

— Ależ w kosmodromie — odpowiedział ze zdziwieniem.
— A gdzież by?

Planetolot znieruchomiał. Na przepierzeniu zapaliło się zielone światelko.

— Nie masz więcej pytań?

Zastanowiłem się i oświadczyłem:

— Nie.

Z kolei on zastanowił się, nim spytał wahającym tonem:

— I nie masz mi nic do powiedzenia?

Mógłbym mówić do niego wiele godzin, opowiadając mu wszystko, co przeżyłem, dzieląc się tym wszystkim, czego sam nie byłem w stanie zrozumieć, pytając o to wszystko, czego mógłbym się od niego dowiedzieć, ale trudno by mi było zawrzeć to w jednym zdaniu, wzruszyłem więc tylko ramionami. On jednak nadal czekał, wobec tego powtórzyłem jeszcze raz:

— Nie.

Dwaścjadwa, jak to miał w zwyczaju, uśmiechnął się leciutko.

— Udało mi się coś dla ciebie znaleźć. Podał mi mały przedmiot w kształcie tubki.

— Masz.

Chciałem się dowiedzieć, co to jest, ale on, zamiast mi odpowiedzieć, rzucił:

— Jesteś pewny, że ci się powiedzie? Wiesz o wszystkim? Dalej się zgadzasz?

Mówił szybko i głośno, jakby chodziło o coś niezwykle ważnego tak dla niego, jak dla mnie. Miałem tego dość. Utkwiwszy wzrok w tubce, którą mi ofiarował, spytałem po raz wtóry:

— Do czego to służy? Wskazał na wyźłobienie.

— Naciśniesz tu i pokaże się ogień.

Chciałem zaraz nacisnąć, ale przeszkodził mi.

— Nie tutaj!

Wyglądało na to, że mnie nabiera. Postanowiłem wrócić na swoje leżysko. Oświadczyłem:

— No, na mnie czas. Cześć!

Skąd mogłem wiedzieć, że był to dla niego najlepszy dowód, iż wiem, o co chodzi, lecz postanowiłem do ostatniej chwili milczeć.

— Cześć — odpowiedział i przesunął ręką przed zielonym światelkiem.

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na jakiejś poziomej powierzchni. Z daleka dobiegały nieznanne mi dźwięki. Otworzyłem oczy i zobaczyłem swą prawą rękę. Leżała tuż koło mnie na jakichś drucikach zielonych, ale zielenią, jakiej nie widziałem nigdy w życiu. Druciki te bezładnie wydobywały się z ziemi, a niektóre — dłuższe od innych — poruszały się. Zadrżałem: coś musnęło moją dłoń. Odwróciłem się — był to mój pierwszy ruch od chwili przebudzenia — i zauważyłem na zagłębieniu dłoni małeńki aparacik. Był owalny, błyszczący, na czarnym tle widniały czerwone kropki. Aparacik ten zmierzał z wolna w kierunku mego kciuka. Nastawiłem ucha: nie, nie wydawał żadnych dźwięków.

Odczułem nie tyle strach, co niepokój. Skąd tu się dowiedzieć, czemu służy ten mechanizm? Czy ma zasygnalizować moją obecność? Komu? Wykreślić mój diagram? Po co? A jak tu przyjąć, że funkcjonuje sam z siebie, niekierowany przez nikogo, i to od wielu stuleci, od czasu Wielkiego Krachu? Nie zawadzi ostrożność, lepiej się go pozbyć. Strąciłem go jednym ruchem, ale równocześnie pomyślałem sobie, że rozsądniej będzie nie tracić go z oczu, i w ostatniej chwili zatrzymałem go palcem. Znieruchomiał. Schyliłem się, aby mu się lepiej przyjrzeć. Podniósł dwie klapki i uniół się w powietrze. Oparłem się na łokciu i odprowadziłem go spojrzeniem,

ciągle zastanawiając się nad przeznaczeniem i konstrukcją tego dziwnego mechanizmu.

Ale w tej samej chwili dojrzałem wokół siebie wśród zieleni malutkie przedmiociki posiadające kształt miniaturowych rączek; każdy był innego koloru. Pomyślałem, że musi to być sen, i zdziwiłem się. Czarny aparacik powrócił i usiadł na zielonym druciku zakończonym czerwoną kulką. Zaczął po nim wlaźć w górę. Chciałem go złapać, ale wymknął mi się i nagle znikł.

Niczego już nie byłem pewien i starałem się tylko sprawdzić, czy nie śnię. Spróbowałem usiąść. Podniósłszy oczy, zobaczyłem błękitny przestwór, słyszałem te same urywane dźwięki co poprzednio i bliski byłem ponownego zapadnięcia w sen, kiedy nagle ogarnęło mnie przerażenie. Aż skostniałem, nie mogłem ruszyć palcem, a równocześnie wstrząsały mną dreszcze. Nie śmiać odwrócić głowy, rozglądałem się spod oka, rejestrując kształty i barwy, których nigdy nie widziałem, których pochodzenie i funkcje były dla mnie czymś tajemniczym. Starałem się je nazwać, ale nie znajdowałem słów; były dla mnie czymś nowym, a więc zupełnie anonimowym. Podniosłem rękę, by lepiej umocować ochraniacze wzroku, ale nie było ich na swoim miejscu. Po raz pierwszy od chwili opuszczenia Księżycy moje oczy zostały pozbawione osłony. Ciekawość przemogła strach, obejrzałem się przez ramię.

Wszędzie, gdzie sięgał mój wzrok, ziemia była równie zielona i popstrzona różnokolorowymi spiralami i owalnymi blaszkami, które bawiły mnie i sprawiały, że strach stał się mniej paniczny. Trudno mi w to dziś uwierzyć, ale w owej chwili zupełnie nie mogłem zrozumieć powodów swego przerażenia.

Nagle zobaczyłem leżący obok niewielki pojemnik. Łatwo mi go było rozpoznać: u nas na Księżycu ludzie na ruchomych jezdniach przytwierdzają go sobie do ramienia za pomocą

magnesu. Rozdźwięk między tym znajomym przedmiotem a zielenią, wśród której spoczywał, był tak wielki, że nagle zrozumiałem wszystko. Drżącymi palcami przyciągnąłem do siebie pojemnik. Był lekki i łatwo dał się otworzyć. W środku znalazłem tubki z karmą, lekarstwa, czyli środki uspokajające, usypiające, pobudzające i rozweselające, parę drobnych przedmiotów pierwszej potrzeby i telekomunikator. Zmusiłem się, by podnieść głowę. Na tle błękitu widniał biały szczyt góry. Nie musiałem szukać wzrokiem planetolotu. Niebo było puste.

Po trochu przyszedłem do siebie. Myśli kłębiły mi się w głowie, przecząc sobie nawzajem i niczego nie tłumacząc. Słowa Trzynastki, aluzje Dwaściadwa, pytania Sześćsiąsiem tworzyły jedną gmatwaninę, nad którą królowało milczenie 5. Powinienem być odizolować każde słowo, posegregować je i przemyśleć. Chwilowo nie czułem się do tego zdolny, trudno mi to przychodzi nawet dzisiaj, a przecież mam obecnie stosunkowo jasny umysł, jeśli porównać go ze stanem, w jakim znajdowały się moje władze umysłowe w chwili, gdy zaczynałem rozumieć, że strącono mnie na Ziemię, że jestem na niej zupełnie sam.

Po co dziś starać się zanotować to, co chaotycznie myślałem? Najlepiej pamiętam ruchy. Wstałem, wziąłem pojemnik i poszedłem w stronę, skąd dobiegały dźwięki, które były pierwszą rzeczą, jaka uderzyła mnie, gdy odzyskałem świadomość. Szybko uprzytomniłem sobie, że u nas, na Księżycu, chodzimy mało, i to zawsze po równej powierzchni, w domu, w miejscu pracy, parę kroków na ruchomej jezdni. O mało nie upadłem, tak wyboisty był ten zielony teren. Ziemia to wzdymała się, to zapadała, a ja potykałem się. Nabrawszy ostrożności wysuwałem nogę i nim stąpnąłem, badałem teren. Od czasu do czasu zatrzymywałem się i nadśluchiwałem.

Dźwięki stawały się coraz to głośniejsze. Składały się z ciągłego szumu i z urywanego stukotu. Niczego mi to nie przypominało. Czulem, że idę w dół, ale zbocze góry opadało nieodróżnialnie dla mego oka. Znikły kolorowe blaszki. Na ich miejsce pojawiły się białe dzwoneczki, które drżały w powietrzu. Przystanąłem, by się im lepiej przyjrzeć. Nie rozumiałem, czemu się ruszają i do czego mogą służyć. Schyliłem się, by ich dotknąć, ale nic nie poczułem. Przypomniałem sobie, że należy uważać i nie dotykać niczego na Ziemi, aby uniknąć zarażenia się, ale z drugiej strony przecież i ja, i mój pojemnik leżeliśmy już wśród tej ziemskiej zieleni. Pociągnąłem więc za biały dzwoneczek, a on oderwał się od zielonego drucika i legł na mojej ręce. Nie przypominał żadnego znanego mi przedmiotu i wydał się czymś bezużytecznym. Poszedłem dalej, starając się przypomnieć sobie, co Dwaścjadwa powiedział mi w chwili, którą obecnie nazwałem w myślach chwilą ostatnią.

Jeśli dobrze pamiętam, nie powiedział nic, ale może jednak zawodziła mnie pamięć. Wahałem się, nie wiedząc, czy zażyć środek podniecający, który by mi dodał sił, czy uspokajający, aby wyzbyć się gorączkowych myśli. Coraz bardziej bolały mnie nogi, pojemnik stawał się coraz to cięższy, najsmądziej byłoby usiąść, przełknąć tubkę z karmą i jakiś proszek. Jednakże choć z wysiłkiem, ale dalej szedłem przed siebie. Trudno mi dziś powiedzieć, o czym myślałem, widzę tylko powierzchnię myśli, w których panował nieopisany zamęt. Zieleń stała się mniej obfita, znikły dzwonki. Zobaczyłem ciemnobrunatną ziemię, która poruszała się pod moimi stopami. Przykucnąłem, by jej dotknąć. Była miękka, świeża, jakby lekko wilgotna. Tkwiły w niej drobne twarde odłamki, które przypominały odpryski kamienia. Nie wiedziałem wówczas, że oto po raz pierwszy dotykam gleby Ziemi.

Znów ruszyłem w drogę, lecz po chwili zatrzymałem się, by przyjrzeć białym owalnym blaszkom umieszczonym na długim druciku wokół żółtego ośrodka. To chyba podobny przedmiot nasz przewodnik po sztucznym lesie nazwał kwiatem. Czy ta nazwa nie odnosiła się także do dzwoneczków i uprzednio napotkanych spirali? Nie byłem tego pewien, choć wskazywałyby na to kolory tych przedmiotów.

Dźwięki były coraz to głośniejsze, obecnie hałas wzmógł się niemal w dwójnasób. Przedemną otworzyła się próżnia. W dole szalał wąski strumień. To jego głos usłyszałem budząc się. Unosił się ku mnie szumem pędzącej wody i stukotem opadających kamieni. Za wszelką cenę należało doń podejść. Na próżno starałem się schodzić ostrożnie, po dwóch krokach potknąłem się i przewróciłem. Nie miałem się czego chwycić, leciałem w dół, wreszcie uczepliłem się czegoś długiego i kanciastego i tylko mój pojemnik poleciał dalej; zobaczyłem, jak zanurza się w strumieniu wody i niknie niesiony prądem.

Był moim jedynym towarzyszem, ale zamiast rozpaczać nad jego utratą, nad utratą tub z karmą, leków i telekomunikatora, wpatrzyłem się w widniejące po drugiej stronie strumienia góry i przypomniałem sobie, że Dwaściadwa wskazał mi je, mówiąc: „Lepiej nie tam”. A więc te góry oznaczały *tam*, a ja wylądowałem, czy też raczej mnie „wylądowano” tutaj. Radość trwała krótko, zastanawiałem się, czemu Dwaściadwa nie uprzedził mnie wyraźniej — a może jednak uprzedził, tylko ja go nie zrozumiałem?

Nie miałem czasu na zastanawianie się, gdyż w głowie kłębiły mi się zdania, nie wiedziałem już sam, kiedy i w jakich okolicznościach je słyszałem, ale najtrudniej było zrozumieć, co właściwie oznaczają. „U pana założono podsłuch”, „Mowa w niej o świetle Księżycy”, „A co zrobi się z tymi, którym

szczepionka się nie przyjmie?”, „Lubi pan patrzeć na Ziemię?”, „Niech pan uważa!” Wszystkie te głosy zagłuszały huk potoku.

Wreszcie udało mi się podnieść i zacząć wdrapywać do góry. Słowa tego na Księżycu używa się jedynie w odniesieniu do dawnych Ziemian, u nas nie ma ono zastosowania. Wielokrotnie musiałem się kłaść: traciłem oddech, drżały mi ręce. Kiedy na nie spojrzałem, były czarne od wczepiania się w powierzchnię Ziemi. Wreszcie udało mi się stanąć na nogach i zobaczyłem zupełnie odmienny pejzaż. Widać poszedłem w inną stronę niż ta, z której nadszedłem.

Słońce schowało się za jakąś górę oświetlając tę, nad którą znajdowało się poprzednio. Obie były białe tak samo jak i wszystkie inne zasłaniające horyzont szczyty. Szedłem przed siebie, znów zobaczyłem kolorowe spirale, ale o innych kształtach, innych, nieznanym mi barwach, wszystko mnie bolało, czułem się wyczerpany, ostatkiem sił wlokłem się dalej, aż zatrzymałem się u stóp ogromnej wyrastającej z ziemi rury. Gdzieś ponad moją głowę rura rozwidlała się i nikła w okrywającej ją zieleni.

Przypomniały mi się drzewa, ale jeśli owa rura też była drzewem, to mniej prostym, mniej symetrycznym niż drzewa, które oglądaliśmy przybywszy na Ziemię. Zbliżyłem się, aby mu się lepiej przyjrzeć. Tak, było to drzewo, tyle że nie zostało zrobione z metalu ani sztucznego tworzywa. A przecież geohistoryk twierdził, że las, który nam pokazano, był jedynym istniejącym na Ziemi lasem odtworzonym po Wielkim Krachu według starych ilustracji. Położyłem rękę na rurze, która była ciepła i miła w dotyku. Poczulem się mniej samotny.

Znów ruszyłem w drogę, omijając skały, zobaczyłem przed sobą trzy następne drzewa, a nieco dalej całe mnóstwo drzew. Niektóre przypominały pierwsze drzewo, inne wyglądały zupełnie inaczej, były cienkie i smukłe lub przysadziste i pokręcone, najbardziej różniły się zielenią. Te, które rosły dalej

ode mnie, stanowiły w moich oczach jedną zbitą masę, nie mogłem ich od siebie odróżnić, a ich zieleń przybrała granatowy odcień. Chodziłem od drzewa do drzewa, przyglądając się im i porównując je ze sobą, i w ten sposób po raz pierwszy w życiu wszedłem do lasu.

Powietrze między drzewami było ciemniejsze niż gdzie indziej i pachniało, do czego nikt u nas nie był przyzwyczajony. Nie widać było horyzontu. Zielone sklepienie nie przepuszczało światła, niebo znikło. W przeciwnieństwie do naszych jezdni i trotuarów, które są zawsze proste, tutaj nie dało się zrobić trzech kroków nie klucząc i nie zbaczając z drogi. Drzewa rosły w nierównych odstępach; aby obchodzić je wkoło, musiałem często iść ze sto metrów i kiedy nie czułem nóg i nie miałem sił zrobić dziesięciu kroków, siadałem, by odpocząć. Nie było to szczególnie groźne, skoro nigdzie się nie spieszyłem, ot, przyglądałem się, ale proszę sobie wyobrazić ludzi, którzy idąc do pracy tracą czas i oddech wymijając drzewa!

Ten las był zupełnie inny od lasu, który pokazywano turystom z Księżycy. Rosło w nim mniej gatunków drzew, ale drzewa te były znacznie większe. Za to nie widziałem kwiatów. Ani ptaków. Jeżeli mieszkały w tym lesie, to musiały się gdzieś ukryć i umilknąć. Przypomniałem sobie, że ptak, który w zrekonstruowanym lesie powinien był śpiewać, został uszkodzony. W tym lesie panowała głucha cisza, strumień pozostał zbyt daleko i tylko od czasu do czasu rozlegał się trzask gałęzi, które łamałem stąpając po nich.

Ta nieobecność wszelkich odgłosów nie pasowała do obecności drzew, tym bardziej że ich listowie świadczyło o

istnieniu życia, a przecież Ziemia od czasu Wielkiego Krachu uchodziła za wymarłą. Zaczęło mi to doskwierać i pomyślałem sobie, że najlepiej będzie jak najszybciej opuścić to milczące pustkowie. Zawróciłem. Ale na próżno wymijałem jedno drzewo po drugim, zaraz pojawiała się dziesięć innych, co mówię, sto, a rosły coraz to gęściej i gęściej. Nie wiedziałem, czy nie kręcę się w kółko, na próżno zatrzymywałem się, nie wiedziałem, w którą stronę iść. Zabłądziłem.

Bałem się, byłem zmęczony i głodny, z uczuciem głodu zetknąłem się dotychczas zaledwie dwa, trzy razy, i to przez własną nieuwagę, nie znałem nawet tego słowa. Nie wiedziałem, czy iść dalej, czy pozostać w miejscu, jedno i drugie wydawało mi się równie bezsensowne. Nie miałem żadnych narzędzi, nie miałem nawet, proszków, które przyniosłyby mi ukojenie. Szedłem zygzakami, zatrzymując się; w ciągu paru godzin przeszedłem większy szmat drogi niż na Księżycu w ciągu wielu tygodni, a każdy krok ziemski był sześciokrotnie trudniejszy. Długo przyglądałem się drzewu, na którym wisiały okrągłe przedmioty wielkości pięści dziecka. Zerwałem jeden, aby go obejrzeć z bliska, był lekki, czerwono-żółty, pachniał na wpół słodko, na wpół kwaśno.

Robiło się coraz ciemniej, widziałem już tylko najbliższe drzewa i wszystkie wydawały mi się identyczne. Stąpałem ostrożnie, niewyraźnie bowiem widziałem ziemię. Doszedłem do wniosku, że słońce schowało się za górami, nastąpiła ziem-ska noc.

Cisza jakby się wzmogła. Zakłócał ją tylko mój głos. Coraz trudniej było mi znieść otaczające milczenie. Zacząłem krzy-czeć. Niemal od razu odpowiedział mi ktoś. A więc nie myli-łem się: Dwaścjadwa wraz ze mną wysiadł z aparatu, a nie uprzedził mnie o naszej wyprawie aż do ostatniego momentu tylko dlatego, że obawiał się mej odmowy. Pewnie

szedł za mną, ukrywając się, a teraz postanowił zawiadomić mnie o swej obecności. Odetchnąłem głęboko, aby wydobyć z siebie jak najgłośniejszy okrzyk:

— Dwaściadwa!

Odpowiedział mi, i to parokrotnie. Dobiegła mnie jedynie końcówka jego imienia, które powtórzył raz po razie, pragnąc mnie widać upewnić, że znajduje się w pobliżu. Ciekawe jednak, że jego głos dobiegł mnie z kilku stron naraz, tak jakby w lesie znajdowało się kilka osób, a przecież byłem pewien, że Dwaściadwa nie kłamał mi twierdząc, że Dwaścicztery pozostał w kosmodromie.

Moje zmęczenie ulotniło się. Pobiegłem przed siebie i o mało co byłbym wpadł na drzewo; mrok zgęstniał. Zatrzymałem się na chwilę i zgubiłem kierunek. Jeszcze raz zawołałem Dwaściadwa, a on tak jak poprzednio odpowiedział mi i tak jak poprzednio jego głos dobiegł mnie ze wszystkich stron. Albo kpił sobie ze mnie, albo też nie był sam i wspólnie ze swymi towarzyszami znęcali się nade mną. Należało więc milczeć. Zamarłem w bezruchu i czekałem na wezwanie, na odgłos kroków, na szept. Oparłem się o drzewo, a po chwili wyciągnąłem u jego stóp. Stałem się niewidoczny dla otoczenia i niemal natychmiast usnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Nic mi się nie śniło poza jakimś regularnie powracającym miękkim dźwiękiem. Otworzyłem oczy, ale nie zobaczyłem nic. Słyszałem własny oddech. Nagle znów rozległ się ten dziwny dźwięk, przeleciał nade mną, oddalił się i znów zbliżył. Wpatrzyłem się w ciemność i wydało mi się, że dostrzegam jakiś odrobinę jaśniejszy od ciemności cień, który zataczał półkola, nił i znów się pojawia, wydając ten łagodny jęk.

Już chciałem go zawołać, ale bałem się krzyczeć w ciemnościach. Rozbudziłem się zupełnie. Przymknąłem oczy, potem

znów je otworzyłem i wpatrzyłem się w niewyraźny kształt unoszący się spiralnym ruchem. Nagle kształt ten zahukał, a ponad nim dostrzegłem Księżyc.

Księżyc świecił blado, nie przypominał Księżycza z moich wspomnień z podróży, niemniej od razu go rozpoznałem. Przyglądałem mu się z pewną tkliwością, ale nie wzbudził we mnie silniejszych emocji. Zauważyłem, że nie jest okrągły, że widnieją na nim jakieś ciemne plamy, ale nie miałem czasu zastanowić się, co oznaczają, gdyż przyszły mi na myśl słowa Trzynastki: „Jeśli pan tam pojedzie, to pan nie...” Wówczas nie wiedziałem, czy to ja nie usłyszałem końca zdania, czy też Trzynastka umilkła, potem zapomniałem o jej słowach, tak były dla mnie niejasne, obecnie zrozumiałem, oj, zrozumiałem ich znaczenie. Wystarczyło mi popatrzeć na maleńki, trudny do rozpoznania Księżyc, aby wiedzieć, że nigdy już tam nie powrócę. Trzynastka chciała mnie ostrzec: „Jeśli pojedzie pan na Ziemię, to już pan z niej nie wróci”.

Trudno mi było zgadnąć, skąd mogła o tym wiedzieć. Zdanie to wypowiedziała w obecności swego ojca, to pewnie on jej przerwał, tak, on, bo to przecież właśnie on radził mi wybrać się w tę podróż z niejasnych dla mnie powodów, wówczas uważałem, że to pewnie dlatego, iż zasiadłszy w okrągłym saloniku przez dłuższą chwilę rozkoszował się widokiem Ziemi, ale może dlatego właśnie się w nią wpatrywał, ponieważ już uprzednio postanowił mnie na nią wysłać. Trzeba by się było zastanowić nad każdą z tych możliwości, konfrontując ją z innymi danymi. Nie muszę się tylko głowić, czemu Trzynastka starała się mi dopomóc. Moje wygnanie na Ziemię było konsekwencją czegoś, czego powodów pragnąłem się domyślić. Trzynastka знаła je. Myślę, że to rozpoczęte przez

nią zdanie: „Jeśli pan pojedzie, to pan nie...” nie miało się kończyć: „...to pan nie wróci.”, lecz: „...to pan nie wróci, bo przecież...”, ale nie umiałem odgadnąć, jak miało dalej brzmieć.

O mały włos nie wypowiedziałem tego zdania na głos, ale bałem się zdradzić niewidzialnym świadkom, gdzie się znajduję. Wokół mnie panowała ciemność i nie wiedziałem, czy tuż obok nie czają się ci, co przedrzeźniali mój głos. Znów zacząłem szukać w pamięci, by odrzucając to wszystko, co nie mogło posłużyć rozwiązaniu problemu, wyodrębnić dane zasadnicze.

Kiedy wreszcie ułożyłem równanie, zawierało ono zbyt wiele niewiadomych.

Parę rzeczy było pewnych: Trzynastka i jej ojciec wzięli mnie za kogoś innego, za kogoś, komu powierzono jakieś nieznane mi zadanie. Logik był aktywnym inspiratorem mej podróży, jego córka była biernym świadkiem. Postanowiłem więc zająć się tylko nim i przeanalizować wszystkie związane z nim wspomnienia: każde jego słowo, każdy gest, nawet każda pauza w rozmowie mogły mi pomóc w znalezieniu odpowiedzi. Ale co chwila zwracałem się o wyjaśnienie do dziewczyny, a ona milczała.

Księżyc przesunął się od drzewa do drzewa. Był mniejszy i bledszy od twarzy Trzynastki, która znajdowała się przecież gdzieś tuż pod jego powierzchnią, a ja nie traciłem nadziei, że usłyszy mnie, że mi odpowie i że jej głos dobiegnie mnie nawet tu, na Ziemi.

Zamknąłem oczy, a Księżyc skorzystał z tego, by zniknąć. Kiedy znów podniosłem powieki, ciemność była tak gęsta, jak u nas podczas katastrofy. Wydawało mi się, że słyszę jakiś szmer, cień oddechu, ślad westchnienia. Nie wiedziałem, czy bardziej pragnę usłyszeć czyjś głos, czy też bardziej się go obawiam. Nie śmiałem drgnąć, wpatrywałem się w noc i wsłuchiwałem w ciszę. Byłem zbyt tym pochłonięty, aby zdać sobie sprawę, że zmarłem.

Kiedy obudziłem się, było już jasno, a ja trząsałem się z zimna. Nie było jeszcze widać Słońca, drzewa zaś stały tam, gdzie stały, zasłaniając horyzont. Poczulem ucisk w dołku: było mi nie tylko zimno, byłem głodny, jeszcze głodniejszy niż poprzedniego dnia.

Nie wiedziałem, co na Ziemi nadaje się do jedzenia. Przypuszczałem, że Ziemianie, którzy kiedyś spożywali swych bliźnich i zwierzęta, później zaczęli się odżywiać tak jak my, ale przecież Wielkiego Krachu nie przetrwały ani jadalne istoty, ani maszyny alimentacyjne. Wstałem, by się rozejrzeć. Ziemię zaścielały szczątki gałęzi oraz liście: żółte, brunatne i czerwone. Ruszyłem przed siebie.

Wszędzie był las. Przechodząc dotknąłem kilku drzew. Były równie zimne jak moje ręce. Jedno drzewo leżało na ziemi i musiałem pójść wzdłuż rury, a potem obejść wokół listowie,

by móc je wyminąć. Wydało mi się, że wskazuje ono kierunek. Poszedłem w tamtą stronę, ale znów straciłem orientację. Zatrzymałem się — nogi ciążyły mi, każdy krok sprawiał ból. Postanowiłem zawrócić. I nagle usłyszałem jakiś hałas.

Nie wiem, czy słusznie używam słowa hałas, może lepiej byłoby to nazwać szmerem. Ten szmero-hałas dźwięczał gdzieś nad moją głową; gdy ruszyłem, i on poszedł w moje ślady. Zatrzymałem się, szmero-hałas umilkł, znów zacząłem iść, a szmero-hałas wiernie mi towarzyszył. Rozejrzałem się za nim. Zieleń drżała: lasowi było zimno.

Znów zobaczyłem leżące drzewo, nie wiem, czy to samo, czy jakieś inne: były do siebie podobne. Znów pomyślałem, że wskazuje mi ono kierunek, i zacząłem je z trudem okrążyć, a wtedy zauważyłem, że leży ono w poprzek strumyka.

Wszystko, co się ze mną działo, przeżywałem po raz pierwszy w życiu: oto po raz pierwszy widziałem z bliska prawdziwą, naturalną wodę. Ukląknęłam, aby się jej lepiej przyjrzeć. Płynęła tuż koło mojej ręki, lekko falując, a była tak przejrzysta, że widziałem na dnie każdy kamyczek. Kamyczki były niewielkie, okrągłe, znajome: oto po raz pierwszy zobaczyłem na Ziemi coś, co przypominało mi Księżyc. Miałem ochotę wziąć sobie taki kamyk na pamiątkę i zanurzyłem ramię w wodzie. Była zimna. Wyjąłem z niej dwa kamienie. Jeden był biały, drugi szary i upstrzony różowymi punkcikami. Nie, jednakże różniły się znacznie od naszych kamyczków księżycowych. Poczulem rozpacz. Po raz pierwszy od chwili przebudzenia zacząłem rozmyślać nad brakiem możliwości powrotu.

Przyszło mi na myśl, że skoro jestem skazany na pozostanie na Ziemi, powinienem spróbować napić się tutejszej wody, choćby miała się okazać szkodliwa, ale jeszcze powstrzymałem się, jakbym wierzył w ocalenie. Schowałem biały

kamyk, a drugi przechodząc przez strumyk wrzuciłem z powrotem do wody.

Od czasu do czasu pomiędzy drzewami pojawiała się świetlista smuga słońca poznaczona ciemnymi plamkami. Oto po raz pierwszy zobaczyłem słoneczny promień. Rozgrzałem się, ale coraz bardziej dokuczał mi głód. Pomyślałem, że źle zrobiłem oddalając się od strumienia. Skoro powietrze nie mogło mi dostarczyć pokarmu, znalazłbym go może w wodzie. Zawróciłem i zacząłem przyglądać się dnu strumyka. Poza kamykami dopatrzyłem się tam tylko odbłasku zieleni i nieba, którego kolor przypominał mi granat lasu położonego za zielonym lasem, po którym się błąkałem.

Pomyślałem sobie, że odnalazłszy go, przestanę przynajmniej kręcić się w kółko nie mogąc znaleźć wyjścia. No i niewykluczone, że ten granatowy las różni się od mojego nie tylko kolorem: może rosnąć w nim drzewa, które dostarczą mi karmy. Głód dokuczał mi tak bardzo, że zerwałem garść zieleni, mając zamiar ją skonsumować, w ostatniej chwili powstrzymała mnie jednak ostrożność. Należało się spieszyć, aby uciec z tego lasu i schronić się w granatowym.

Nie pamiętałem kierunku. Spuściłem oczy. Wstęga wody u moich stóp musiała chyba dokądś płynąć. Zrobiłem parę kroków i zaraz przystanąłem. Jak tu stwierdzić, czy strumień płynie w stronę granatowego lasu, czy też wręcz przeciwnie, z niego właśnie wypływa. Jeszcze raz przyjrzałem się wodzie, ale była ona zupełnie bezbarwna, nic nie wskazywało, skąd pochodzi. Musiałem zdać się na los szczęścia: miałem jedną szansę na dwie, że wybiorę dobry kierunek, a jeżeli nie, to wystarczy mi zawrócić. Poszedłem w stronę przeciwną nurtowi strumyka.

Biegł on krętą drogą, często podnosząc głos, kiedy spadał z jakiegoś głazu. Droga była łatwa i to upewniło mnie, że idę

we właściwą stronę. Dalej ściszałem w dłoni biały kamyk wierząc, że przyniesie mi szczęście. Zaczęło mi się robić gorąco.

Miałem właśnie wejść między dwa drzewa, które wznosiły się jak dwa ramiona równoramiennego trójkąta, gdy usłyszałem czyjeś słowa. Powinienem raczej powiedzieć — czyjś głos; brzmiał tak, jakby niskim i śpiewnym tonem wymawiał jakieś słowa. Głos ten dobiegł mnie z oddali, wydało mi się, iż jest to głos kobiety. Nie zrozumiałem tego, co powiedziała czy wyśpiewała, musiały to być słowa jednego z ziemskich języków. Zatrzymałem się i czekałem.

Zdawało mi się, że kobieta wołała kogoś i że usłyszę jego odpowiedź. Ale żaden głos jej nie odpowiedział, a kobieta trzykrotnie powtórzyła swoje wezwanie. Znajdowała się gdzieś na prawo ode mnie, ale nie widziałem jej, zasłaniały ją drzewa. Nie ruszałem się z miejsca mając nadzieję, że to ona zbliży się, szukając tego czy tejr których straciła z oczu. Na pewno nie podejrzewała mojej tu obecności, ledwie jednak zrobiłem parę kroków, znów zaczęła nawoływać. Powtórzyła to samo słowo w takich samych odstępach czasu, tyle że jej głos dobiegł mnie teraz z lewej strony. Musiała zatem minąć mnie, a ja jej nie dostrzegłem. Powinienem więc zacząć jej szukać, a nie czekać w miejscu. Wróciłem między dwa drzewa, koło których usłyszałem ją po raz pierwszy, i uzbroiłem się w cierpliwość.

Niewątpliwie znajdowała się gdzieś blisko — oczekiwała odpowiedzi. Ale bałem się, by jej nie przestraszyć. Stałem wpatrując się w płynący między głazami strumień. Nagle zdrząłem: jej głos dobiegł mnie z bardzo daleka. Pewnie doszła już do granatowego lasu. Trudno mi było pojąć, jak jej się to udało, ale była to niewątpliwie ona. Ten sam śpiewny ton i ten sam rytm. Tyle że teraz nie umilkła zawoławszy po raz

trzeci, zapewne ogarnęła ją rozpacz, iż nie może odszukać tego, kto jej znikł z oczu.

Pomyślałem, że pewnie chodzi tu o dziecko, i to o małe dziecko. Zacząłem biegać dookoła, zaglądnąwszy za drzewa. Kobieta postępowała widać podobnie: znów, tak jak na początku, usłyszałem trzykrotnie jej wołanie, znów znajdowała się blisko mnie. Domyślałem się, że wykrzykuje imię dziecka. Nie zawtórowałem jej, bo jeśli dziecko nie słyszało głosu matki, nie usłyszałoby i mojego. I nie byłem pewien, czy potrafię wiernie powtórzyć dwie wyśpiewane przez nią sylaby, pewien byłem tylko, że ostatnia samogłoska brzmi ni to na kształt o, ni to u.

Czas płynął. Błąkałem się, nadstawiając uszu, by usłyszeć płacz dziecka. Zapomniałem o głodzie i zmęczeniu, ale poczułem takie pragnienie, że jak długi wyciągnąłem się na brzegu strumienia i zaczerpnąłem łyk wody.

Po raz pierwszy skosztowałem ziemskiej wody, była tak słodka i odświeżająca, że należało ją pić, nawet gdyby miała przysparzać o śmierć. W tafli wody odbiła się moja twarz: z trudem ją rozpoznałem. Nie golilem się już od dwóch dni. Znów usłyszałem znane mi nawoływania. Podskoczyłem, ale nikogo nie zobaczyłem. Chwilę nadśluchiwałem: cisza. Kobieta musiała mnie zobaczyć i ukryć się.

Zacząłem systematycznie przeszukiwać las, chowałem się za drzewa, pragnąc ją zaskoczyć, wszystko na próżno; kobieta poruszała się szybciej niż ja i stale zmieniała kryjówki: nawoływała coraz to z innej strony. Zapomniałem o dziecku. Mieszkanka lasu odkryła moją obecność i wyraźnie sobie ze mnie kpiała.

Słowo, które powtarzała, oznaczało widać w jej języku szyderstwo, ale mimo że szydziła sobie ze mnie, nie uciekała przecież ani nie starała się mnie odpędzić, przeciwnie, ilekroć oddaliła się, zaraz wracała i stale nawoływała mnie tym

słowem, którego nie byłem w stanie zrozumieć. Słyszałem, że na Ziemi istniało parę tysięcy języków, a nasz wywodził się z dwóch czy trzech. Trudno mi więc było pojąć sens okrzyku kobiety czy chociażby zdać sobie sprawę z jego pochodzenia. Już wspomniałem, że poza ostatnią samogłoską nie potrafiłbym tego słowa powtórzyć.

Składało się ono chyba z czterech liter. Wydaje mi się, że druga litera była także samogłoską, inne jednak były spółgłoskami, których dźwięku nigdy nie słyszałem, a robiły wrażenie wręcz niewymawialnych, przynajmniej dla mnie. Staralem się powtórzyć je szeptem; gdyby mi się to powiodło, wymówiłbym je pełnym głosem, niestety nic z tego.

Kobieta milczała już od dłuższej chwili i przeraziłem się, że odeszła. Obecnie cisza ciążyła mi jeszcze bardziej niż przed usłyszeniem jej głosu. Jedyna Ziemianka opuściła mnie, za nim zdążyłem ją zobaczyć.

Szedłem na oślep, zapomniawszy o strumyku. Promienie słońca zaczęły znów padać z ukosa. Zobaczyłem zakątek, którego jeszcze nie oglądałem. Las rozstał się i na środku zielonej przestrzeni rosło samotnie znane mi już drzewo obwieszane żółto-czerwonymi kulami. Nad nim dostrzegłem skrawek nieba nie większy od ludzkiej dłoni.

Błękit ciemniał powoli, a otaczająca mnie zieleń matowieła. Poczulem krańcowe znużenie. Zgubiłem strumień, nie dotarłem do granatowego lasu, a kobieta wymknęła mi się i ukryła. Nie wiedziałem, w jaką mam się udać stronę. Ale w tej właśnie chwili z drzewa dobiegł mnie krzyk wyraźniejszy niż kiedykolwiek. Więc to tam ukryła się kobieta i wzywa mnie. Wystarczyło podbiec trzy kroki i podnieść głowę. Ale na drzewie nikt nie siedział i znów znalazłem się sam na Ziemi.

Kobieta nie powróciła. Nie ruszałem się z miejsca nie tyle po to, by jej tu oczekiwać, ile dlatego, że w tym miejscu mniej ciążyła mi obecność lasu. Co prawda otaczał mnie on ze wszystkich stron czerniejąc w oczach. Wystarczyłoby mi zrobić dziesięć kroków, a znów znalazłbym się zamknięty wśród drzew. Woląłem pozostać przy samotnym drzewie, które rozporządzało paroma metrami nieba. Odkąd Ziemiańska zniknęła, myślałem już tylko o tym, jak jestem głodny i zmarznięty. Jej głos odegnał na chwilę głód i chłód, ale teraz skorzystały z ciszy i mej samotności, aby znów mnie osaczyć, a przywiodły z sobą także i pragnienie, którego nie mogłem zaspokoić opuściwszy brzeg strumyka.

Zobaczyłem parę fioletowych kwiatków i włożyłem jeden z nich do ust: wydawało mi się, że gdzieś słyszałem, iż Ziemiańska żywiła się tego rodzaju karmą. Kwiatek wydał mi się słodki, ale zaraz słodycz zmieniła się w przykrą gorycz i musiałem go wypluć. Z coraz to ciemniejszego nieba zaczęła opadać noc. Trzeba było się spieszyć. Z odwagą, która narodziła się z rozpacz, podszedłem do drzewa, zerwałem kulę i nadgryzłem ją. Była gorzka i już miałem ją rzucić, gdy poczułem w środku sok. Był zarazem słodki i kwaśny, wyssałem go do końca i zerwałem następne kule. Nadal byłem głodny, ale przynajmniej ugasiłem pragnienie, tym gorzej dla mnie, jeśli te kule są

trujące. Po trochu wyzbyłem się ostrożności, a może po prostu zobojeźniałem.

Ułożyłem się u stóp drzewa, ale nie mogłem usnąć. Było mi zimno. Schowałem ręce za pazuchę i natknąłem się na biały kamyk, który tam uprzednio schowałem. Obok niego spoczywała jakaś tubka. Wyjąłem ją: był to upominek Dwaściadwa.

Powiedział mi: „Jeśli będzie ci potrzebny ogień”. Nie wiedziałem, na co mi się to może przydać, ale nacisnąłem na wyłobienie. Oślepiający płomyk zmienił garść zieleni w kupkę popiołu. Skierowałem tubkę na drzewo, płomyk pozostawił na nim czarny ślad. Dotknąłem go: był ciepły. Podniosłem rękę, płomyk dziurawił liście i odrywał gałązki. Przyjrzałem się im: wyglądały tak, jakby obsiadły je spiczaste błękitne i żółte kuleczki, migotając i drżąc. Zebrałem z ziemi połamane gałęzie i ułożyłem stos, ogarnął go płomień. Teraz kuleczki przestały być błękitne, wydłużyły się i nabrały czerwonej barwy.

Siedząc twarzą do światła rozkoszowałem się bijącym od niego ciepłem. A więc to jest ogień, pierwszy ogień w moim życiu. Upominek Dwaściadwa odłożyłem tam, gdzie leżał, obok białego kamyka. Poczulem się mniej samotny. Myślałem o cieple, zatem o ogniu, zatem o chłopcu, który mi go ofiarował.

Pomyślałem, że gdybym znał powody zadawanych mi przez niego pytań, zrozumiałbym ich sens, tak jak i sens aluzji, z jakimi zwrócił się do mnie na chwilę przedtem, nim zmusił mnie do opuszczenia planetolotu. Czy mnie zdradził, a w takim razie z jakiego powodu i w czyim interesie? A może przeciwnie, oddał mi przysługę, starał się osłonić? Przed kim? Może mnie nawet ocalił? Od czego? Zastanawiałem się nad każdym wymówionym przez niego słowem: niczego nie wyjaśniało, raczej wzmagало wątpliwości.

Jedno było oczywiste. Tubka, której dotykałem, stanowiła dowód przyjaznej pomocy. Ale od razu przyszło mi na myśl, iż Dwaściadwa wiedział, że będę tej tubki potrzebował, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie narazi mnie pobyt na Ziemi, jednakże nie przeszkodziło mu to zepchnąć mnie na tęże Ziemię. A więc ten upominek niczego nie wyjaśniał, mógł równie dobrze świadczyć o przyjaznych uczuciach Dwaściadwa, co o jego nieczystym sumieniu. Był jedną z tych osławionych danych, którą równie dobrze można uznać za dowód pozytywny, co negatywny, a więc nie oznacza nic.

Nie mogłem oderwać spojrzenia od ognia — pierwszego ognia w moim życiu. Słowo ogień dla nas, Księżyczan, nie znaczy nic, jest to słowo, które odziedziczyliśmy po naszych ziemskich przodkach, ale które utraciło sens. I nagle przypomniałem sobie mit o Prometeuszu.

Jego imię tańczyło przede mną wśród płomieni, pojawiły się w nich niejasne dla mnie obrazy. Zobaczyłem postać jakiegoś mężczyzny, który był zbyt wysoki jak na Księżyczanina, musiał więc być mieszkańcem Ziemi. Starłem się przyjrzeć jego rysom, mając nadzieję, że go rozpoznam, ale płomienie poruszały się zbyt szybko i gwałtownie. Oślepiły mnie, przymknąłem więc oczy, ale blask przenikał przez zamknięte powieki, a nie miałem sił, by odwrócić się doń plecami. Księżyczanom trudno będzie zrozumieć, o czym mówię: zbyt wielka jest różnica między życiem na Ziemi a życiem u nas. Nie miałem ochraniaczy, zasłoniłem oczy rękami. Dalej słyszałem szum ognia, ale przestałem go widzieć.

Pamięć lepiej funkcjonuje w ciemnościach. Oto siedzę w centrum rozrywkowym kosmodromu i oglądam telewiadomości. Na ruchomej jezdni odbywa się wymiana uprzejmości między białym fartuchem a jakimś psychopatą. Nie, nie ma mowy o Prometeuszu. Słyszę głos Dwaściadwa: „Wszędzie cię

szukam”. Więc znów zawiodła mnie pamięć. Otworzyłem oczy.

Ogień szerniał i osłabł. Przestał mnie razić w oczy, wpatrzyłem się więc w jego niemal już nieruchomą czerwień. To nie on tworzył dręczące mnie obrazy, teraz same pojawiały się przed moimi oczami. „To Prometeusz — oznajmił geohistoryk — skradł ziemskim bogom ogień, by ofiarować go Ziemiom”. Mówił długo, ale to zdanie było najistotniejsze, a zaraz potem geolingwista wymienił jakieś staroamerykańskie słowo, które było nazwą aparatu służącego do krzesania ognia. Żałowałem, że umknęło ono z mej pamięci, bowiem potrafiłbym nazwać ofiarowaną mi przez Dwasciadwa tubkę. Wyjąłem ją, aby jej się przyjrzeć, ale to nie pomogło mi w przypomnieniu sobie jej nazwy, tym bardziej że mój ogień zaczął gasnąć.

Wstałem, poszukałem gałęzi, ułożyłem je na stosie i przyglądałem się, jak okrywają się świetlistymi kroplami. Potem wpatrzyłem się w cienie ścigające się aż po brzeg lasu. I nagle zobaczyłem mnóstwo ziemskich istot.

Było ich bardzo dużo, siedziały nieruchomo na drzewach. Wielkości niemowląt, wyglądały jak starcy. Ogromnymi oczyma osadzonymi bardzo blisko siebie tuż ponad płaskim nosem wpatrywały się w ogień.

Czy zdawały sobie sprawę z mojej obecności?

Nadstawiłem ucha, ale milczały. Nie wiedziałem, czy to jakiś nowy gatunek ludzi, czy też istniał on zawsze i jako jedyny przetrwał Wielki Krach. Próbowałem przyjrzeć się najlepiej oświetlonym postaciom, odróżnić mężczyzn od kobiet. Bardzo to było trudne. Wszyscy byli podobnie ubrani w jakieś brązowe futra, tylko ręce mieli nagie, wyglądały one tak samo jak moje.

Miałem ochotę zbliżyć się do nich i odezwać. Czy by mnie zrozumieli? Niewykluczone. Ale równie dobrze mogliby przede mną uciec, byłem przecież trzy razy większy. Albo

rzucić się na mnie: było ich wielu, a ja byłem sam. Mieli zamysłone, zaabsorbowane miny. Za każdym razem, kiedy padał na nich odblask światła, drżeli, lecz nie uciekali, pomyślałem sobie, że tak jak ja nigdy dotąd nie widzieli ognia.

Oto po raz pierwszy spotkałem Ziemiaków, a oni po raz pierwszy zobaczyli Księżyczanina. Ileż mielibyśmy sobie do powiedzenia, pod warunkiem, że uda nam się znaleźć wspólny język! Byli inteligentni: wystarczyło się im przyjrzeć, na ich twarzach malowała się drwina i melancholia. Różnili się od nas tylko wzrostem. Mógł to być wynik mutacji spowodowanej przez Wielki Krach. Sami wiedzą pewnie najlepiej, wystarczy spytać. Ale miałem tyle ważniejszych pytań!

Nasunęły mi się one podczas podróży, gdy przysłuchiwałem się opowieściom geohistoryka, który, tak jak wszyscy jego koledzy, nie mogąc przeprowadzić badań, ograniczył się do formułowania przypuszczeń, a na ich podstawie budował hipotezy. Potomkowie świadków katastrofy wiedzą niewątpliwie, jak było naprawdę.

Nasi uczeni od wielu pokoleń prowadzili dyskusję dotyczącą przypuszczalnego czasu trwania wojny, lecz nie doszli do porozumienia, teoria pięciu minut była równie popularna co teoria minut siedmiu. Nie odkryto nawet, czy naprawdę była to wojna czy wypadek. Te małe istotki siedzące na drzewach były na pewno lepiej poinformowane niż nasi najlepsi specjaliści. Niezależnie od tego, jaką drogą przekazywano na Ziemi w ciągu ostatnich pokoleń wiadomości i świadectwa historyczne, ustnie czy piśmiennie, rejestracją magnetyczną czy optyczną, za pomocą pamięci komputerów czy pamięci ludzkiej — te siedzące na drzewach istoty *musiały* wiedzieć. Wystarczyło spytać, a odpowiedzą mi chórem. Tak, ocaleli tylko nasi przodkowie. Tak, była to wojna.

Na drzewach wciąż nikt się nie poruszał, wszyscy utkwili

wzrok w płomieniach, tak jakby odczytywali z nich obrazy przeszłości. Jeżeli wojny, to jakiej wojny? Kto ją sprowokował i dlaczego?

Nasi badacze znali tylko nazwy trzech wielkich państw, które brały w niej udział, ale nic nie pozwalało stwierdzić, kto ją zaczął. Geohistoryk dobrze nam to wytłumaczył, było tyleż teorii, ile możliwości — i ani jednego dowodu. Czyli Ziemia, z których nie spuszczałem wzroku, byli potomkami jednego z narodów biorących udział w wojnie, może właśnie tego, który ją rozpoczął, aby potem tak jak wszyscy ponieść straszliwe konsekwencje? Jeśli mówili językiem wywodzącym się z amerykańskiego, od razu bym to poznał, jeśli zbliżonym do rosyjskiego, odkryłbym znane mi z naszego języka elementy, ale jeśli byłby to nowochiński, nic bym nie zrozumiał nie będąc geolingwistą. A przecież istniało na Ziemi wiele innych języków, nieznanymi mi nawet z nazwy.

Ogień zatrzeszczał. Ziemia, dalej siedzieli pogrążeni w myślach. Od czasu do czasu jeden z nich podnosił rękę — mieli po cztery ręce, za to nie mieli nóg — i drapał się. A ja bałem się, że nie mam innego wyjścia, tylko wyciągnąć się na ziemi i skonać z głodu. Na Ziemi nie było karmy albo ja nie wiedziałem, jak jej szukać. Dalej przyglądałem się milczącemu gronu ludzi.

Czy domyślali się przynajmniej, że istota wyglądająca tak jak ja umie mówić? Należało im to udowodnić. Zawołałem:

— Jestem głodny!

Nikt nie drgnął. Czy mnie usłyszeli, czy w ogóle były w stanie mnie usłyszeć te na pozór głuchonieme karły, ci mutanci Wielkiego Krachu, te jedyne istoty, którym dane było przeżyć? Zacząłem się ich bać, ale głód był silniejszy. Jednego byłem pewien: te istoty musiały się odżywiać. Choćby były głuche, choćby nie rozumiały mego języka — zrozumieją

gesty. Podejdą do nich, zrobię gest jedzenia, pojmą, że jestem głodny, i pokażą mi, co na ich planecie służy za karmę.

Już miałem wstać, kiedy wszyscy naraz zaczęli mówić. Nic nie rozumiałem, ale jasne było, że nie mówią o mnie, nikt nie patrzył w moją stronę. Krzyczeli coraz to głośniejsze, coraz szybciej i nagle wszyscy zerwali się. Przerzucali się z gałęzi na gałąź niknąc w liściach. Ledwie zdążyłem wstać, a już ich nie było. W lesie znów zapanowała cisza i pustka.

Chciałem podejść i sprawdzić, czy naprawdę nikt nie został, kiedy wśród ciemności dostrzegłem zielone, błyszczące, z każdą chwilą ogromniejące oczy. Dojrzałem jasną plamę, która stała się cielskiem. Było ono długie, smukłe, białe, usiane czarnymi cętkami. Zwierz zbliżał się bezszelestnie, mali Ziemianie mieli rację, że uciekli, dostrzegłszy jego obecność.

Zwierz zatrzymał się pod ostatnim drzewem lasu i spojrzał w moją stronę. I on był widać głodny, ale nie ruszyłem się z miejsca, wiedząc, że nie potrafię ani przed nim uciec, ani z nim walczyć. Jednakże zwierz trwał bez ruchu, a ja z trudem opanowywałem drżenie ciała. Znajdowaliśmy się w pewnej odległości od siebie i zacząłem się zastanawiać, czy zwierz mnie zauważył. Ani razu nie napotkałem jego wzroku. Ukośne oczy wpatrywały się bez ruchu w ogień. Siedziałem jak skamieniały. Gdybym się choćby nieznacznie ruszył, dostrzegłby mnie i wystarczyłoby mu jeden skok.

Czas zwolnił bieg. Całe ciało zaczęło mi nieznacznie ciążyć. Drżały mi kolana. Nagle jakiś płomień podskoczył ze świstem w górę. Zwierz uskoczył w bok i znikł. Spotkałem go jeszcze, a potem dowiedziałem się nawet, jak się nazywa. Była to śnieżna pantera i uciekła przede mną, Prometeuszem.

Kiedy otworzyłem oczy, na ziemi przede mną pobłyskiwały czerwone iskierki, od których było miłe ciepło. Poza tym wszędzie panowała czarna noc, nie było widać Księżyca. Las znikł mi z oczu. Na wpół przebudzony zacząłem obmacywać ziemię szukając czegoś nadającego się do zjedzenia. W miejscu, gdzie wygasł ogień, natknąłem się na jakiś długi przedmiot o zaokrąglonych końcach. Był ciepły. Spróbowałem go rozłamać, przyszło mi to z łatwością, był miękki, trochę gorzkawy, ale przynajmniej nie kwaśny. Chciałem pożarłem ten mój pierwszy pokarm na Ziemi. Nie wiedziałem, ani co to jest, ani jak się nazywa, ale było tego tak dużo, że nie udało mi się zjeść go do końca. Schowałem pozostały kawałek. Brzuch miałem pełny, ale zachciało mi się pić.

Podszedłem do drzewa, by zerwać kilka kul i zaspokoić pragnienie. Już wiedziałem, że napój ten nie jest trujący; jeśli chodzi o karmę, to wkrótce będę się mógł przekonać, czy mi zaszkodzi, czy nie. Położyłem się i czekałem. Pełzające przede mną czerwone iskierki chroniły mnie przed Ziemianami i dzikimi zwierzętami, jeśli znajdowały się gdzieś blisko. To do mnie należało wybrać moment spotkania. Chwilowo wołałem samotność.

Zamknąłem oczy, by zobaczyć twarz Dwaściadwa. Czy wiedział, że poszedłszy we wskazanym przez niego kierunku spotkam małych mieszkańców drzew? A może gdybym

wybrał *tam* zamiast *tutaj*, znalazłbym się w krainie potworów, które narodził Wielki Krach? Z pełnym brzuchem myślało mi się trudniej niż w stanie wyголоżenia. Zacząłem patrzeć w niebo.

Księżyc nie powrócił już, ale zauważyłem kilka świetlistych, jakby wilgotnych punkcików, które drgały dziwnym migotliwym ruchem. W czasie podróży nie widziałem ich. Gwiazdy były nieruchome i świeciły ostrym blaskiem. Może światła te znajdowały się na szczycie gór? Nim przemyślałem tę możliwość – znowu usnąłem.

Oto znajduję się w okrągłym pokoju. Naprzeciw mnie stoi mutantka. To Trzynastka. Mówi do mnie coś, co brzmi jak wyrok. Nim zrozumiałem, co, obudziłem się. Niebo było znów niebieskie. Pojawił się las. Nie czułem już strachu.

Zjadłem do końca schowany pokarm i zacząłem szukać na ziemi, czy nie znajdę go jeszcze. Podniosłem trzy czy cztery kawałki i postanowiłem wyruszyć, chciałem jednak wziąć na drogę parę kul. Gdy je zrywałem, przyszło mi na myśl, że wdrapawszy się na drzewo zobaczę, w którą stronę powinienem się udać. Wspinanie przyszło mi z trudnością, nie należałem do rodziny spotkanych nocą małych Ziemiaków. Parokrotnie o mały włos, a byłbym spadł, a co gorsze, liście zasłaniały mi widok. Traciłem oddech. Wreszcie znalazłem się na wierzchołku drzewa. Miałem rację. Za zielonym lasem dostrzegłem las granatowy. Był równie piękny i tajemniczy jak poprzedniego dnia. Poszukałem wzrokiem horyzontu i stwierdziłem, że kryją go pionowe góry. Należało dojść *tam*. Powinienem być zastanowić się, czemu Dwaścjadwa strącając mnie na Ziemię wskazał mi równocześnie miejsce, gdzie mogłem schronić się przed niebezpieczeństwami. Ale tak mi było spieszo tam się znaleźć, że nie chciałem tracić czasu przed wyruszeniem w drogę.

Tego dnia było mi już łatwiej iść, może dlatego że się najadłem. Przypuszczałem, że uda mi się odszukać strumień i pójść jego brzegiem, ale widać oddalił się w innym kierunku. Gdy patrzyłem przed siebie, drzewa wydawały mi się niższe: schodziłem zboczem wzgórza. Z początku ruszyłem zbyt szybkim krokiem, musiałem zmniejszyć tempo, ale coraz łatwiej mi było unosić stopy. Sprawilo mi to pewną przyjemność. Idąc patrzyłem w górę: wśród listowia mogli się przecież ukrywać mali Ziemianie lub pantera.

Nagle ogarnęło mnie zwątpienie. Może mi się to śniło? Obecnie światło dnia przypomniało mi, że na Ziemi nie zostały się żadne żywe istoty. Znów w to uwierzyłem, maleńki czarnoczerwony mechanizm, który odzyskując przytomność zauważyłem na mej dłoni, nie przeczył tej teorii. Monotonne nawoływanie kobiety? Tak, ale mimo wszelkich wysiłków nie udało mi się jej zobaczyć. Nic mi nie było wiadomo o ziemskiej akustyce: niewykluczone, że jakieś fale dźwiękowe dalej wibrowały w powietrzu.

Gotów już byłem w to uwierzyć, tym bardziej że ponad moją głowę rozległ się nagle śpiew pełen koloraturowych nieznanym mi tryli. Nie mógł to być tamten głos kobiecy powtarzający w kółko to samo słowo, teraz melodia nie niosła z sobą żadnego przesłania i myliłbym się chyba, przypisując ją jakiejś ludzkiej istocie. Śpiew pochodził z gardła jakiegoś stworzenia, jeżeli wręcz nie był skutkiem nieznanym mi wibracji. Zbliżył się. Podniosłem głowę. Wśród drzew dostrzegłem ptaka, wiele ptaków.

Nie przypominały ptaków przymocowanych do gałęzi sztucznego lasu, który zwiedziłem w gronie turystów. Było ich wiele, każdy inny, duże i małe, białe z zielonym ogonkiem, czarne z czerwonymi nóżkami, zielone, błękitne i fioletowe, a także bezbarwne, szare, ale ich głos kazał zapominać o

szarości. Ten widok wprawił mnie w dobry humor. Nadal nie wiedziałem, co się ze mną stanie, poczułem się jednak dość beztrosko.

Zatrzymałem się, by nazbierać drzewa, nauczyłem się bowiem rozpalać ogień, najadłem się, gdyż znalazłem karmę, ugasilem pragnienie, gdyż pamiętałem o nazrywaniu czerwonych kul. Przyglądałem się ptakom, a one przyglądały się mnie, miały oczka czarne lub żółte, ale zawsze okrągłe. Wciąż schodziłem w dół, wszędzie rosło zbyt wiele drzew, a były tak bujne, że rzadko przez ich gałęzie przedzierał się promień słońca. Wydawało mi się, że słyszę szum strumienia: myliłem się. A więc może gdzieś w oddali znów zabrzmiał ten kobiecy głos: nieporozumienie. Nagle ptaki umilkły, a las zadrżał i znieruchomiał. Zrobiło się ciemniej. Jakiś nieznanый hałas dobiegł mnie od strony liści, które zaczęły się poruszać, i jakiegoś jasnego promienia dotknęły ziemi.

Promienie mogłyby być promieniami słońca, ale czemu były mokre? Woda spływała po mnie, mniej chłodna niż woda strumienia, przyjemnie odświeżająca, nie przypominała tej wilgotnej szarości, którą widzieliśmy nad Europą, a która zwała się deszczem. Odchyliwszy w tył głowę otworzyłem usta: tak, to prawdziwa, naturalna woda, jakiej nie mieliśmy na Księżycu. Szedłem w jej strugach czując się tak lekko, jakbym znów znalazł się na mej rodzinnej planecie.

Woda przestała padać równie nagle, jak zaczęła. Świetliste suche promienie tańczyły wokół mnie wśród drzew. Ptaki znów zaczęły śpiewać, nie bały się mnie, a ja coraz szybciej schodziłem w dół, wyzbywszy się strachu. Ugasilem pragnienie, a nie odczuwałem jeszcze głodu. Był to mój najpiękniejszy spacer po Ziemi. Szedłem przed siebie aż do zapadnięcia nocy. Nie odnalazłem strumienia. Nie udało mi się wydostać z lasu. Wszystkie drzewa wokół były nadal zielone.

Tej nocy nikogo nie zwabił widok mego ognia. Spałem spokojnie, bez snów. Ale w chwili, gdy się obudziłem, wydało mi się, że śnię. Ułożony przeze mnie stos drzewa zamienił się w wielką czerwoną, połyskującą plamę. Żarzyła się, ale niemal nie dawała światła. Tuż za nią stała na tylnych łapach pantera, tyle że nie biała, lecz ciemno-żółta, poznaczona czarnymi plamkami. Stała zupełnie nieruchomo, tak jak tamta. Ale wydało mi się, że nie wpatruje się w żar, lecz we mnie.

Wielokrotnie zamykałem i otwierałem oczy, powoli przychodząc do siebie. Tak, pantera znajdowała się w tym samym miejscu. Zacząłem się zastanawiać, czy uda jej się jednym skokiem mnie dopaść. Ruszyła się, zadrzałem i nagle zdałem sobie sprawę, że nie jest to pantera, lecz ludzka istota.

Pomyślałem, że znów daję się ponieść wyobraźni. Zasnę i zjawa zniknie. Starłem się to sobie przetłumaczyć, a równocześnie wpatrywałem się w tego urojonego Ziemianina, mając nadzieję, że jednak...

Wydawał się wysoki i prosty jak drzewo, miał na sobie skórę żółto-czarnej pantery, która sięgała mu do kolan. Nogi były nagie. Odniosłem wrażenie, iż zauważył, że się obudziłem, ale mimo to milczał. Należało więc chyba odezwać się do niego i czekać odpowiedzi. Już miałem spróbować, kiedy płomienie wzbily się na sekundę w górę. Zobaczyłem nóż

przypięty do pasa, potem nagie ramiona, potem twarz. Była to twarz kobiety.

Wstałem. Kobieta ta była wyższa ode mnie i szersza w ramionach, długie czarne włosy zwisały jej na plecy, do których był przytroczony oszczep, oczy były zielone i skośne, tak jak oczy pantery. Pozdrowiłem ją w moim księżycowym języku, którego nie mogła zrozumieć. Nic nie odpowiedziała, odwołałem się więc do paru słów staroamerykańskich i starorosyjskich, które odziedziczył nasz język, mając nadzieję, że pojmie. Sądząc z wyrazu twarzy, nie pojęła, przemówiła jednak do mnie, lecz nawet brzmienie jej słów było mi zupełnie obce.

Mówiła bardzo szybko bardzo wysokim głosem. Nie był to głos nieznaomej, która wzywała mnie poprzedniej nocy. Wykonałem bezradny gest, a Ziemianka powtórzyła te same słowa złożone z gardłowych, a zarazem przenikliwych dźwięków. Nachyliła się w moją stronę, już chciałem się cofnąć, gdy jednym susem przesadziła ogień i znalazła się tuż koło mnie.

Miała duże usta, małe uszy, wystające kości policzkowe. Jeśli nie liczyć skóry pantery — była naga. Dotknąwszy palcem mej odzieży powiedziała coś, po tonie głosu zrozumiałem, że to pytanie. Nie otrzymawszy odpowiedzi, wskazała na czerwony żar u mych stóp, a potem na mnie. Może chciała się dowiedzieć, czy to ja rozpałiłem ogień, czy jestem sam. Skinąłem głową. Wpatrywała się we mnie, usiłując pewnie zrozumieć, co oznacza mój gest. Uśmiechnąłem się. Nie zmieniła wyrazu twarzy, przyglądała mi się dalej bacznie, chyba po prostu nie знаła znaczenia uśmiechu. Możliwie najprzyjaźniejszym, najłagodniejszym tonem powiedziałem, jak przykro mi, że nie mogę jej nic wytłumaczyć: miałem nadzieję, że ten ton przemówi do niej zamiast słów. Słuchała mnie uważnie, nagle otworzyła usta i wskazała na nie ręką. Albo była głodna,

albo pytała, czy ja bym czegoś nie zjadł, najważniejsze, że nawiązaliśmy porozumienie.

Podąłem jej kawałek znalezionej na ziemi pokarmu. Przyjrzała mu się i rzuciła go w ogień. Widocznie trafiłem na coś niestrawnego. Wyciągnęła zza pazuchy niewielki ciemnoczerwony ochłap i podała mi. Odznaczał się on nieznanym mi dotąd smakiem i spożyłem go z ogromną przyjemnością, nie podejrzewając, że oto po raz pierwszy w życiu zajadam — jak się później miałem o tym przekonać — mięso.

Wiedząc, że nie rozumiała ani potakującego skinienia głową, ani uśmiechu, spróbowałem uścisnąć jej rękę. Ledwie jej dotknąłem, uderzyła mnie w pierś tak, że upadłem. Pewnie był to gest samoobrony, choć nie wiedziałem, przed czym, może przed możliwą agresją, w każdym razie była stanowczo dużo silniejsza ode mnie. Myślałem, że ucieknę, ale nie ruszyła się z miejsca, tylko zaczęła nadśluchować. Prawdopodobnie nadśluchowała czyichś kroków, na pewno nie była sama. Chętnie bym ją o to zapytał, ale ona j ja przestaliśmy zwracać się do siebie za pomocą słów, które okazały się nieprzydatne. Ziemiańska dała mi znak głową i ruszyła. Ja dalej stałem nieruchomo. Nie zatrzymując się, powtórnie skinęła na mnie, wyraźnie żądając, bym za nią poszedł.

Szła bezszelestnie i tak szybko, że wkrótce pozostałem w tyle. Od czasu do czasu oglądała się przez ramię i wzywała mnie ruchem głowy, a ja musiałem biec, by ją dogonić. Dalej było ciemno, bałem się, że mi zniknie z oczu. Kobieta coraz to czegoś nadśluchowała, ale nikogo nie wołała. Byłem pewny, że lada moment spotkamy innych Ziemiaków.

Przestaliśmy schodzić w dół, las dla odmiany wspinał się, i to stromo: trudno mi było złapać oddech. Wreszcie usiadłem u stóp jakiegoś drzewa. Ziemiańska musiała zdać sobie

sprawę, że nie słyszy już moich kroków. Zatrzymała się, poczekała, aż wstanę, i zaraz znów ruszyła.

Szliśmy coraz to bardziej stromym zboczem, musiałem zwolnić kroku. Moja przewodniczka przeskakiwała lekko z kamienia na kamień opierając się o drzewo tylko wówczas, gdy bosymi nogami miała stąpnąć na jakąś ostrą powierzchnię. Obserwowałem ją z tyłu, długi oszczep pozostawał nieruchomy, tylko opadające po pas włosy kołysały się rytmicznie.

Coraz to bardziej ciążyło mi własne ciało, traciłem oddech, zatrzymywałem się, wpadałem na niewidoczne przeszkody, potykałem się i ślizgałem na kamieniach.

Zaczął wstawać dzień.

Gdzieś daleko odezwało się nawoływanie ptaka, Ziemianka odpowiedziała mu. Tych dwoje rozumiało się nawzajem, a mnie było równie trudno zrozumieć ptaka, co kobietę. Wsłuchiwałem się we własny ciężki i coraz to bardziej nieregularny oddech. Drzewa zaczęły nabierać koloru. Kobieta tylko raz obejrzała się za mną — bez żadnego wyraźnego powodu. Dalej zachowywała niewzruszony wyraz twarzy, której światło przydało jeszcze gładkości. Nagle zaboląły mnie oczy — wyszliśmy z lasu.

Na niewielkiej okrągłej powierzchni rosły kwiaty inne niż te, które dotąd poznałem, a dalej piętrzyły się ostro zakończone skały. Z przyjemnością pomyślałem, że nasza wędrownica dobiegła końca, i szukałem wzrokiem kwatery rodziny Ziemiarki.

Nie dostrzegłem jej, a ponieważ kobieta skierowała się w stronę skał, poszedłem za nią, pomyślawszy, że mieszka w jakimś ukrytym wśród skał zakamarku. Zaczęła się po nich wspinać, nawet nie patrząc, gdzie stąpa, widać było, że przywykła tędy chodzić. Poszedłem za nią, chwytając się występów skalnych, odpocząłem już trochę, a świadomość, że

przybyliśmy na miejsce, dodawała mi sił. Wspinałem się z trudem i powoli; dogoniwszy kobietę usiadłem, aby nabrać tchu. Ale ona, przeskoczywszy przez szeroką szczelinę, stanęła na następnej skale. Pomyślałem, że popisuje się przede mną i zaraz wróci, jednakże nie wróciła, tylko skinęła na mnie, bym poszedł w jej ślady. Pokręciłem przecząco głową. Nie wiem, czy mnie zrozumiała, w każdym razie skinęła na mnie po raz wtóry. Przyjrzałem się szczelinie, która nas oddzielała, trudno byłoby mi zejść na jej dno, a już na pewno nie potrafiłbym się z niej wydostać.

Ziemiańska czekała. Usiłowałem dać jej do zrozumienia ruchami rąk, że nie potrafię, nie mam sił skoczyć. Odwróciła się, przeskoczyła następną skałę, zniknęła mi z oczu, po chwili zobaczyłem ją jeszcze wyżej, wreszcie znikła na dobre: pewnie odnalazła swoich. Znów byłem sam. Pozostały mi tylko własne myśli.

Nie miałem powodu, by się spieszyć z powrotem. Usiadłem więc tyłem do białych szczytów i starałem się zorientować, skąd przyszedłem. Las, po którym posuwałem się zygzakami, sięgał aż po stopy gór. Chętnie odszukałbym potok, który porwał wszystko, co posiadałem. Nic nie rozpoznawałem, nie słyszałem nawet szmeru strumienia ani śpiewu ptaków, ani wołania nieznajomej. I nagle zauważyłem, że lasy zamieniły się miejscami.

Wokół mnie rósł teraz las zielony, a tam gdzie znajdował się poprzednio, zobaczyłem las granatowy. A przecież podczas całej mej wędrówki nie widziałem drzewa, które by się posuwało o własnych siłach, choć majaczyło mi, że słyszałem coś o tym w szkole. Ale nie na kursie nauk przyrodniczych ani na nielicznych wykładach z historii Ziemi. Zieleń ożywiła się, granat pojaśniał: widać Słońce zbliżyło się do szczytu góry. Odwróciłem się, by na nie spojrzeć. Jeszcze się nie ukazało,

ale nagle przypomniałem sobie, gdzie słyszałem o marszu drzew. Tak, mówiło o tym streszczenie jednego ze stu arcydzieł ziemskich. „Opowieść o zbrodni politycznej, której tło stanowi niemożność zachowania czystych rąk i obecność maszerującego lasu”. Nadal jednak nie pamiętałem utworu ani nazwiska autora, który opisał dostrzeżone przeze mnie zjawisko.

Wstałem, by zacząć schodzić, gdy nagle poczułem za sobą czyjąś obecność. Odwróciłem się szybko i o mało nie potraściłem Ziemiarki. Jej pojawienie się nastąpiło bezszelestnie. Podniosłem oczy i napotkałem jej wzrok. Zdawał się nic nie wyrażać. Wydaje mi się, że się uśmiechnąłem, gdyż uradowało mnie, iż znów nie jestem sam. Miałem ochotę powiedzieć jej to, choć wiedziałem, że nie zrozumie, lub wykonać jakiś przyjazny gest, nawet gdyby trudno jej przyszło go pojąć. Ale nie zdążyłem. Ziemiarka schyliła się, chwyciła mnie w pół i przewiesiła sobie przez ramię.

Poczułem, że wiszę w pustce, i aż zaparło mi dech. Kobieta przeskoczyła przez szczelinę. „Teraz postawi mnie na skale i każe za sobą iść!” Zaledwie zdążyłem to pomyśleć, kobieta pobiegła dalej. Z nogami przyciśniętymi do jej piersi, z głową zwisającą na jej plecach chybotąłem się na wszystkie strony. Kobieta biegła równie szybko co przedtem. Otwierałem oczy, gdy na chwilę zatrzymywała się, i zamykałem je mimo woli, gdy przeskakiwała przez szczeliny albo biegła po głazach tuż nad przepaścią.

Z każdą chwilą znajdowaliśmy się wyżej: jej plemię mieszało widać na szczycie. W dole znikł granatowy las, zielony stawał się coraz to ciemniejszy i mniejszy, chwilami zakrywały go skaliste zbocza. Co chwila skoki Ziemiarki podrzuciły mnie w górę. Otaczał nas kamienny świat. Ukazało się Słońce. Raził mnie jego blask. Wpatrywałem się w skórę pantery i grę

mięśni na nagich nogach kobiety. Słyszałem jej lekki oddech. Zatrzymała się tylko raz, aby ugiąć kolana, zakołysać i rzucić w próżnię. Przybyliśmy na miejsce.

Postawiła mnie na maleńkiej platformce. Nikogo tu nie było. Zbliżyła się do pionowo sterczącej skały. Za głazami, które odsunęła, znajdował się jakiś otwór. Schyliła się i weszła doń. Nie dała mi znaku, bym poszedł za nią.

Nie słyszałem żadnych głosów, a przecież w grocie była na pewno jej rodzina, może dzieci; oto przyniosła im ona w darze dziwaczne zwierzę, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli: Księży-
czanina. Co ze mną zrobią? Posłużę im do zabawy? Każą mi pracować? Wrzucą w przepaść? Występ skalny, na którym stałem, liczył co najwyżej cztery metry kwadratowe. Nachyliłem się, aby zobaczyć zbocze. Opadało w dół niemal że prostopadle. Nie udało mi się dojrzeć dna przepaści. Odwróciłem się, przykucnąłem przed wąskim przejściem, w którym zniknęła Ziemiańska, i zajrzałem do środka.

Kobieta była sama. Klęczała i nie odwróciła się w moją stronę. Przez jej ramię dojrzałem jakieś blade, migocące światełko. Poza tym trudno było coś dojrzeć, w głębokiej jaskini panowała ciemność. Chciałem zawołać Ziemiankę, ale wciąż nie znałem jej imienia. Zawahałem się, wreszcie powiedziałem:

— To ja.

Znów skinęła na mnie głową. Wszedłem w półmrok, doszedłem do najciemniejszej części jaskini i zatrzymałem się.

Ziemianka krajała swym nożem jakiś leżący na ziemi przedmiot. Obok niej stał wydrążony kamień, napęczniony jakąś cieczą, a z niej wynurzał się pręt, na którego końcu drgało światełko wielkości co najmniej paznokcia, płonęło tak słabo, że nie rzucało cienia, za to z kamienia wydobywał się jakiś kwaśny zapach.

Skończywszy robotę, kobieta wzięła gałązkę i przysunęła ją ostrożnie do płomyka. Kiedy gałązka zajęła się, zobaczyłem, że leży przed nami parę kawałków drzewa ułożonych w mały stosik. Ziemianka wsunęła pod nie gałązkę, schyliła głowę i zaczęła dmuchać. Pojawiały się znane mi już jęczyczki, najpierw niebieskie, potem czerwone i żółte, niektóre gasły, inne, coraz liczniejsze, wspinały się do góry.

Kobieta wzięła pokrojony przedmiot i ułożyła go na stosie. Teraz mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Nie zajął się, a na jego

powierzchni ukazały się czerwone krople, które zaczęły wrzeć. Ziemianka usiadła na nogach i wpatrywała się w ogień. Ciągle nie zamieniliśmy słowa. Zachowywała się tak, jakby nie uważała mej obecności.

Odszedłem parę kroków, lecz wciąż nie zwracała na mnie uwagi. Jaskinia była pusta. Obszedłem ją dokoła, nie, nikogo w niej nie było, widać inni jej mieszkańcy jeszcze nie powrócili. Z jednej strony po skalnej ścianie sączyła się woda, z drugiej strony ściana była sucha i ciepła. Na samym końcu jaskini natknąłem się na stos suchych łądyg: było to jedyne miejsce nadające się do spania. Obserwowałem z daleka kobietę: siedziała nieruchomo, w jej skośnych oczach migotał odbłask ognia. Ponad jej głową unosiła się błękitna mgiełka, która pod sklepieniem gęstniała w szarą chmurę — a ta przypominała mi chmury nad jednym ze zburzonych miast.

Obudził mnie okrzyk i aż podskoczyłem do góry. Ziemianka podniosła się i wołała mnie. Zacząłem się zastanawiać, która to może być godzina, i poszukałem wzrokiem wejścia, które powinno było znajdować się na drugim krańcu jaskini. Ale go nie dojrzałem. Musiało więc być już późno. Podszedłem do kobiety, która nadal była sama. Zdjęła z ognia poczerniały przedmiot, rozerwała go na dwie części i podała mi jedną z nich: a więc nikogo nie oczekiwała.

Pokarm aż parzył. Aby oderwać kawałek, musiałem go ścisnąć między zębami i ciągnąć ze wszystkich sił. Ziemianka miała silniejsze i zęby, i ręce, nigdy jeszcze nie widziałem, aby ktoś jadł tak jak ona. Pożerała kęsy trzy razy większe od moich, od czasu do czasu ocierając usta wierzchem potężnej ręki. Za jej plecami zamajaczyło mi wreszcie wejście do jaskini. Było zasłonięte starannie ułożonymi głazami, które nie pozwalały się przedostać najmniejszemu promykowi światła,

trudno więc było się domyślić, czy na dworze panuje noc czy dzień; teraz nie miałem wątpliwości: kobieta mieszkała sama.

Z wydrążonego kamienia dalej wyzierało słabe światełko, drzewo dopalało się różowiejąc. Nie śmiałem wyrzucić resztki karmy: spożyłem tylko część mojej porcji i czułem się zupełnie syty. Podałem go Ziemiance, ale nie wyciągnęła ręki. Przyjrzała mi się bacznie podając stojący obok przedmiot. Był okrągły, wydrążony, pełen cieczy. Kobieta przyglądała się, jak piję, pewnie uważała, że mam pragnienie. Była to owa wymienita ziemska woda. Kiedy przestałem pić, wzięła mnie za rękę, w której trzymałem pokarm, i podniosła ją do moich ust. Dalej nie chciałem jeść. Wówczas Ziemianka zabrała pokarm, chciałem się do niej uśmiechnąć, lecz nie zdążyłem. Nachyliła się nade mną i starała się zmusić mnie do jedzenia, wypychając pokarm do ust. Zacząłem gestykulować, usiłując jej wytłumaczyć, że dzięki niej — i bardzo jej za to jestem wdzięczny — zaspokoilem już całkowicie głód. Nie zrozumiała, a może nie chciała zrozumieć, i zaczęła mówić. Szybko, łagodnym głosem wypowiedziała kilka niezrozumiałych zdań, pewnie usiłując mnie przekonać, bym jadł.

Nadal nie chciałem. Siłą rozwarła mi szczęki i kazała gryźć. Próbowałem się jej opierać, ale na próżno: była dużo większa i silniejsza. Choć krztusiłem się, zmusiła mnie do zjedzenia do końca całej porcji, od czasu do czasu dając mi do popicia wody. Potem skinęła z zadowoleniem głową i wstała zapraszając mnie ruchem ręki, bym za nią poszedł.

Znaleźliśmy się w głębi grotu. Ziemianka zatrzymała się przed stosem łądyg, wskazała nań palcem i położyła się pierwsza. A więc była już noc. Wśród ciszy słychać było miarowy oddech kobiety, pewnie natychmiast zasnęła. Po

omacku odnalazłem to dziwne leżysko ziemskie i wyciągnąłem się na nim. Zrobiło mi się przyjemnie, to była duża pociecha słyszeć koło siebie — na tej opuszczonej zrujnowanej planecie — czyjś oddech.

Po raz pierwszy od chwili, gdy strącono mnie na Ziemię, nie miałem ponad sobą nieba, podziemny mrok był mi czymś bliskim, ale w jaskini było tak ciemno, że nie mogłem dojrzeć sąsiadki. Położywszy się na wznak zamknąłem oczy i usiłowałem obliczyć, od jak dawna znajduję się na Ziemi. Próbowałem przypomnieć sobie, ile razy kładłem się spać. Miałem z tym duże trudności: noce i dni ziemskie są bardzo krótkie, nasza doba trwa dwanaście razy dłużej. Coraz to od nowa zaczynałem obliczenia, choć ogarniał mnie sen. Nagle poczułem, że kobieta położyła mi na ramieniu rękę.

Ta duża ręka leciutko ześliznęła się na moje piersi, potem na brzuch. Zupełnie rozbudzony starałem się oddychać wolno, aby wydawało się jej, że śpię, nie ośmieliłem się poruszyć. Palce Ziemianki jak żywe zwierzątka ślizgały się po mojej odzieży szukając otworu. Nie mogły go znaleźć, zaczęły więc szarpać kombinezon próbując go rozerwać. Ale był on nie tylko ogniotrwały i izolujący tak od wysokich jak i niskich temperatur, był także niezniszczalny. Zdjąłem go. Kobieta nie wypowiedziała ani jednego słowa. Milczałem także i ja. Poczulem, jak wsuwa mi rękę pod ramiona, wreszcie pod biodra i unosi mnie do góry. Po sekundzie leżałem już na niej z twarzą zanurzoną w piersi większej od mojej głowy. Kobieta była naga, bił od niej zapach Ziemi, zapach lasu, zapach skóry pantery i jeszcze jakiś, najsilniejszy. Ja też byłem teraz nagi, palce Ziemianki docierały do każdego zakątka mego ciała. Aż wreszcie odkryłem, że nigdy jeszcze nie zaznałem takiej kobiety. Wydała krótki okrzyk, a potem milczała oddychając coraz to szybciej i głośniejsze, aż wreszcie przycisnęła mnie do

siebie z wszystkich sił i wybuchnęła ogłuszającym śmiechem: po raz pierwszy zaznała miłosnego aktu, ale albo już umiała, albo w tej chwili nauczyła się śmiać.

Dalej leżałem na niej, miała ciepłą miękką skórę, na ramieniu czułem dotyk jej długich włosów, mimo ciemności wydawało mi się, że widzę, jak szeroko otwiera te swoje skośne oczy.

Wziąłem jej rękę i wskazującym palcem dotknąłem własnej piersi powtarzając wielokrotnie: „Trzyścitrzy”. Próbowała powtórzyć obce sobie dźwięki, wreszcie udało jej się powiedzieć: „czcz” i „y”. Wtedy dotknąłem palcem jej piersi. Zrozumiała widać, gdyż od razu wypowiedziała jakieś słowo, tak długie, iż początkowo uznałem, że jest to całe zdanie, ale powtórzyła je wielokrotnie tak jak ja przedtem, a nawet dotykając palcem mej piersi wybełkotała coś zbliżonego do mego imienia, a potem dotykając swej piersi powtórzyła to niekończące się słowo. Robiłem, co mogłem, aby je powtórzyć, ale przeszkadzała mi i jego długość, i dziwne dźwięki, jakie się nań składały. Powiodło mi się nie lepiej niż Ziemiance, wydałem z siebie jakiś bełkot, który nie oznaczał nic ani w jej języku, ani w moim, i było to tak śmieszne, że oboje wybuchnęliśmy śmiechem i ten śmiech stał się pierwszym słowem naszego prywatnego języka.

Obudziłem się leżąc na niej tak jak w chwili zaśnięcia. Było mi ciepło, było mi dobrze. Wstałem bezszelestnie i przyjrzałem się mojej śpiącej spokojnie Ziemiance. Obok niej stał pojemnik z wodą. Widocznie obudziła się w nocy i wstała, by go przynieść. Napilem się i poczułem, że kobieta na mnie patrzy. Poczekała, aż skończę pić, i leniwie wyciągnęła rękę, chwyciła mnie za ramię i przewróciła tak, że znów upadłem na nią, a ona zaczęła się o mnie ocierać. W ten sposób chciała pewnie powiedzieć mi zarazem dzień dobry i do widzenia.

Zerwawszy się z leżyska, chwyciła skórę pantery, nóż i oszczep. Dopiero wtedy zwróciła się do mnie w naszym prywatnym języku: wskazała na wyjście, dając do zrozumienia, że odchodzi, ale że ja mam na nią poczekać w jaskini, gdyż niezadługo wróci. Skinąłem głową, zrozumiała mnie, odsunęła głazy i znikła.

Do jaskini zajrzał dzień, ale zatrzymał się w pół drogi. Poszedłem na jego spotkanie minąwszy po drodze płonący nadal jęczyzek ognia, ledwie widoczny nad wydrążonym kamieniem. Z popiołu wygrzebałem ochłap strawy, którą spożywalismy poprzedniego dnia, był zwęglony i nie mogłem go przełknąć. Choć wbrew dotychczasowym przyzwyczajeniom odczuwałem głód — może z powodu tej nocy. Musiałem uzbroić się w cierpliwość. Wyszedłem więc na platformę i

blask słońca uderzył mnie w twarz. Zasłoniłem oczy rękami i wyjrzałem przez palce.

Byłem sam na otaczającej mnie zewsząd pięknej Ziemi. Skąły, światła i cienie okrywała cisza przerywana dochodzącym z oddali szmerem wody. Na próżno szukałem jej wzrokiem. Przyglądałem się krajobrazowi. Nie mogłem odnaleźć punktu, skąd wyruszyliśmy z Ziemią, nie było widać lasu, wszędzie góry i góry, przedzielone wąskimi wąwozami wznosiły się niemal pionowo, migocąc białymi szczytami. I to wtedy pomiędzy dwoma najwyższymi wierzchołkami zobaczyłem na tle nieba profil jakiegoś aparatu.

Niepodobny był do aparatu, którym tu przylecieliśmy. Leciał w moją stronę, zatoczył półkole, a potem zatrzymał się, szybując w miejscu tak jak nasz aparat nad ruinami miast. Zacząłem machać ramionami usiłując zwrócić na siebie uwagę. Nagle aparat zaczął pionowo opadać i zobaczyłem, że jest to wielki biało-czarny ptak.

Rozczarowany wróciłem do jaskini, gdzie znów miałem kłopoty ze wzrokiem, jakiś czas trwało, nim przystosowałem się z powrotem do ciemności. Zacząłem przyglądać się ścianom, szukając innego otworu. Nie, nie było go, ale w jakimś kącie natknąłem się na stos gałęzi przyniesionych tu widać przez kobietę. Wziąłem kilka i położyłem w tym samym miejscu, na którym wczoraj ona rozpałała ogień. Podpaliłem je moją tubką i wpatrzyłem się w igraszki błękitnych i żółtych języków, a potem śledziłem wznoszący się do góry dym. Błękitne chmury, które poprzedniego dnia widniały pod sklepieniem, znikły. Zacząłem się zastanawiać, czy wymknęły się jedynym wyjściem: wszystkiego musiałem się tu od nowa uczyć — ja, który wziąłem ptaka za aparat, a kobietę za pancerz.

Nieobecność kobiety przedłużała się, cienie skurczyły się

i znów wydłużyły, powietrze ochłodziło, a ogień rozjaśniał. Stałem niedaleko otworu nad słuchując kroków i myśląc o niebezpieczeństwach, jakie na nią czyhały. Na próżno powtarzałem sobie, że Ziemianka spędziła wśród nich całe życie, na próżno przypominałem sobie, jak jest silna i zręczna — przecież wystarczyłby jeden nieudany skok i... Mogłaby mnie wołać, a ja i tak bym nie usłyszał, a nawet gdybym usłyszał, nie potrafiłbym jej przyjść z pomocą. Nie przemawiała przeze mnie ani wdzięczność, ani tklivość, zwyczajnie obawiałem się samotności.

Nagle bezszelestnie pojawiła się w otworze. Na plecach dźwigała — tak jak wczoraj mnie — jakieś brunatne, biało nakrapiane zwierzę. Nigdy nie widziałem na teleekranach podobnego zwierzęcia. Na głowie jego widniały dziwacznie skonstruowane rurki, przypominające gałęzie.

Poszedłem za kobietą w głąb jaskini. Zdziwiła się, zobaczywszy rozpalony przeze mnie ogień, od którego rozblęskły szkliscie oczy zabitego zwierza. Rozkładała mu nożem brzuch i zagłębiła aż po łokieć rękę w czarnej krwi. Spojrzała na mnie, poruszając wargami, uczyła się uśmiechać, a mnie ogarnęły mdłości. Oddaliłem się i udałem, że przyglądam się pejzażowi.

Kończył się ziemski dzień. Kobieta podeszła do otworu i podnosząc bez najmniejszego wysiłku głazy ustawiała je jeden na drugim. Zasłoniwszy otwór zbliżyła się do mnie i przygarnęła do siebie. Było ciemno. W kapryśnym odbłasku ognia widziałem zwierzę zawieszona na ścianie głową w dół, a wokół mojej szyi potężne szkarłatne ramię Ziemiarki. Przyniosła mi pokarm, gotowała dla mnie najsmaczniejsze kąski, była zadowolona z siebie i z góry zadowolona ze mnie.

Odróciłem głowę patrząc w głąb jaskini, kobieta musiała pomyśleć, że szukam wzrokiem kopca łądyg, na którym

leżeliśmy poprzedniej nocy, roześmiała się i spiesznie zaczęła podsycać ogień, aby nie opóźnić dwóch oczekujących nas, a najprzyjemniejszych czynności. Byłem zbyt głodny, by odmówić jedzenia, choć krwawy widok przygotowywania posiłku przejął mnie strasznym niesmakiem, a jeśli chodzi o tę drugą czynność, nic nie byłoby mnie w stanie od niej odwieść, i kobieta znów krzyknęła, znów zaczęła dyszeć, a potem zaśmiała się i usiłowała wymówić moje imię, a ja próbowałem wykrztusić choćby cząsteczkę jej imienia.

Nie odczuwając niemal znużenia jeszcze raz oddaliśmy się miłości, wcale nie zdając sobie sprawy, że zaczynamy nabierać przyzwyczajęń. Kobieta wyruszyła co rano po zwierzęta zamieszkujące skały, las i potok, a także po drzewo, rośliny i wodę. A jeśli zdarzały się dnie, kiedy w jaskini znajdowała się dostateczna ilość napoju i karmy, trzymała mnie cały czas w ramionach wstając tylko po to, by przygotować nam coś do zjedzenia.

Jednego nam tylko brakowało: możliwości stawiania pytań i opowiadania o sobie... Każde z nas wymawiało słowa, których drugie nie rozumiało, albo powtarzało słowa, których samo nie rozumiało, i wtedy zaśmiewaliśmy się, tak jak śmieją się dorośli słuchając gaworzenia dziecka. Zaczęliśmy wypracowywać sobie wspólny język posługując się rękami i głową. Ziemianka nauczyła się potakiwać i przeczyć ruchem głowy oraz opierać głowę na rękę zamykając oczy, aby pokazać, że chce jej się spać, wskazanie palcem na kopiec łądyg miało zupełnie inne znaczenie. Ja zrozumiałem, że aby pokazać, iż chce mi się pić, nie mogę podnosić do ust niewidzialnej szklanki, lecz udawać, że chwytam w obie ręce wielki pojemnik i nachylam głowę, aby dotknąć wargami jego brzegu. Taki był początek. Niezadługo gestom zaczęły towarzyszyć okrzyki

i westchnienia, byliśmy na najlepszej drodze do utworzenia własnego języka.

Kobieta mówiła do mnie *Czy*, ja nie umiałem wymówić jej imienia. Nie potrafiłem powtórzyć długich sylab, których usiłowała mnie nauczyć wkładając w to mnóstwo wysiłku, i nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak Ziemiaom przed Wielkim Krachem, kiedy było ich tak wielu, udawało się zapamiętać tyle tak długich imion, skoro tak prosto by było odwołać się do liczb.

Nocą wszystko było łatwe. Przytuleni do siebie gadaliśmy na wrywki i wręcz wydawało mi się, że rozumiem jej bełkot. Kobieta wołała czasem: „*Czy... czy!*” wskazując na skórę pantery, tak jakby moje imię przypominało jej ryk zwierza. I śmiała się: uczyliśmy się żartować.

Po czym zaczęliśmy się uczyć zadawania sobie pytań. Chciałem wiedzieć, czy w innych jaskiniach też mieszkają Ziemiańskie, czy są wszyscy tak wielcy jak ona, i interesowało mnie także, jak jej odlegli przodkowie przeżyli Wielki Krach. Uśmiechała się nic nie rozumiejąc i wpatrywała w moją fiszkę tożsamości. Nie zwracała uwagi na widniejące tam sześć cyfr, za to nie spuszczała oczu z mojej podobizny, jakby uważała, że mam dwie głowy, druga sto razy mniejsza od pierwszej. Potem ona zaczęła mnie wypytywać i ja z kolei nie mogłem odgadnąć, czego chce się o mnie dowiedzieć.

Któregoś dnia, kiedy siedzieliśmy na platformie, wskazałem najpierw na pejzaż, potem na nią, potem na migi pokazałem, jak była mała, większa, coraz większa. Skinęła potakująco głową i zrozumiałem, że całe życie spędziła w górach. Zaciśniętą pięść podnosząc kciuk. Dotknęła swoich piersi, pokazała na kogoś ledwie odrastającego od ziemi i wyciągnęła przed siebie dłoń z rozczapierzonymi palcami, chcąc mi uzmysłowić, że gdy była mała, mieszkała w otoczeniu innych osób.

Wiele godzin, a nawet dni upłynęło, nim udało mi się wyjaśnić, że było ich w sumie pięcioro, że byli to jej rodzice, ona i jej brat, ale nigdy nie uzyskałem informacji, kim była piąta osoba. Ale wystarczyło mi wskazać na jaskinię i na własne pięć palców, aby dowiedzieć się, że jej rodzina tu nie mieszkała. Ziemianka wskazała mi odległy punkt na horyzoncie, gdzie spędziła dzieciństwo w gronie swych bliskich; w jaskini, w której obecnie mieszkaliśmy razem, była już zawsze sama.

Jeszcze raz próbowałem się dowiedzieć, czy pamięta z dzieciństwa jakichś sąsiadów. Nie zrozumiałem odpowiedzi. Wypytywałem ją o mieszkające na drzewach małe istoty, których było tak wiele: prawdopodobnie Wielki Krach oszczędził ich naród, degenerując go tylko, natomiast większość jej przodków musiała wyginać, widać mutanci-olbrzymi zostali częściowo pozbawieni potencji. Niewiele zrozumiałem z jej odpowiedzi, a właściwie tylko tyle, że choć znała maleńkich mieszkańców lasu, nie nawiązała z nimi żadnego kontaktu, widać tak jak i ja mówili nieznanym jej językiem.

Zrobiła za to, co mogła, aby wyjaśnić mi, co stało się z jej rodziną i czemu schroniła się do tej pieczary. Nastąpiło to na skutek jakiejś strasznej katastrofy, ale trudno było mi zrozumieć, jaki miała ona charakter. Jęk, krzyk, gwałtowny strach i ucieczka mogły być spowodowane zarówno napaścią ludzi czy zwierząt, co jakąś klęską żywiołową. Jedno tylko było jasne: nie ocalał nikt prócz niej.

Niewiele miała mi do opowiedzenia o swoim samotnym życiu. Kiedy ją zapytałem na migi, czy zawsze mieszkała sama, skinęła głową, wskazała na leżysko z łądyg w głębi jaskini i ze śmiechem wyszła po wodę.

Potok musiał widać płynąć gdzieś nad naszymi głowami,

bowiem zamiast schodzić w stronę lasu, skąd przynosiła zwierzynę, wdrapywała się w górę. Raz chciałem jej towarzyszyć. Wyjaśniła mi paroma gestami, że w obie strony musiałaby mnie nieść. Oczekiwałem jej zatem na naszej platformie i tak wpatrując się w ten punkt na horyzoncie, gdzie mieszkała jako dziecko, i wyobrażając sobie jej życie, znalazłem dla niej imię doliczając do pięciu członków jej rodziny ją jedną pozostałą przy życiu: pięć i jedna. Kiedy wróciła, zawołałem, wskazując na nią palcem: „Pięsiątpierwsza!” Usiłowała powtórzyć, ale udało jej się tylko wymówić: „Sza”, i tak już zostało, tak ją zacząłem nazywać.

Nie spuszczała ze mnie oczu i za każdym razem, kiedy myślała, że nie uważam, wpatrywała się w moją podobiznę na fiszce tożsamości okazując i ciekawość, i lęk. Nigdy nie ośmieliła się jej dotknąć ani o niej mówić. Choć oboje mówiliśmy coraz to więcej, powtarzając nieudolnie nieznanne nam słowa drugiej strony. Udało mi się jej spytać, co to za słowo słyszałem w lesie, to słowo, które brzmiało jak wezwanie i szło za mną przez całą noc. Tak, znała ten okrzyk i tak dobrze udało jej się go powtórzyć przykładając do ust złożone ręce, że pomyślałem, iż to jednak ona dostrzegła mnie wówczas i szła za mną potajemnie. Zaprzeczyła ruchem głowy. Spytałem, czy w lesie mieszka jakaś inna kobieta, znów zaprzeczyła, zacząłem nalegać, uśmiechnęła się — umiała już uśmiechać się — i zaczęła machać ramionami, co w naszym języku oznaczało ptaka. Nie chciałem wierzyć. Sza zamieniła się w drzewo, na gałęzi przycupnął ptak, parę razy, w regularnych odstępach czasu wydał swój okrzyk i odleciał.

Musiałem więc wyzbyć się wątpliwości i z kolei zapragnąłem się dowiedzieć, czyj to głos, który uznałem początkowo za głos Dwaściadwa, odpowiadał na moje nawoływania. Zacząłem więc ów głos naśladować wskazując palcem to na

prawo, to na lewo. Sza wyciągnęła rękę w stronę gór. Myśla-
łem, że chodzi jej o ptaki. Zaprzeczyła. Więc jakieś zwierzę?
Też nie. Jakieś ludzkie istoty? Nie, tego pytania nie ośmieli-
łem się nawet zadać, do dziś dnia zatem nie wiem, kto odpo-
wiedział na moje pierwsze nawoływania na Ziemi, tak jak nie
wiem tylu innych rzeczy.

N_a czworakach, pochyliwszy głowę, Sza dmuchała i dmuchała, ale ogień nie chciał się rozpaść. Błękitne kuleczki pojawiały się na gałązkach i natychmiast rozplywały w powietrzu. Ziemianka dmuchała tak długo, jak długo starczyło jej tchu, po czym znieruchomiawszy czekała na pojawienie się żółtych płomyków i zaczynała od nowa, widząc jedynie lekki dym. Zobaczyłem, że zmęczyła się, wyjąłem więc moją tubkę i nacisnąłem na wyzłobienie.

Rozzarzony do białości promień wydostał się z mojej pięści i ogarnął żarem drzewo. Sza zadrżała. Odwróciła się i wpatrzyła w moją dłoń nie ośmielając się jej dotknąć: z szacunkiem i obawą szukała źródła ognia i nie mogła go odkryć. Pokazałem jej tubkę. Nawet na nią nie spojrzała. Zacisnąłem pięść i znów pojawił się płomień. Sza cofnęła się jednym sussem i zawołała coś, zapominając, że nie rozumiem jej języka. Zawołała innym niż dotychczas tonem. Pełna szacunku i podziwu, oddawała hołd posiadaczowi ognia.

Podążyła mi karmę, nie ośmielając się zacząć jeść, póki jej do tego nie upoważniłem zapraszającym gestem, a kiedy skierowałem się w stronę naszego leżyska, szła za mną, zachowując pewną odległość, i nie kładła się, póki jej do tego nie upoważniłem, po czym leżała nieruchomo i ulegle, pokornie podporządkowując się mężczyźnie, którego dłoń zawierała w sobie

największy skarb.

Panował półmrok i ilekroć spojrziałem na Sza, wahała się, nim ośmieliła się uśmiechnąć. Zasnąłem i ogarnęły mnie sny: w ciągu jednej nocy ziemskiej śni się człowiekowi więcej niż na Księżycu przez całe długie życie. Kiedy obudziłem się, byłem sam. Obok mnie stał pojemnik pełen świeżej wody, przez otwór wpadało do jaskini światło dnia, palił się ogień. Obok ognia wisiało półciartowane zwierzę.

Sza zniknęła. Wyszedłem: nie było jej na platformie. Zawolałem i nie otrzymałem odpowiedzi. Nie wiedziałem, co się stało. Dotychczas, kiedy w jaskini nie brakowało zapasów, Sza nie ruszała się z leżyska i ledwie kończyliśmy posiłek, ciągnęła mnie na posłanie. Od wczoraj nasze stosunki uległy zmianie, ale jeśli nie miała odwagi narzucać mi swojej obecności, czemu ośmieliła się jej mnie pozbawić!

Usiadłem. Po niebie toczyły się czarne chmury o kształtach nieregularnych walców i pochyłych stożków okrywając gęsty cieniem; nigdy jeszcze nie widziałem tylu chmur. Przyjrzałem się swemu odbiciu w wodzie pojemnika. Miałem już gęstą brodę i zacząłem sobie wyobrażać, co powiedzieliby na mój widok ludzie na ruchomej jezdni. Wybuchnęliby śmiechem czy przestraszyli się i wezwali białe fartuchy?

Od dawna już nie myślałem o możliwości, a raczej niemożliwości powrotu. Przecież nie potrafiłbym samodzielnie dojść nawet do lasu, mój najdłuższy spacer polegał na przejściu z głębi jaskini na występ skalny i tylko moje oczy mogły sobie podróżować po górach. Żyłem w zamkniętym światku i zacząłem się doń przyzwyczajać.

Dzień mijał powoli. Sza nie wracała. Na samotnym wierzchołku stało nieruchomo jakieś zwierzę z główką przyzdo-bioną dwiema dziwacznymi spiralami. Wykonało skok i

wylądowało na tak maleńkiej spiczastej powierzchni, że wszystkie cztery nóżki stanęły niemal w tym samym punkcie, zaraz znów poderwało się, ześliznęło po urwistym zboczu i zniknęło między dwoma szczytami. Pomyślałem, że może ucieka, że może ściga je z oszczepem w dłoni Sza, równie lekka i zwinna jak ono. Zapadał wieczór. Nigdy jeszcze nieobecność Ziemiarki nie trwała tak długo.

Przypomniał mi się telekomunikator, który zginął wraz z resztą ekwipunku, i pomyślałem sobie, że gdybym go miał, mógłbym wezwać kobietę w naszym prywatnym języku, choć z drugiej strony, skoro ona nie miała aparatu, mój głos i obraz przeskakiwałyby tylko, ze skały na skałę jak ów zakończony spiralami zwierz i nikt by ich nie zobaczył. Ciężyla mi cisza. Krzyknąłem, aby podtrzymać się na duchu, i nagle przyszło mi na myśl, że od czasów dzieciństwa aż do mego przybycia Sza nie rozmawiała z nikim, jeżeli nie liczyć ptaków. Krzyknąłem jeszcze głośniejszym głosem, że słyszę odpowiedź.

Dobiegła mnie z bardzo daleka, ledwie dosłyszalna, urywana. Zatrzymałem oddech, by nie uronić żadnego dźwięku. Nie był to głos ludzki. Ale nagle spotęźniał, czy też przybliżył się, pomyślałem, że jest to pewnie głos ptaka, może tego biało-czarnego ptaka, który wziąłem za aparat lotniczy, ale głos coraz to potężniał, coraz bardziej zmieniał się w świst. Ogarnął mnie z wszystkich stron i omal nie porwał. Udało mi się schronić do jaskini. Z zewnątrz dobiegał już nie świst, lecz ryk. Pobieglem w głąb jaskini, gdzie nie odczuwało się już drgania powietrza. Czekałem.

Nagle nastąpiła cisza. Zbliżyłem się do wyjścia. Zapadła noc. Noc milczała i zasłaniała otwór. Nadstawiłem ucha mając nadzieję, że usłyszę, jak nadchodzi Sza.

Otwór był czarny, nagle czerń przeciął na pół jakiś błysk. Zrobiłem krok naprzód i wszystko zatrzęsło się od jakiegoś wybuchu. Zatrzymałem się i zobaczyłem, jak nad horyzontem zapala się znów jakaś krzywa linia, a potem usłyszałem następny wybuch, jeszcze potężniejszy od pierwszego. Wyszedłem w ciemność i na głowę spadła mi fala wody z nieba.

Nie śmiałem się poruszyć. Na niebie szalały strugi ognia, wydobywając z ciemności góry, które po sekundzie nikły, aby znów się pojawić, a huk rozlegały się coraz to częściej i gwałtowniej.

Wszędzie dookoła spadały na ziemię świetlne kule; byłem jedynym samotnym świadkiem katastrofy, która po raz drugi nawiedziła Ziemię. Te wybuchy musiały być kontynuacją wybuchów, które położyły kres życiu Ziemian i stanowiły początek naszej ery. Stałem bez ruchu jak kamień na tych kamiennych czterech metrach kwadratowych i nawet nie przyszło mi na myśl zastanawiać się nad powodami katastrofy. Na co by się zdało wiedzieć, czy na Ziemi istnieją inni ludzie poza mną i Sza, a nawet czy istnieje jeszcze Sza, skoro pozostało mi najwyżej parę minut życia, mnie — świadkowi i ofierze spontanicznego wybuchu bomb nuklearnych, które pozostały po Ziemianach, a może tylko ostatniemu gościowi, który odwiedził opustoszałą Ziemię służącą za poligon mieszkańcom jakichś innych planet? Skostniały i zrezygnowany, przy każdym wybuchu oczekiwałem śmierci. I w tej chwili w ciemnościach pojawiła się biała pantera i jednym skokiem znalazła się na mojej platformie.

Poczułem dotyk sierści. Z mroków doleciał mnie głos Sza, ale natychmiast zagłuszyły go huk detonacji. Chyba majaczyłem. Wymówiła moje imię: „Czy!” — tak jak to je ona wymawiała, że brzmiało niczym ryk. Zrozumiałem: panterą była Sza. Uciekłem do jaskini. Pobiegła za mną. Potrójny błysk

przeszył noc i rozświetlił wnętrze naszej jaskini. Sza usiłowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

Była naga i od stóp do głów ociekała wodą. Przerażonym gestem wskazała na płonące niebo, a potem na moją dłoń, nadal bojąc się jej dotknąć. Nie spuszczała ze mnie oczu oczekując odpowiedzi na pytanie, którego nie śmiała zadać. Na ziemi leżały dwie skóry pantery, jedna jej, żółta, oraz druga, większa i biała. Istniała taka przepaść między trwożnym szacunkiem malującym się na twarzy kobiety i nieruchomym wzrokiem śnieżnej pantery, że przestałem być czegokolwiek pewny: pomyślałem o panice, jaka wczoraj ogarnęła Sza, o jej porannej ucieczce. Może jednak pomyliłem się, gdy przed chwilą widząc panterę uznałem, że jest to Sza: Sza i pantera w jednej osobie. Tak, było to nieprawdopodobne, ale jednak możliwe, zważywszy na mutacje, jakie zaszły na Ziemi po Wielkim Krachu, dowodziła tego przecież obecność małych mieszkańców lasu. Długo wahałem się, nim zacząłem wypytywać Sza. Z pokorą milczała. Wskazałem palcem na leżące u jej stóp zwierzę, potem na nią. Uśmiechnęła się, skinęła głową i z kolei wskazała na mnie.

Co chciała mi dać do zrozumienia? Że powinienem się jej obawiać? Że jestem wobec niej bezbronny? Starła mi się coś wyjaśnić, pokazując to na mnie, to na ogień. Dotknęła mojej ręki i wykonała ruch w stronę płonących gałęzi, potem ruszyła w stronę wyjścia, prosząc, bym za nią poszedł. Niebo przeciął błysk i Sza wskazała go palcem, potem dotknęła nim mojej dłoni.

Nie pytała mnie, czy okradłem niebo z ognia, po to by zachować go w garści, była o tym przekonana. Nie czekając na odpowiedź wróciła do jaskini. Wzięła skórę białej pantery i złożyła mi ją u stóp.

Chciałem się po nią schylić, ale Sza dała mi do zrozumienia,

że powinienem zdjąć przedtem mój kombinezon. Zacząłem go zdejmować, a ona, nagle gadatliwa, tłumaczyła mi gestykulując, że musiała wyjść wcześniej i długo nie mogła wrócić, bo nie ma nic trudniejszego niż wypatrzeć panterę i ją zabić. Teraz oboje byliśmy nadzy i drżeliśmy z zimna. Z jej włosów nadal spływała woda niebios. Nagle wszyscy troje, Sza, śnieżna pantera i ja, bez słowa znaleźliśmy się na ziemi. Ze skóry wydobywał się silny odór. Trudno mi dziś wręcz uwierzyć, że coś takiego mogło istnieć: ten mężczyzna w akcie miłosnym z kobietą-panterą — i ta kobieta w ramionach Prometeusza.

Kiedy obudziłem się, Sza już nie było, ale usłyszałem, że z platformy dobiega jakiś regularny stukot. To Sza przykucnąwszy waliła kamieniem raz koło razu w skórę pantery. Pewnie już od dawna siedziała nad tą robotą, bo na jednostajnie błękitnym niebie ziemskim widniała nad górami Słońce. Spojrzałem na krajobraz. Przypomniał mi się przeżyty wczoraj Wielki Krach — zapomniałem o nim nocą pod wpływem strachu i rozkoszy. Kolejno przyglądałem się szczytom i zboczom, każdej sterczącej samotnie skale: wyglądały tak samo jak przedtem, rzucały takie same cienie. Szukałem wzrokiem nowych szczelin, przepaści, ale ich nie dojrzałem. Nic nie uległo zmianie. Najpierw pomyślałem sobie, że widać skały są odporniejsze niż miasta. Potem, że wybuchy nie miały tej mocy co wybuchy w dniu początku naszej ery.

Chętnie wypytałbym Sza. Ale to nie było łatwe, szczególnie teraz, kiedy uważała mnie za członka rodziny panów ognia, za kogoś, kto wie wszystko lepiej od niej. Więc zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, z zapalem oddawała się robocie. A potem z oznakami najwyższego szacunku wręczyła mi skórę białej pantery wraz z łbem, łapami i ogonem. Pomogła mi ją nałożyć, patrząc mi pokornie w oczy.

Nie mogłem się zobaczyć i zastanawiałem się, czy wyglądam tak jak to zwierzę, które nocą pojawiło się w lesie

zwabione ogniem. Może właśnie to zwierzę odnalazła Sza, może było to jedyne takie zwierzę na Ziemi? Wskazałem palcem na okrywającą mi ramiona skórę, a potem na widniejące niżej skały. Sza pokręciła przecząco głową i spojrzała na białe szczyty. A więc to tam mieszkała pantera. Chciałem wiedzieć dokładnie, gdzie, i pokazałem na konkretną górę. Sza zaprzeczyła i podniosła rękę ku niebu.

Coraz trudniej było mi zrozumieć, co oznaczają ruchy jej masywnych ramion. Pantera ukrywa się wśród liści, Sza wdrapuje się na drzewo, pantera znika w niebie. Sza wspina się na wierzchołek drzewa, pantera chowa się za słońce. Sza rzuca oszczepem, pantera spada na ziemię i Sza ofiarowuje władcy ognia jej skórę.

Potem Sza znikła w jaskini i zaraz znów z niej wyszła. Wyraz twarzy kobiety wskazywał na to, że chce mi wręczyć następny dar. W rękach trzymała kawał mięsa, rzadko zdarzało nam się jeść coś innego. Bardzo dokładnie pamiętam ten dzień i z powodu poprzedzającej go nocy, a jeszcze bardziej z powodu tego, co miało nastąpić; Ziemianka, która przyniosła mnie tutaj, abym zaspokajał jej żądze, oczekiwała obecnie moich rozkazów, więcej, wpatrywała się we mnie, by odgadnąć, czego mogę pragnąć. Łaskawie zgodziłem się spożyć pokarm w jej obecności, zasnąć w jej ramionach na słońcu, a nawet uśmiechać się do niej w chwili przebudzenia.

Sza najpierw wskazała na mnie, a potem na dwie widniejące przed nami góry: chciała wiedzieć, czy to pomiędzy tymi górami przeszedłem idąc do lasu, w którym mnie znalazła. Zaprzeczyłem. Wskazała na sąsiednią górę, znów pokręciłem głową, a ona pytała dalej, po kolei wskazując na każdy szczyt.

Leżąc z ręką na jej brzuchu spojrzałem w niebo. Nadal było czyste. Na próżno szukałem kłębowiska szarych stożków i walców, które wczoraj zapowiedziały katastrofę: zobaczyłem

tylko maleńkie, wydrążone półkole, białe, niemal przezroczy-
ste.

Odwróciłem głowę, ale zaraz znów zacząłem się mu przy-
glądać: nigdy dotąd tego nie dostrzegłem. Nagle zadrżałem.
Oto w biały dzień zobaczyłem na ziemskim niebie mój Księ-
życ.

Wydawało mi się, że lepiej mu się przyjrzę stojąc. Zerwa-
łem się, ale wciąż był tak maleńki i przezroczysty, że przez
chwilę skłonny byłem uważać, iż jest to jakiś tam Księżyc
dzienny, a nie nasz, który ukazuje się tylko nocą.

Sza też wstała i patrzyła na mnie, nie śmiać o nic pytać.
Nie mogłem milczeć, musiałem się z nią podzielić tym, co
przeżywałem. Najpierw wskazałem na siebie, potem na Księ-
życ, a potem zrobiłem gest w stronę Ziemi.

Po raz pierwszy zobaczyłem, że Sza zbladła. Nie wiem, co
sobie wyobraziła: pewnie że nareszcie odpowiadam na jej
pytanie. Dla niej byłem władcą ognia. Dotychczas płomienie
spadały tylko z nieba. Dzięki mnie wszystko się zmieniło. Czy
przypuszczała, że ogień rośnie na Księżycu, a ja zerwałem go
gołymi rękami? Nie potrafiła mi tego powiedzieć, a ja nie
potrafiłem jej spytać. A może przypuszczała, że zapowiadam
następną katastrofę? Zrobiłem, co mogłem, by ją natchnąć
otuchą, uśmiechając się i gładząc ją po biodrach. Nie odpo-
wiedziała mi uśmiechem, miotła ją jakaś rozterka.

Kiedy zaczął zapadać mrok, wróciliśmy do jaskini. Popęł-
niłem błąd i w momencie, gdy Sza odwróciła się do mnie ty-
łem, zapaliłem tubką ogień. Przyodziani w skóry panter zje-
dliśmy resztki mięsa, które pozostały z przyniesionego przez
nią przedwczoraj zwierzęcia. Mówiąc przedwczoraj, mam na
myśli przedwczoraj ziemskie, czy coś, co działo się przed za-
ledwie czterdziestu ośmiu godzinami. Sza siedziała wpatrując

się w taniec płomieni. Zauważyłem, że nie zatarasowała wejścia do jaskini. Nagle wyjrzała i poprosiła mnie, abym poszedł w jej ślady. Nad górami pojawił się nocny Księżyc, bliźniak Księżycyca dnia.

Sza spojrzała nań, a potem wykonała ten sam gest co ja przedtem: ja, Księżyc, Ziemia. Przypuszczałem, że wierzy — tak jak przez chwilę wierzyłem i ja — w istnienie dwóch Księżyców, dziennego i nocnego, i pragnie się dowiedzieć, czy mój gest odnosił się także i do tego.

Zbyt trudno byłoby mi jej wytłumaczyć, że myli się; skinałem głową. Tymczasem to ja się pomyliłem. Twarz Sza przybrała wyraz równie nieprzenikniony co w dzień naszego spotkania. Poczekala, aż wrócę do jaskini, poszła za mną i zatkała głazami otwór. Na leżysku zachowywała się cicho i ulegle. Zasnąłem pierwszy i nie wiem, czy tej nocy udało się jej w ogóle usnąć.

Kiedy obudziłem się, przypuszczałem przez chwilę, że nie wstał jeszcze dzień. W jaskini było ciemno, tylko w wydrążonym kamieniu migotało słabe światełko, nie słychać było kroków. Pomyślałem, że musiałem — może przez sen — przerazić czymś Sza i uciekła ode mnie, aby ukryć się w jakimś kącie. Zawołałem ją. Nie odpowiedziała, nie pokazała się. Wstałem i zacząłem jej szukać. Na próżno myszkowałem po wszystkich kątach, nigdzie nie znalazłem ani jej, ani noża i oszczepu, które zwykle wracając z polowania kładła koło ognia. Postanowiłem wyjść na dwór. Ale podszedłszy do wyjścia stwierdziłem, że jest zawałone głazami.

Sza musiała je ułożyć z zewnątrz, było ich więcej niż zwykle, do środka nie przedostawał się najmniejszy promyk światła. Wreszcie udało mi się odszukać mikroskopijną szparkę. Myliłem się, sądząc, że nie skończyła się jeszcze noc, na dworze dawno nastał już dzień.

Na wszelki wypadek obszedłem dookoła jaskinię. Sza wyszła

zostawiając mi zapas świeżej wody i ostatni kawałek mięsa, zatem wybrała się na polowanie. Jasne. Ale czemu zamknęła otwór? Nigdy dotąd tego nie robiła: głązy służyły nam tylko za ochronę przed nocnym chłodem. Łamałem sobie głowę, nie mogąc się domyślić pobudek, jakie nią kierowały. Oczywiście, niewykluczone, że pojawiło się jakieś nowe niebezpieczeństwo. Ale jakie? Czyżby zwierzęta, wobec których byłbym bezbronny? W nieobecności Sza czułem się mały i słaby. Tak, ale według niej byłem uzbrojony lepiej od wszystkich Ziemi, ja, który zstąpiłem prosto z niebios z ogniem w rękę. Skóra białej pantery, którą narzuciła mi na ramiona, nie miała mi służyć do ochrony ciała, miała samą swoją obecnością świadczyć, że mnie nie jest potrzebna żadna ochrona. Niemniej Sza zamknęła wejście do jaskini.

Dalej zastanawiałem się, rozważałem opowieść Sza o tym, jak pantera śniegów spadła na Ziemię i rozmyślałem o Wielkim Krachu, o tym drugim Wielkim Krachu, którego byłem świadkiem. Wyszliśmy z niego żywi, i — tak jak poprzedni — oszczędził nasze góry. Ale co wiedziałem o poprzednim? Od chwili Drugiego Krachu upłynęły zaledwie dwa dni ziemskie, może konsekwencje przyjdą później? Wyobrażałem sobie pokruszone skały i góry, z których pozostały tylko szczątki, podobne zrujnowanym miastom. Nasza jaskinia cudem uniknęła zniszczenia, ale trudno było się z niej wydostać. Sza wyszła jednak, by poszukać czegoś do zjedzenia, zamykając mnie przedtem. Widziałem w wyobraźni, jak błąka się wśród nieznanego krajobrazu, wśród przepaści i pokruszonych skał, mając nadzieję, że odszuka las, który przecież spłonął, i potok, który prawdopodobnie wyparował. Pozostało mi tylko czekać.

Cały dzień przesiedziałem tuż koło zasypanego otworu, wpatrując się w jedyny promyk, któremu udało się prześliznąć

między głazami, nie tracąc nadziei, że usłyszę jej głos, jej kroki. Należałoby raczej pogodzić się z tym, że ona już nie wróci, a ja nie opuszczę jaskini. Zapadła noc, nie ruszałem się z miejsca, nadal słyszałem tylko ciszę. Poszedłem po drzewo, ułożyłem gałęzie tam, gdzie Sza rozniecała zawsze ogień, miałem zamiar je podpalić, w ostatniej chwili zaniechałem tego. Siedziałem wpatrując się w migocący w kamieniu ogienek, który nie oświetlał niczego prócz samego siebie i skrawka cienia.

Nie wiem, czy zasnąłem naprawdę, ale wydało mi się, że budzę się zobaczywszy koło siebie postać kobiety. Miała na sobie skórę pantery, uzbrojona była w oszczep i nóż, z jej pleców zwisało jakieś zwierzę. Sza zamknęła już za sobą wąskie przejście i podeszła do mnie patrząc pytającym wzrokiem.

Chciałem się z nią podzielić moim niepokojem, rozpaczą, radością, że ją widzę, poddała się ulegle memu uściskowi. Kiedy dziś wyobrażam sobie, jak wyglądaliśmy przytuleni do siebie, oddzieleni tylko łapami panter, chce mi się śmiać i ogarniają mnie lekkie mdłości.

Po chwili wskazałem na zatarasowane wejście. Nic nie odpowiedziała. Gestykując wyjaśniłem jej, że wyobrażam sobie, iż świat na zewnątrz uległ zniszczeniu. Nie zrozumiała mnie. Najedliśmy się, poszliśmy w głąb jaskini i zasnąłem leżąc na jej brzuchu i piersiach.

Upolowane przez Sza zwierzę wystarczyło nam na trzy dni. Kiedy czwartego obudziłem się, Sza już nie było, a wejście znów zostało zatarasowane. Znów zaczęło się oczekiwanie, na wpół niespokojne, a na wpół gniewne. Tym razem Sza wróciła wcześniej, odsunęła tylko kilka głazów, tak żeby się dostać do jaskini, i zaraz znów je ułożyła. Zachowywała się dalej ulegle, ale nie chciała mi odpowiedzieć na pytanie, czy las spłonął,

czy skały rozpadły się, bardzo uważała, aby nie zdradzić się wyrazem twarzy lub jakimś mimowolnym ruchem.

Udałem, że zasypiam, i przyglądałem się jej spod oka. Słyszałem jej oddech, zbyt powolny, zbyt regularny: chciała mi wmówić, że śpi, choć naprawdę czuwała. Pewnie od czasu do czasu jedno z nas zapadało w krótki sen, ale nie tracąc czujności. Ciemności nie pozwalały mi zorientować się, która to może być godzina. Odbyłem we śnie krótką podróż i powróciłem na Ziemię, czując, że Sza wstaje.

Nie było jej widać. Usłyszałem tylko stukot pojemnika z wodą, który ustawiła koło leżyska. Zwróciłem się w stronę wyjścia i czekałem. Wreszcie dostrzegłem ślad światła, czyli Sza zaczęła odsuwać głązy. Zdejmowała je widocznie kolejno, jeden po drugim, i układała obok, starając się zachowywać bezszelestnie. Podeszedłem: trzymała w ramionach wielki kamień. Okazała zakłopotanie. Na migi spytałem, czy wyrusza na poszukiwanie żywności. Skinęła głową. Oznajmiłem, że chcę jej towarzyszyć. Gwałtownie zaoponowała. Nalegałem. Odłożyła kamień na miejsce. Zacząłem nerwowo gestykulować zadając jej setki pytań. Za wszelką cenę chciałem się dowiedzieć, co się dzieje na zewnątrz, czemu nie pozwala mi wyjść. Prosiłem, aby umożliwiła mi zobaczenie gór na własne oczy. Przyglądała się moim gestom nie odpowiadając i starannie układała z powrotem głązy, widać z dvojga złego wolała, abyśmy tego dnia nie jedli.

Wówczas zrozumiałem, że moje przypuszczenia były słuszne: okolica została zdewastowana i Sza pragnęła, abym pozostał w bezpiecznym miejscu. Podniósłszy do góry palec nakreśliłem na wyimaginowanym niebie zygzaki rakiet i otwierając obie pięści naraz naśladowałem wybuchy kul. Sza stała z kamienną twarzą, nie odpowiadając mi. Nie ośmielała się mnie dotknąć, była gotowa wszystko mi oddać, mogłem z

nią robić, co zechcę, ale równocześnie miała się cały czas na baczności. Na próżno obiecywałem jej, że nigdy się nigdzie nie oddalę, okazywała wdzięczność, ale w dalszym ciągu śledziła każdy mój ruch, nie spuszczać ze mnie tych swoich skośnych oczu pantery.

Obecnie wstawała i wychodziła w środku nocy, korzystając z mego snu, i wracała, nim się jeszcze obudziłem; kiedy wstawałem, koło ognia leżały nowe zapasy mięsa z lasu lub rzeki. Ale gdzie rósł ten las, gdzie płynęła woda? Znany mi las i strumień przestały istnieć, o tym byłem przekonany, tak samo jak wierzyłem we wszystkie swoje sprzeczne z sobą domysły, powodując się w tym zarówno własnymi lękami, co lękami Sza. Pozbawiony psychośrodków, ociążały od naturalnych pokarmów, zamieniałem się powoli w Ziemiańszaka.

Którejś nocy zatrzymałem zmierzającą ku wyjściu Sza, aby jej na migi wytłumaczyć, że odtąd nie będę się sprzeciwiał, aby wychodziła i zamykała mnie w pieczarze, ale pod jednym warunkiem: choć raz, choćby na krótko i w jej obecności muszę wyjść z jaskini. Gdyby się nie zgodziła, uważałbym to za dowód, że mam rację i że coś przede mną ukrywa. Sza nie odpowiedziała i pozwoliłem jej odejść.

Wróciła w środku dnia, obładowana żywnością. Pomogłem jej wszystko ułożyć i nie zadawałem pytań. Ona też się nie odzywała. Chciałem rozpalić ogień, pokręciła przecząco głową, podeszła do wyjścia i zaczęła odsuwać głazy nie spuszczać ze mnie oczu. Wezwała mnie gestem, zbliżyłem się, a ona wzięła mnie za tę rękę, w której, jak uważała, przechowuję ogień. Zrozumiałem, że ma zamiar wyprowadzić mnie na platformę. Wyszliśmy.

Na środku platformy Sza ułożyła kamienie tak, że tworzyły pusty w środku, prostopadły walec. Chwyciła mnie za ramiona, podniosła bez wysiłku i wsadziła do walca. Stałem jak w kojcu. Odłamki skały sięgały mi aż po brodę i uniemożliwiały poruszanie, tylko głową mogłem wykonać niepełny zresztą półobrót. Pomyślałem, że chodzi jej o moje bezpieczeństwo, pomyślałem o katastrofie, z której wyszedłem cało, i rozejrzałem się.

Na błękitnym niebie świeciło słońce. Tuż nade mną wznosił

się biały szczyt najwyższej góry. Obie jej towarzyski stały sobie nieruchomo. Nie zmienił się żaden szczegół. Zbocza opadały pod tym samym kątem, urwiste skały nie zmieniły swego położenia, krzywe wąwozów i przepaści nie drgnęły nawet o milimetr. Odnalazłem ten sam, znany mi krajobraz. Zatem pomyliłem się, dostrzeżone przeze mnie rakiety atomowe jeszcze raz oszczędziły ten teren, tak jak podczas prehistorycznego Wielkiego Krachu, dalej więc nie rozumiałem, czemu Sza nie pozwala mi opuścić jaskini.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Chciałem wskazać jej gestem nietkniętą panoramę gór i uświadomiłem sobie, że nie mogę wykonać żadnego ruchu, moje ręce przylegały ciasno do boków, nie mogłem ich podnieść.

Wypowiedziałem parę słów, które do Sza, rzecz prosta, nie dotarły, spróbowałem porozumieć się z nią ruchami głowy i nagle zaczęła mówić tak prędko, tak gorączkowo, że nawet gdybym znał jej język, nie byłbym w stanie się połapać, co chce powiedzieć. Potem, nie przestając mówić, wskazała palcem na mnie, a następnie na niebo, rysując w powietrzu kontur Księżyca. I pokazała, jak wychodząc z jaskini, wzbijam się do góry na Księżyc z równą łatwością, jak z niego zstąpiłem.

A o tym była przekonana, udowodniłem jej to przynosząc z Księżyca ogień. Mówiła dalej, a choć nie rozumiałem słów, ich znaczenie docierało do mnie poprzez ton, jakim je wymawiała. Sza drżała na samą myśl, że gdy wróci z polowania, nie zastanie mnie już, że skorzystam z jej nieobecności, aby ją porzucić, przecież nawet gdy znajdowała się u mego boku, czuła, że pociąga mnie Księżyc — Księżyc dnia i Księżyc nocy, wiedziała, jak chciwie się weń wpatruje. Gdybyśmy mogli rozmawiać, gdybym mógł, wytłumaczyć jej, że Księżyc jest planetą, na której się urodziłem — ona i tak nie uwierzyłaby mi, przekonana, że opowiadam bajki. W jej oczach dwa

Księżyce były tym, co Ziemianie nazywali bóstwami, co gorsze, nie była pewna, czy nie są to boginie. Do rozpacz, że zostanie sama, dołączyła się zazdrość. Krzychała wskazując na niebo, w którym według niej mieszkał Księżyc, i wygrażała mu oszczepem; nareszcie mogła się przede mną wypowiedzieć, byłem bezsilny, udało jej się unieruchomić moją miotającą ogień rękę. Teraz zrozumiałem wszystko. Oto stałem się zarazem jej panem i niewolnikiem. Nie potrafiąc nic jej wytłumaczyć, nic nie mogąc zrobić, patrzyłem, jak się szaleńczo miota, piękna i zwycięska.

Moja kamienna klatka zaczynała mnie parzyć. Otworzyłem usta, by pokazać, że chcę pić. Sza pobiegła do jaskini. Przyniosła wody, napiła mnie. Zapytała, czy nie jestem głodny. Była moją niewolnicą, była gotowa zrobić dla mnie wszystko pod jednym jedynym warunkiem, że nie będzie to kryło w sobie ryzyka tego, że mnie utraci.

Sądzę, że nie było to uczucie zwane przez Ziemian miłością, my, Księżycanie, wiemy, że przywiązywali oni do tej miłości duże znaczenie, którego sens nam umyka. Skąd Sza, wzrastając sama, mogłaby się dowiedzieć, co to jest miłość? Jeśli odczuwała potrzebę mojej obecności, to nie dlatego, by była jej ona w czymś pomocna, zresztą Sza była całkowicie samowystarczalna. Oczywiście byłem jej potrzebny do spełniania tego, co nazywamy miłosnym aktem. Nawet po trzykrotnym zaspokojeniu zachowywała się równie czule co przedtem. Niemniej zaczęliśmy się już do siebie przyzwyczajać i momentom rozkoszy nie towarzyszyło już zaskoczenie i olśnienie. Szczęściem dla niej było chyba coś innego: wybawiłem ją od samotności.

Cały dzień pozostawała u mego boku, karmiąc mnie, uśmiechając się, gadając coś w swoim języku lub tylko na mnie patrząc, a ja czułem, że uginają się pode mną nogi i

upadłbym, gdyby w pozycji stojącej nie podtrzymywał mnie kamienny mur, sięgający aż po podbródek. Najpierw dusiłem się z gorąca, teraz przenikał mnie chłód. Gdy zapadła noc, Sza długo przyglądała się niebu, czy nie ukazał się już aby Księżyc. I jednym łagodnym ruchem podniosła mnie do góry, ale nie postawiła na platformie, tylko od razu zabrała do jaskini. Trząsałem się z zimna. Przytuliła mnie do siebie, rozgrzewając własnym ciałem, piersiami i ustami, i usnąłem zamknięty w moją białą skórę, nim jeszcze Sza zawałiła głazami wejście i wróciła na leżysko.

Nasze życie uległo zmianie. Póki było co jeść, siedzieliśmy zamknięci w jaskini, najczęściej leżeliśmy, czasem zasiadaliśmy przed ogniem wpatrując się w milczeniu, jak buszuje mieniając się rozmaitymi barwami. Kiedy kończyła się nam żywność, Sza wyruszała na polowanie, wsadzając mnie uprzednio do kamiennego kojca. Obawiała się, że podczas jej nieobecności, o ile nie unieruchomi mojej prawej miotającej ogień ręki, uda mi się uciec od niej i powrócić na Księżyc.

Uwięziony na środku naszej platformki mogłem przyglądać się panoramie gór, ale nie mogłem się nawet ruszyć. Sza starała się wracać jak najprędzej i przynosić mi możliwie najsmaczniejszy łup, i obdzielała mnie największymi kaskami. Może sądziła, że jeśli będę jadł więcej — urosnę, sama zresztą objadała się nieprzytomnie.

Wiele więc godzin spędzałem sam — albo stojąc bez ruchu na platformie, albo leżąc w głębi groty, przyzwyczajając się na zmianę to do blasku Słońca, to do ciemności jaskini. Rozmyślałem o zielonym lesie, rzadziej o życiu na Księżycu, z każdym dniem myślałem mniej. Zaczynało mi być nudno z Sza, nawet wówczas gdy na niej leżałem. Wszystko było z góry przewidziane. Znikł element niespodzianki, uregulowany tryb

życia przypominał mi egzystencję na Księżycu. Wystarczyło mi na przykład spojrzeć na zapasy żywności, aby wiedzieć, kiedy wyjdę z jaskini i spędzę dzień zamknięty w kamiennym kojcu wśród nazbyt mi już znanego krajobrazu.

Raz pomyliłem się. Sza odsuwała głazy, a ja czekałem. Do wnętrza przedostało się światło. Było szarawe. Nie udało mi się wyjrzeć na dwór. Sza rozejrzała się, coś ją wyraźnie rozgniewało, wahała się chwilę i gestykulując wyjaśniła mi, że z niebios cieknie woda. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy — skoro nie widać Księżycza — udałoby mi się uciec na niego poprzez strugi deszczu, może więc nie warto zamykać mnie w kojcu, abym tam cały dzień mókł. Ale czy z drugiej strony bezpiecznie będzie zostawić mnie samego w jaskini? Trudno jej było coś postanowić, pragnęłaby wziąć mnie na spytki, ale nie ośmieliła się. Poruszała wargami, wyraźnie rozmawiała sama z sobą. Każda decyzja kryła w sobie ryzyko. Sza patrzyła na mnie, jakby starała się z mej twarzy odczytać, co myślę.

Zapytała mnie, czy jestem głodny, pewnie miała nadzieję, że zgodzę się nie jeść, i będzie mogła odłożyć polowanie na następny dzień. Odpowiedziałem, że chce mi się jeść, a ona szybko rozpalila ogień, aby upiec na nim ostatni kawałek mięsa. Nie zasunęła głazami wyjścia, mając nadzieję, że deszcz ustanie. Jednakże padało coraz to gwałtowniej. Sza wygłosiła do mnie długie przemówienie, pełne — o ile zrozumiałem — gróźb i próśb. Skąd mogłem wiedzieć, że absurdalność jej wierzeń, prymitywizm myślenia nie przeszkadzają jej przeczuwać, co przyniesie przyszłość; wręcz przeciwnie, gdyby Sza wiedziała więcej, nigdy nie potrafiłaby — tak jak ja nie potrafiłem — przewidzieć tego, co nastąpi.

Wyszła, zasłaniając głazami otwór, słyszałem, jak mozolnie je gromadzi, układa ich więcej niż zwykle, aby na pewno

uniemożliwić mi ucieczkę. Potem nastąpiła cisza, Sza musiała wyruszyć na swoją wyprawę.

Zapomniałem wspomnieć, że nałożyła na siebie skórę żółtej pantery, wzięła oszczep i nóż. I dotknęła palcem mnie, a potem swoich ust, abym się upewnił, że wyrusza po żywność. To była ostatnia rzecz, którą mi powiedziała w naszym prywatnym języku, a potem przystanęwszy z głazem w ręce — równie wielkiej i silnej co ręka Wolności spoczywającej na dnie nowojorskiego jeziora — uśmiechnęła się, nie spuszcza-
jąc ze mnie tych swoich skośnych zielonych oczu. Wyjście zaś zatarasowała tak grubym murem kamiennym, że przestałem słyszeć szmer deszczu.

Położyłem się. Najpierw próbowałem się wyciągnąć na legowisku z łodyg, było mi jednak zimno, przeniosłem się więc bliżej ognia. W jaskini tylko ogień był czymś żywym, krył w sobie element niespodzianki. Choć dobrze się już z nim zaznajomiłem, dalej mogłem go całymi godzinami obserwować i karmić. Sza zgromadziła ogromne zapasy paliwa, były to kawałki drzewa i gałęzi, różniące się i wielkością, i kształtem. Tamtego dnia deszcz, nuda i poczucie zamknięcia skłoniły mnie do rozpalenia wielkiego ogniska. Przywlokłem parę ogromnych gałęzi, z powrotem się położyłem i podparłszy ręką głowę wyruszyłem w podróż.

Ruchoma jezdnia biegnie przez niekończący się las. Zmieniają się tylko zwierzęta, drzewa są ciągle takie same, a marzenia zbyt czyste. Płomienie wzbijają się coraz wyżej, wpatruję się w nie, a potem śledzę wzrokiem unoszący się w górę dym, coraz to gęstszy i gęstszy. Chwileczkę... odkąd to już mieszkam w tej pieczarze, a nigdy jeszcze nie widziałem, aby dym gromadził się w niej lub ulatywał wyjściem! A kiedy było ono zamknięte, powinien by nas dławić! Dziś po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę. Przyjrzałem mu się uważnie: falował chwilę tuż pod samym sklepieniem i nikał.

Zerwałem się, by sprawdzić, co się z nim stało. Zwykle w jaskini było zbyt ciemno, by dało się przyjrzeć sklepieniu,

tego dnia światło ognia wydobyło z ciemności jakieś załomy, prowadzące widać do otworu. Tak, przez te wszystkie dni, ba, miesiące, widać musiałem być tylko na wpół przytomny. Stale senny z braku psychośrodków. Zacząłem rozglądać się za moim kombinezonem. Dawniej leżał zwykle koło ognia, od paru dni nawet o nim nie pomyślałem. Nie mogłem go nigdzie znaleźć: Sza musiała ukryć go na zewnątrz pieczary, bojąc się pewnie, że jeśli go włożę, umożliwi mi to powrót na Księżyc, a może przypuszczała po prostu, że nie będę próbował ucieczki, o ile odchodząc musiałbym wyrzec się mojej podobizny. Nie miałem wyboru: otuliłem się skórą pantery, nakładając jej leb na głowę, oparłem o ścianę drzewo i wdrapałem się do otworu, którym wydobywał się dym. Otwór był wąski, najrozsądniej byłoby się wycofać. Jednakże znalazłem w skale szczeliny, wczepiłem się w nie palcami i podciągnąłem na rękach tak, że do połowy ciała znalazłem się w wąskim tunelu. Gdyby prowadził on pionowo w górę, spadłbym z powrotem do jaskini, ale nie, wznosił się ukośnie i wkrótce ugrzęzłem w nim, nie mogąc ruszyć z miejsca, i zacząłem się z lekka dusić dymem.

Na początku mego pobytu na Ziemi nie udało mi się wybrnąć z tej sytuacji, ale teraz zmęźniałem już i nauczyłem się posługiwać rękami. Pomalutku, chwytając się wypukłości i korzystając z każdego załomu skały torowałem sobie drogę, zdzierając skórę z rąk i nóg, aż wreszcie poczułem na twarzy powiew świeżego powietrza.

Znalazłem się w grocie jeszcze ciemniejszej niż nasza. Wyjąłem moją tubkę z ogniem. Zbyt często się nią posługiwałem, obecnie wydobywał się z niej dosyć już słaby płomyk. Nie zobaczyłem ani sklepienia, ani ścian, widocznie grota była i rozległa, i wysoka. Przestałem naciskać na wyżłobienie tubki i

usiłowałem dojrzeć wśród ciemności choćby cień światła, który wskazałby mi, gdzie znajduje się wyjście. Nic nie zobaczyłem. Należałoby więc pójść prosto przed siebie, dojść do ściany i potem wzdłuż niej obejść dookoła całą pieczarę.

Ruszyłem więc, ale przy każdym kroku badałem najpierw palcami stopy grunt. Zdarzyło mi się to już po raz drugi, ale — w porównaniu do obecnej wyprawy — pierwsza była dziecięcą igraszką. Ostatecznie człowiek idąc po równej powierzchni lub wchodząc po nieróżniących się wysokością stopniach schodów, tak jak to miało miejsce podczas księżycowej katastrofy — nie ponosi zbyt wielkiego ryzyka. Toteż jeśli wtedy odczuwałem strach, to raczej dlatego, że nie wiedziałem, czemu zgasło światło i zamarł ruch. Tymczasem tutaj moja przygoda nie była wywołana żadną katastrofą, dzień był najzwyczajniejszy, ot, dzień jak co dzień, tyle że deszczowy. Ale tym razem znajdowałem się na Ziemi.

Wyciągając przed siebie ręce, aby na nic nie wpaść, stawiałem ostrożnie krok za krokiem starając się iść prosto przed siebie. Pilnie wpatrywałem się w ciemność i zamykałem oczy tylko wówczas, gdy przystawałem i zaczynałem nasłuchiwać. Nie widziałem i nie słyszałem nic, a to stałe natężanie słuchu i wzroku zmęczyło mnie bardziej niż sam marsz. Usiadłem więc, by odpocząć, ale zaraz się zerwałem: przyszła mi na myśl Sza.

Nie wiedziałem, ile czasu zajmie jej polowanie, wiedziałem jednak, że gdy wróci i zauważy moją nieobecność, zrobi wszystko, by mnie odnaleźć. Nie wiedziała chyba o istnieniu tunelu łączącego dwie jaskinie, był on zresztą zbyt wąski, aby mogła się przezeń przecisnąć — ale czyż mogłem być pewien, że jest to jedyne przejście między dwiema jaskiniami? Sza, która nawet nie musiała patrzeć pod nogi przeskakując z głazu na głaz, znała tu przecież każdy występ skalny, każdą szczelinę. Jeśli nie uda jej się dostać do tej pieczary, będzie

czekała przed nią, wreszcie będę zmuszony wyjść, by poszukać karmy, i wówczas wpadnę prosto na nią, rozradowaną i tkliwą, zobaczę jej czujny wzrok i ramiona pełne pożywienia. Ruszyłem więc, starając się iść możliwie szybko, choć nie mogłem wykluczyć, że ona już na mnie czeka.

Skalisty grunt twardy był i nierówny, ślizgałem się po kamieniach, jaskinia zdawała się nie mieć końca; przypominałem sobie, jak to w dzień wielkiej katastrofy słyszałem wokół siebie gwar ludzi, czułem w ciemnościach ich obecność. Znów zaczęła mi ciążyć samotność, z wolna opuszczała mnie uraza do Sza i wracała czułość.

Szedłem po omacku, wyciągnąwszy przed siebie ręce ślepca, czułem, że obecnie idę pod górę i obawiałem się, iż zamiast dotknąć ściany, stuknę głową o sklepienie. Stałem, odwróciłem się i po raz pierwszy od wielu godzin zobaczyłem cień światła.

Już tak dawno przebywałem w ciemnościach, że moje oczy przywykły do nich i w pierwszej chwili pomyślałem, iż padłem ofiarą halucynacji. Ale plama światła nie zniknęła, a ja szedłem w jej stronę. Nie spuszczałem z niej wzroku, bojąc się, że nie potrafię jej odszukać.

Najbardziej zdziwił mnie jakiś niezrozumiały szmer. Nie wiedziałem, czy pojawił się on dopiero teraz, czy rozbrzmiewa od dawna, a tylko ja dopiero w tej chwili wkroczyłem w strefę jego zasięgu. Był to szmer monotony i nieprzerywany, nie przypominał ani głosów zwierząt, ani strumienia. Dalej szedłem ostrożnie. Światło było coraz bliżej. Widziałem już skałę, po której stąpałem. Szum nie zmienił tonacji, tam gdzie przedtem widziałem plamę światła, teraz zobaczyłem nieregularny w kształcie otwór. Zatrzymałem się w obawie, czy za otworem nie znajduje się przepaść. I zobaczyłem płaskowyż.

Szmer brzmiał tu głośniejszy, był to szmer deszczu. Płaskowyz otaczały dookoła góry inne niż te, do których przywykłem, bliżej rosły drzewa, a ja nie widziałem drzew od chwili, gdy opuściłem wraz z Sza zielony las.

Ziemianki nigdzie nie było, być może znalazłem się w zupełnie innej okolicy. Podniecony zacząłem niezdarne biec: przecież już od wielu tygodni, a nawet miesięcy nie zdarzyło mi się zrobić więcej niż dwadzieścia kroków w linii prostej. Pierwsze drzewa wyglądały dość wątło, szukałem innych, pragnąc się wśród nich ukryć. Drzewa nie były ani zielone, ani granatowe, były czarne. Chciało mi się pić, otworzyłem usta, ale woda deszczowa nie zaspokoila mego pragnienia. Zrobiłem parę kroków i nachyliłem się, widząc wodę w zagłębieniu skały; pomyślałem sobie, że gdyby na którejś z naszych ruchomych jezdni zaczął padać deszcz, a ja spróbowałbym się go napić, zaraz jakiś biały fartuch poddałby mnie natychmiastowej kuracji i zabrał do domu zdrowia, przekonany, że musiałem ulec jakiemuś schorzeniu psychosomatycznemu, skoro wyobrażam sobie, że na Księżycu istnieje deszcz, że pada on na naszych jezdniach.

Znalazłem potężne drzewo, schowałem się za nim i przyjrzałem otworowi groty, z której wyszedłem. Nie, nie było tam Sza. Może czekała na mnie w środku, nie, nie mogła tam się dostać tą samą drogą co ja, a gdyby przyszła z zewnątrz, byłbym ją spotkał.

Nagle przyszło mi na myśl, że drzewo zasłania mnie tylko z jednej strony, i to z tej, z której Sza nie może nadejść. Obszedłem je wokoło, ale nikogo nie zobaczyłem. Sza albo szukała mnie gdzie indziej, albo jeszcze nie wróciła. Przed wyjściem z naszej jaskini należało zdjąć kilka głazów zasłaniających otwór, aby sprawić wrażenie, że to tamtędy się wymknąłem, cóż, nie pomyślałem o tym, a zresztą głazy te były dla mnie

zbyt ciężkie. Poszedłem dalej, od drzewa do drzewa; rosły one dość daleko od siebie, nie był to więc las. Spotkałem tylko jakieś małe zwierzątko, które przerażone uciekło, biorąc mnie, pewnie z powodu mego stroju, za śnieżną panterę.

Zacząłem odczuwać głód: odkąd zamieszkałem na Ziemi z Sza, przyzwyczailem się jeść. Zapadał zmrok i pomyślałem o Sza, która też pewnie wygłodniała, gdyż nigdy nie jadła nie cały dzień, aby jak najprędzej wrócić do mnie i mnie nakarmić. Wciąż padał deszcz, gdzieś, nie wiadomo gdzie, mokła na nim Ziemianka, a tu na tym pustym płaskowyżu mokłem ja: przecież to nie od Sza chciałem uciec, chciałem uciec od Ziemi. Wreszcie usiadłem na pniu zwalonego drzewa i zacząłem się przyglądać szaremu, ciemniejącemu niebu.

Deszcz ucichł, ale nie słychać było głosu ptaków. Pomyślałem, że gdyby Sza mnie wołała, rozpoznałbym jej głos, ona milczała jednak — albo był to podstęp, albo wściekłość, albo rozpacz. Nad moją głową płynęły skłębione chmury, wszystkie w tym samym kierunku. Chwilami pojawiała się jakaś niekształtna jaśniejsza plama.

Wyciągnąłem się wzdłuż pnia drzewa, potężnego jak ciało Sza. Aby poczuć się mniej samotnym, położyłem na nim dłoń. Musiałem się zdrzemnąć, ale na tak krótką chwilę, że nic nie zdążyło mi się przyśnić. Znow otworzyłem oczy i oto zobaczyłem świetlisty półksiężyc, który torował sobie drogę między szarymi i czarnymi chmurami. Nie od razu go rozpoznałem, nie widziałem go już od bardzo wielu nocy, gdyż kiedy tylko zapadał mrok, Sza zamykała mnie w jaskini. Oto przyszedł złożyć mi wizytę i po raz pierwszy poczułem, jak ogarnia mnie księżycowa nostalgia.

Od wielu nocy krążyłem po płaskowyżu. Obszedłem go już wokół i wiedziałem, że ze wszystkich stron otoczony jest stromymi górami. Zamiast szukać łagodniejszego zbocza lub wąwozu starałem się znaleźć wejście do jakiejś groty, mając nadzieję, że będzie ona miała drugi otwór na zewnątrz. W dzień ukrywałem się: nie ufałem Słońcu, wołałem Księżyc. Był wielki i ciężki, żółty, lekko czerwony. Byłem stale głodny: nie widywałem zwierząt i znalazłem tylko dwa drzewa dostarczające karmy, pozeralem więc zrywane z nich kule na surowo, nie śmiąc rozpalić ognia. Sza nie pojawiła się. Moją ucieczkę uznała pewnie za powrót na Księżyc, na nic więc nie zdałoby się szukać mnie i nawoływać. Nie było mnie już na Ziemi, więc nie usłyszałbym jej i nie odpowiedział: znów była samotna. Może błędziła po lasach — lesie zielonym i lesie granatowym — mając nadzieję, że jeszcze raz zstąpię z Księżycą i zobaczy mnie koło ognia, którego byłem panem. Myślałem o niej z mieszaniną strachu i litości, raz przeważało jedno, a raz drugie uczucie — w zależności od tego, czy oddawałem się nadziei czy rozpacz, i w zależności od tego, jakie mnie nawiedzały myśli. Dziwne były one i zmieniały się jak w kalejdoskopie. Czasami dziewczyny z Księżycą zstępowały na Ziemię, by mnie pocieszać, czasami moja olbrzymia kochanka pojawiała się na ruchomej jezdni i

wpatrywała w telewiadomości. Nie wiedziałem, czy to jawa, czy sen, może rezultat odmiennej karmy lub braku środków psychofarmaceutycznych.

Noc dobiegła końca. Spędziłem ją szukając w skałach jakiejs jaskini. Nie znalazłem. Księżyc znikł. Świtał dzień. Niezadługo trzeba będzie znów poszukać ukrycia. Podszedłem do zeschniętego drzewa, które w połowie złamał wiatr. I wówczas na bezbarwnym jeszcze niebie zobaczyłem świetlany punkcik, nie, mogła to być gwiazda, światło było zbyt wyraźne i nie mrugało.

Punkcik ten poruszał się miarowo z lewa w prawo, zatrzymywał się i znów ruszał w przeciwnym kierunku. Nie podlegał więc żadnym prawom przyrodniczym i na próżno zastanawiałem się, na czym polega ten fenomen. Czułem, sam nie wiedząc dlaczego, wzrastający niepokój. Na wszelki wypadek schowałem się pod drzewem, nie spuszczać światelka z oczu. Przestało się poruszać. Niebo zblękitniało. Byłem już na tyle oblatany w ziemskich sprawach, że wiedziałem, iż Słońce pojawiło się już na zakrytym górami horyzoncie. Światelko zbladło, pomyślałem sobie, że zaraz zniknie. Tak, znikło, ale w tym samym miejscu zobaczyłem jakąś maleńką srebrzystą powierzchnię, od której odbijały się promienie Słońca. Zaczęły mnie one oślepiać, ale nie pomyliłem się. Był to aparat powietrzny podobny do planetolotu, z którego wyrzucił mnie Dwaściadwa.

Wstałem, zacząłem wymachiwać rękami, biegać, skakać, wreszcie zrozumiałem, że zachowuję się wręcz śmiesznie. Jeśli w ogóle mógłby mnie ktoś z góry dojrzeć, wzięłby mnie za panterę, która nagle zaczęła chodzić na tylnych łapach.

Aparat trwał bez ruchu. Wiedziałem, że na niebie nastał już dzień, choć mnie otacza jeszcze półmrok. Wyjąłem moją tubkę, nacisnąłem na wyźłobienie, tak aby płomień dotknął suchych gałęzi. Płomyk był słaby, ale naciskałem dalej, nie

zważając na ryzyko, że tubka się wyczerpie albo Sza zauważy ogień i dowie się, gdzie jestem. Tak, bałem się tych dwóch rzeczy, ale zżyłem się już z myślą o nich, tymczasem możliwość, iż planetolot gotów się oddalić nie zauważywszy mnie — napełniała mnie prawdziwą paniką.

Wielkie drzewo zajęło się. Na suchych gałęziach pojawiły się pelzające płomyczki. Planetolot poruszył się. Byłem przekonany, że zbiera się do odlotu. Do tego stopnia straciłem głowę, że zacząłem krzyczeć, by przyciągnąć uwagę nieznanych przybyszów, i o mały włos oddech mój ugasiłby słabo jeszcze tłący się ogień. Nie udało się. Znów podniosłem wzrok, planetolot zatoczył półkolisty łuk i zatrzymał się: z góry było widać także tamto zbocze gór opadające w stronę lasu, w którym spędziłem moje pierwsze dni na Ziemi. Ogień wzmagął się, ogarniał gałąź po gałęzi. Czarne drzewo zamieniło się w drzewo szkarłatne, drzewo olśniewające.

Szara mgła unosiła się z ziemi, przesłaniając krajobraz. Zacząłem się obawiać, czy aby z góry widać jeszcze płomień, i cofnąłem się, pragnąc spojrzeć na ogień z pewnej odległości.

W oddali zamajaczyła mi sylwetka jakiegoś mężczyzny. Wyglądało na to, że ma na sobie kombinezon i obserwuje mnie bacznie. Ale nie byłem tego pewien. Powiedział cichym głosem:

— Trzyścitrzy.

Było to dla mnie dowodem, że uległem halucynacji audio-wizualnej: żaden żywy człowiek w tym miejscu nie mógł znać mego imienia. Nie odpowiedziałem, usiłując przeniknąć wzrokiem mgłę. Była gęsta. Mężczyzna przyglądał mi się dalej, oczy miał przesłonięte krążkami przypominającymi soczewki. Podszedłem.

— Pański numer? — spytał.

Mówił naszym językiem.

Odpowiedziałem:

— 682 933. Kim pan jest?

Przyjrzał mi się milcząco i odpowiedział pytaniem:

— Co to za broda?

— Moja własna.

— Zapaścił pan sobie brodę?

— Jak pan widzi.

— Dla ochrony przed zimnem?

Nie ukrywał zdziwienia, a równocześnie przejawiał pewną podejrzliwość. Odpowiedziałem, że cały mój bagaż wpadł do potoku ziemskiego i zostałem z pustymi rękami. Mężczyzna rozmawiał ze mną z wahaniem, tak jakby i on także nie był zupełnie pewny, że ja naprawdę istnieję. Ciągłe nie widziałem jego twarzy, przesłaniała ją mgła.

— A gdzie jest pańska fiszka tożsamości? — spytał. — Też ją pan zgubił?

Chciałem odpowiedzieć, że zabrała mi ją Sza, ale w ostatniej chwili powstrzymałem się: uznałby, że kłamię, utrzymując, iż istnieje jakaś Ziemiańska, a jeśli okazałoby się, że rzeczywiście istnieje, wtedy równie dobrze i ja mógłbym być Ziemiańcem. Nie miałem żadnego dowodu na to, że przybyłem z Księżycy, a skóra pantery, którą byłem okryty, wskazywała na coś wręcz przeciwnego.

Mężczyzna dalej nie ukrywał wątpliwości.

— Dobrze się pan wyuczył naszego języka — zauważył.

Uśmiechnął się, bacznie mi się przyglądając. Nie wiedziałem, o co mnie podejrzewa. Zapytałem:

— Więc dojrzał mnie pan z góry?

— Zobaczyłem ogień — odparł i spojrzął na płonące drzewo.

Na jego twarz padł odbłask płomieni oświetlając równocześnie fiszkę tożsamości. Krzyknąłem:

— Dwaściadwa! Dlaczegoś mi od razu nie powiedział, że to ty?!

Nie wyglądał na zdziwionego.

— Wołałem, abyś mnie sam rozpoznał.

— Masz się przede mną na baczności?

— Nie przed tobą, o ile rzeczywiście jesteś Trzyścitry.

— Myślałeś, że mogę być Ziemianinem?

— Mógłbyś, co gorsza, okazać się jakimś innym Księżyczaninem.

Nic nie rozumiałem. Odpowiadał na moje pytania wymijająco, czułem, że się czegoś obawia, ale nie wiedziałem, czego. Spytał:

— Czemu nie odpowiedziałeś na moje wezwanie?

Oświadczyłem zgodnie z prawdą, że nic nie słyszałem, że zobaczyłem planetolot i sam zacząłem krzyczeć — bez rezultatu. Dwaściadwa pokręcił głową.

— Czy zapomniałeś już posługiwać się telekomunikatorem?

Przypomniałem mu, że wszystkie moje rzeczy wpadły do potoku. Krzyknął:

— Stale ta sama wymówka! — I dodał szeptem: — Czemu mnie unikałeś?

Ja mogłem mu zadać parę bardziej kłopotliwych pytań, przecież to on stracił mnie na Ziemię. Nie mogłem zrozumieć, czemu powrócił, czemu mnie szukał, zastanawiałem się, czy znów zamierza mnie opuścić. Jasne było, że mi nie dowierza, ale dlaczego?!

— A twój kombinezon? — spytał. — Też popłynął potokiem wraz z całym twoim bagażem?

Odpowiedziałem:

— Tak. — Ostrożność nakazywała mi mówić jak najmniej. Wskazał na skórę pantery.

— Skąd to wzięłeś?

Nauczyłem się ostatnio, jak łatwo można się porozumiewać

za pomocą gestu, wyrazu twarzy, jeden palec wystarczył Sza, by spytać, czy zstąpiłem na Ziemię z Księżyca, dziesięć palców wystarczyłoby mi, aby nauczyć ją matematyki. Wskazałem na płonące drzewo i wyjąłem tubkę.

— To od ciebie ją otrzymałem.

Dwaściadwa wziął tubkę, sprawdził, czy działa, stwierdził, że często jej używałem. Obejrzał się przez ramię. W punkcie, gdzie dwa zbocza gór spotkały się pod ostrym kątem, lada moment miało się ukazać Słońce.

— Musimy się spieszyć — oznajmił. — Za chwilę obudzą się turyści.

Obudzą się i odlecą? Bałem się pytać. Zrobił parę kroków w stronę maleńkiego statku powietrznego, na którym wylądował na Ziemi. Miałem wrażenie, że czas cofnął się, że jestem po prostu turystą w połowie podróży po Ziemi, a cała reszta była snem. Czerwone drzewo dopalało się zamieniając w szary popiół. Zrozumiałem, że za chwilę rozpocznie się mój powrót do domu, na Księżyc.

Na niebie lśnił srebrny planetolot.

— Zamknij oczy — powiedział Dwaściadwa. — W kabinie mam dla ciebie ochraniacze i cały ekwipunek.

Nie mogłem wiedzieć, że przywykłem do światła, tak jak ja nie mogłem wiedzieć, że będzie mi go brakowało.

Nie weszliśmy do wielkiej kabiny, gdzie przebywali turyści, lecz do drugiej, maleńkiej, przeznaczonej dla nadzorców. Dwaściadwa podał mi kombinezon. Przebrałem się. Chciałem zatrzymać skórę białej pantery, lecz mi ją odebrał.

— Po co ci ona? Przecież wiesz, że nie wolno niczego przywozić z Ziemi.

W miarę jak maszyna nabierała wysokości, horyzont cofał się, a góry pojawiały coraz to liczniej. Rozpoznałem skały prowadzące do naszej jaskini, jej otwór, platformkę, a na

niej kamienny walec, który służył mi za więzienie, gdy czekałem na powrót Sza, a wreszcie las, po którym błądziłem, w którym spotkaliśmy się i który dostarczał nam pożywienia.

Moja skóra pantery z rozcapierzonymi łapami spadała powoli na Ziemię zataczając koła. Znów poczułem rozterkę i zacząłem rozglądać się, czy nie dostrzegę gdzieś Sza. Pomyślałem, że być może wpatruje się ona w skórę pantery, która odprowadziwszy mnie wraca na Ziemię, by wraz z moją podobizną dotrzymać jej towarzystwa. Schyliwszy głowę zauważyłem, że mam na piersi fiszkę tożsamości. Widniała na niej moja twarz, lecz inny numer.

Dalej szukałem wzrokiem Sza — na próżno. I nie wiem, czy widziała, jak odjeżdżałem.

Kabina przypominała mi dobrze znane zakątki: żadna linia nie załamywała się, nie zakręcała z nagłą ani nie urywała się zniecacka, żadna powierzchnia nie była gorąca ani zimna; kolory nierzające, światło przyćmione. Poczulem się z powrotem na Księżycu.

Dwaścjadwa dostarczył mi przyborów do zlikwidowania brody.

— Tak, to ty — stwierdził z ulgą — tylko bardzo przybrałeś na wadze.

Wyjaśniłem mu, że na Ziemi odżywia się inaczej.

Zapytał:

— I nie chorowałeś?

Oświadczyłem mu, że miałem szczęście.

Chciał się dowiedzieć, co służyło mi za karmę.

Odpowiedziałem: — Przede wszystkim mięso zwierząt.

Myślał, że żartuję. Opisałem mu zwierzęta. Wzdrygnął się z obrzydzeniem. Opowiedziałem mu o drzewach obwieszonych karmą, uważał, że z niego kpię. Przypomniałem sobie, że jestem głodny. Zdziwił się.

— Stałeś się prawdziwym Ziemianninem — westchnął i podał mi parę tubek alimentacyjnych.

Były na pewno pożywne, ale ja przyzwyczailem się do karm o wyraźnych smakach, wydały mi się więc mdłe. I dalej czulem, że mam pusty żołądek.

— Powinieneś się dać przebadać — zauważył Dwaściadwa. Planetolot leciał zwykłą turystyczną trasą. Zbliżaliśmy się do Pekinu. Staralem się odsunąć zewnętrzną ściankę: chciałem zobaczyć Chiny.

— Jeszcze kawałek drogi — zauważył Dwaściadwa.

— Ale lepiej nic nie otwieraj, ktoś mógłby cię zauważyć.

Zdziwiłem się: nie widziałem powodu, dla którego miałbym się ukrywać. Powiedziałem to głośno, Dwaściadwa przypomniał mi:

— Zapomniałeś, że każdy, kto wszedł w kontakt z czymś pochodzenia ziemskiego, uważany jest za zarażonego, czyli jest potencjalnie niebezpieczny.

Myśl o domu zdrowia bynajmniej mi się nie uśmiechała: wołałbym inaczej uczcić swój powrót. Zapytałem:

— Przecież ktoś tu może wejść i mnie zobaczyć?

— Nie, nikt — odparł — poza mną i drugim nadzorcą, na którego mogę liczyć. Bądź spokojny.

— Tym nadzorcą jest oczywiście Dwaściacztery?

Zaprzeczył i nim odpowiedział, chwilę mi się uważnie, acz niepostrzeżenie przyglądał.

— Dwaściacztery jest chory.

Znów nastąpiła chwila milczenia i dorzucił:

— To znaczy został zamknięty w domu zdrowia.

Byłem pewien, że w tych słowach mieści się ostrzeżenie, ale nie rozumiałem powodu, przywykłem ostatnio do zupełnie innych niebezpieczeństw, jakie czyhały na mnie na Ziemi. Teraz znów pomyślałem o psychoepidemii: a więc nie wygłasza. Spytałem o to, ale Dwaściadwa zamiast mi odpowiedzieć także zadał pytanie:

— Znasz 439 342?

Odpowiedziałem:

— Czterściodwa? Tak, pracujemy razem, to mój zmiennik.
Ty go znasz?

— Tak.

— Jak mu się powodzi?

— Jest na kuracji.

— I on także?

— Tak, i on także siedzi w domu zdrowia.

Zawołałem:

— Psychoepidemia?!

Dwaściodwa nie odpowiedział.

Nalegałem:

— To dalej takie groźne?

Odparł:

— Groźniejsze niż kiedykolwiek.

I ja tak myślałem, a przecież odniosłem wrażenie, że każdy z nas mówi o czymś innym. Poprosiłem go o dalsze informacje: czy poddano sytuację dalszym analizom, czy logicy nie doszli do jakichś innych wniosków? Zamiast odpowiedzieć, Dwaściodwa wręczył mi środek nasenny: potrzeba mi twardego snu, pogadamy, gdy się obudzę.

Zasnąłem natychmiast. Kiedy otworzyłem oczy, Dwaściodwa siedział obok mnie. Troszeńkę odsunął ściankę i powiedział:

— Patrz.

Widok gruzów był mi już znajomy. Tyle że tutaj nie zobaczyłem jeziora, tak jak w Nowym Jorku, ani czerwono-złotego kopca, tak jak w Moskwie, za to tak jak we wszystkich miastach nie ocalała tu żadna żywa istota. Przypomniałem sobie dyskusję na temat wielkości Moskwy i Nowego Jorku; sądząc z pokrytej ruinami powierzchni, Pekin był jeszcze większy.

Dwaściodwa stał tuż za mną. Szepnął:

— Czemu chciałeś zejść na Ziemię?

Poczułem się znów tak, jakby czas się cofnął: to na początku podróży musiałem wysłuchiwać podobnych pytań. Odwróciłem się, by zajrzeć mu w twarz. Unikał mego wzroku. Powiedziałem:

- To ty strąciłeś mnie na Ziemię, o nic mnie nie pytając.
- Pytałem — odparł — ale nie chciałeś mi odpowiedzieć.

Przypomniałem mu, że jego pytania pełne były niezrozumiałych dla mnie aluzji. Zaczął się śmiać.

— I ty robisz mi wymówki, że bez pytania strąciłem cię na Ziemię!

Znów kręciliśmy się w kółko. Między nami stanął mój pobyt na Ziemi. Mogłem dokładnie odtworzyć w pamięci głos leśnego ptaka, który wydał mi się głosem kobiety, i kształt piersi Sza, który zapamiętały moje ręce, ale z rozmów z Dwaściami pozostały mi tylko poszczególne zdania. Nie było ich wiele, wymieniliśmy wówczas więcej spojrzeń niż słów, tak zresztą jak i obecnie; każdy z nas miał nadzieję, że ten drugi przemówi pierwszy.

Wyjrzałem na zewnątrz. Horyzont oddalał się z każdą chwilą, a ruiny Pekinu malały, ustępując miejsca innym ruinom, widać w Chinach nie brakowało miast. Spytałem, czy wśród turystów znajdują się geohistorycy. Owszem, w każdej wycieczce brał zawsze udział jakiś geohistoryk i zawsze mówił to samo. Zauważyłem:

— Przecież ja spędziłem na Ziemi kawał czasu, a ty mnie o nic nie pytasz.

— A niby o co?

Nagle coś mi się przypomniało.

— Przecież ty i Dwadziestka chcieliście zostać na Ziemi!

— My? Zostać?

Nie wierzył własnym uszom, a ja spiesznie starałem się mu przypomnieć, że obaj, choć nie mówili tego otwarcie, próbowali

dać mi do zrozumienia, a nawet okrężną drogą proponowali, abym się do nich przyłączył. Dwaściadwa patrzył na mnie w osłupieniu.

— Coś podobnego — wykrztusił wreszcie — coś podobnego!

Ja jednak ciągnąłem dalej, iż oczywiście nie mogę z całą pewnością twierdzić, że pragnęli pozostać na Ziemi na zawsze, może chodziło im tylko o krótką wycieczkę.

— A jak, według ciebie, mieliśmy z tej krótkiej wycieczki powrócić na Księżyc?

Tego nie wiedziałem, ale przecież służyłem za żywy dowód, że nie jest to niemożliwe.

— A po co mielibyśmy chcieć zabrać cię z sobą?

Odpowiedziałem, że tego właśnie mi nigdy nie wytłumaczył, i powtórzyłem mu moją ostatnią rozmowę z Dwaściadcym, który zaczął od oznajmienia: „Przyszedłem pomóc z tobą o odjeździe”. Dwaściadwa milczał, a ja dodałem:

— I dobrze wiedział, co mówi. Nie przekonasz mnie, że było inaczej tylko dlatego, że potem uległ psychoepidemii.

Dwaściadwa robił wrażenie wstrząśniętego. Wielokrotnie powtórzył: — Ach, więc to tak. Coś podobnego! Więc to tak! — Wyglądało na to, że coś sam sobie opowiada, że wsłuchuje się we własne słowa i zaczyna je rozumieć. Chiny znikły, pojawił się Ocean Spokojny; ledwie zdążyłem rzucić nań okiem, gdyż Dwaściadwa zasunął zewnętrzną ściankę. Drżały mu ręce.

— Wierzę, że jesteś szczery — oświadczył. — Jestem tego nawet pewien. I wszystko dobrze zapamiętałeś. Tylko że — zawołał nagle — mózgowi elektronowemu trzeba dostarczyć wszystkich danych, nim będzie mógł wyciągnąć z nich wnioski!

Zacisnął race, ale i tak drżały mu dalej, oparł je więc o ściankę.

— Gdybyś miał rację uważając, że Dwaścicztery i ja chcemy zejść na Ziemię i zabrać cię z sobą, to czemuśmy tego nie zrobili? Dlaczego wysadziłem cię na Ziemię samego?

Odpowiedziałem:

— Właśnie to powinieneś mi wytłumaczyć.

— Jeśli wszystko tak dobrze pamiętasz — zauważył błagalnym tonem — to powinieneś sobie przypomnieć, jakie to dwa pytania zadałem ci w ostatniej chwili. Kiedy je sobie przypomnisz, to zrozumiesz wszystko.

Zacząłem szukać w pamięci, ale nie odnalazłem w niej jego słów i musiał mi je powtórzyć. Brzmiały one następująco: „A więc wiesz wszystko?” i „Zgadzasz się?” Zacząłem się nad nimi zastanawiać, a on czekał nie przestając mi się bacznie przyglądać. Wreszcie oznajmiłem mu, że te pytania nie miały dla mnie wielkiego sensu: ani nie rozumiałem, co powiniennem być wiedzieć, ani na co się zgadzać. On z kolei umilkł i zaczął się namyślać, teraz już na mnie nie patrząc. Kiedy wreszcie na mnie spojrzął, miał minę człowieka, który podejmuje wielkie ryzyko.

— Postanowiłem ci zaufać — oświadczył. I jakby chcąc mi coś wyjaśnić dodał: — Jeśli się co do ciebie pomyliłem, czeka mnie dom zdrowia.

Skąd mogłem wiedzieć, co ma na myśli, ja, który naiwnie uważałem, że tylko chory umysłowo może mieć wątpliwości co do mojej osoby. Odparłem więc tylko, że może spokojnie mówić i że nie zawiodę jego zaufania. Przyglądał mi się w milczeniu.

— Na dziesięć minut przed odlotem z Księżycy — oznajmił sucho — otrzymałem nowe teleinstrukcje.

Dwaścjadwa przemawiał tak, jakby składał sprawozdanie swym zwierzchnikom. Został poinformowany, że wśród

turystów znajduje się człowiek — tu wymieniono mój numer — który zostaje wysłany na Ziemię w specjalnej misji. Dwaściadwa powinien wysadzić mnie na Ziemię w takim to a takim miejscu. Podróżnym nie wolno się domyślić, o co chodzi. Nie wolno mi przyznać się przed nikim, nie wyłączając samego Dwaściadwa, że nie jestem zwykłym turystą, a jemu także nie wolno nawet w stosunku do mnie zrobić żadnej aluzji na ten temat. Wysłuchałem go nie przerywając. Kiedy skończył, chciałem się dowiedzieć, czy potraktował tę historię serio. Ja, zwykły nadzorca, miałbym otrzymać do spełnienia jakąś specjalną misję na Ziemi? Wzruszył ramionami i powiedział:

— Nie znałem cię. Kiedy wszedłeś niby to przypadkiem do naszej kabiny, zacząłem mieć wątpliwości. Przecież musiano cię uprzedzić, że to ja pomogę ci opuścić planetolot, więc choć nie chciałeś ze mną o tym mówić, pragnąłeś przyjrzeć się, jak wyglądam.

Dwaścierztery wiedział, o co chodzi, przedyskutowali to na wszystkie strony. Instrukcje były tak precyzyjnie sformułowane, że niemożliwością było upewnić się, co jest prawdą.

Dwaściadwa powiedział:

— Obaj z Dwaścierztery staraliśmy się zachować maksymalną ostrożność. Zamiast cię wypytywać otwarcie, uciekliśmy się do aluzji. Nie zareagowałeś, ale skąd mogliśmy wiedzieć, czy będąc posłuszny otrzymanym instrukcjom udawałeś, że o niczym nie wiesz, czy też nie wiesz naprawdę? A w takim wypadku jak miałem właściwie postąpić?

Choć wydawało się, że zadaje pytania sam sobie, to jednak to ostatnie skierował do mnie. Odparłem, że powinien był szczerze ze mną pomówić, tak jak to zrobił teraz.

— Tak samo uważał Dwaścierztery. Ale ja jestem od niego

ostrożniejszy. Na ogół słusznie, ale w twoim wypadku pomyliłem się.

Ja z kolei wzruszyłem ramionami i zauważyłem:

— Zapominasz, że dalej nie wiem o niczym, a ty zamiast mówić o faktach, mówisz o swoich uczuciach.

Odparł, że mam całkowitą rację i że niesłusznie podejrzewał, iż przyzwyczaiłem się do chaotycznego rozumowania Ziemi. Był to żart i obaj uśmiechnęliśmy się.

— Po pierwsze — oznajmił, przyciskając kciuk do dłoni — jeśli nic nie wiedziałeś o otrzymanych przeze mnie instrukcjach, oznaczało to, że jesteś skazany na wieczystą banicję na Ziemi i prawdopodobnie czeka cię śmierć. W takim razie powinienem był cię ostrzec.

Chciałem mu odpowiedzieć, ale Dwaścjadwa dał mi znak, abym milczał.

— Po drugie — tu oparł palec wskazujący o kciuk — jak ci to już mówiłem, gdybyś zdradził moje zaufanie, zamknięto by mnie w domu zdrowia.

Wykrzyknąłem, że to niemożliwe.

— Ależ możliwe — powiedział — nawet dziś jest to możliwe, jeśli się co do ciebie myślę.

A kiedy zacząłem protestować, przerwał mi:

— Pozwól mi skończyć. Cofnijmy się wstecz. Przypomnij sobie, że wszystkie nasze próby wydobywania z ciebie jakichś informacji nie powiodły się. Jak ci już powiedziałem, oznaczało to, że albo nic nie wiesz, albo wiesz wszystko i udajesz. Musiałem się zachowywać tak, jakbym równocześnie wierzył w obie te możliwości.

Odniosłem wrażenie, że kpi sobie ze mnie, i zauważyłem:

— Rozumowanie niegodne nawet prehistorycznego komputera. On przynajmniej wybierał między zerem a jedynką, a ty równocześnie optowałeś za obydwoma możliwościami.

Nie uśmiechnął się.

— Zbliżał się moment, kiedy miałem cię zrzucić na Ziemię. Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem zastosować się do instrukcji, tak jak prawdopodobnie ty stosowałeś się do swoich, zadałem ci jednak dwa pytania, które mogły wszystko rozstrzygnąć.

Powtórzył:

— „A więc wiesz wszystko?” i „Zgadzasz się?” Czy teraz rozumiesz?

Pierwsze pytanie zrozumiałem, przypomniałem sobie nawet, iż wtedy wydawało mi się, że Dwaściadwa i Dwaścictery podejrzewają mnie o posiadanie jakiejś tajemnicy, której jako żywo nie posiadałem. Opowiedziałem mu to, a on przypomniał mi:

— Nic mi nie odpowiedziałeś, ale to też niczego nie dowodziło. Gdybyś odpowiedział: „Tak” — moje instrukcje byłyby usprawiedliwione, ale twoje milczenie mogło równie dobrze oznaczać „wiem”, jak „nie wiem”.

I tak samo było z drugim pytaniem.

Jego sensu nie uchwyciłem. Jak mogłoby mi się to udać, skoro nie podejrzewałem, że mam znaleźć się na Ziemi?

— Tylko w dwóch punktach nie zastosowałem się do moich instrukcji — dodał Dwaściadwa. — Dałem ci tubkę z ogniem i pokazałem, gdzie znajdują się góry, które ocalały z Wielkiego Krachu. Nic więcej nie mogłem dla ciebie zrobić.

Trudno mi było uwierzyć własnym uszom: a więc sądzone mi było znaleźć się na skrawku opustoszałej Ziemi, mając tylko odrobinę żywności i telekomunikator, za to bez ognia. Mógłbym przetrwać akurat tak długo, aby nauczyć się, co oznacza słowo rozpacz. Zawołałem:

— A któż by to i po co miał podjąć taką decyzję?!

Twierdziłem, że trudno to sobie wyobrazić, a zatem było to niemożliwe.

— Trudno ci w to uwierzyć? — spytał. — A co się stało z Dwaścierzery?

— Zachorował.

— Zachorował? A wszyscy inni?

Rozmawialiśmy coraz to głośniej i coraz szybciej, zdania krótkimi jak wykrzykniki. Żadnego z nich nie zapomniałem.

Spytałem:

— A więc psychoepidemia?

— Wierzysz w to?

— Widziałem ją! A ty może nie?

— Co widziałeś?

— Białe fartuchy na ruchomych jezdniach.

Zamilkł. Myślałem, że go przekonałem.

— Dwaścierzery został zatrzymany przez policję medyczną — powiedział Dwaścierzera — w momencie, gdy wylądowaliśmy na Księżycu, i natychmiast zamknięto go w domu zdrowia.

Zapytałem, czy go potem widział.

— Coś ty! — odparł. — Nie wolno odwiedzać chorych.

— Dlaczego?

— Pod pretekstem, że istnieje obawa zarażenia.

— Pod pretekstem?

— Zarażenia czym?

Wtedy zauważyłem:

— Przecież ciebie zostawiono w spokoju.

Odparł:

— Oddałem władzom wielką przysługę — wysadziłem cię na Ziemię nie uprzedziwszy, co cię czeka.

Dodał:

— I nikomu o tym nie wspominałem. A Dwaścierzera opowiedział o tym asystentowi, który uznał, że ten uległ psychoastenii, i zawiadomił białe fartuchy.

Późegnalny bankiet Ziemi, jak go nazwali przewodnicy, odbył się w kosmodromie bez mojej obecności. Zgodziłem się ukrywać, aby uniknąć kwarantanny po powrocie. Dwaściadwa skorzystał z bankietu, aby mnie potajemnie wprowadzić na pokład astroplanu, który miał nas zabrać na Księżyc.

Przy wejściu jakiś niewykwalifikowany technik naprawiał właśnie komórkę kontrolną: w ten sposób moje przybycie nie zostało zarejestrowane, a N.T, nawet nie podniósł głowy zadowolając się pozdrowieniem Dwaściadwa ruchem ręki. Nie weszliśmy do wielkiej, pustej jeszcze kabiny. Mój towarzysz wprowadził mnie do komórki przeznaczonej w zasadzie dla nadzorca zapasów energii nuklearnej. Już od dawna funkcję tę spełniała kontrola automatyczna, ale przestarzały — jak to często bywa — regulamin przewidywał istnienie pomieszczenia liczącego sobie osiem metrów sześciennych.

Dwaściadwa pomógł mi wyciągnąć się na leżysku, zaopatrzył mnie w immobilizator magnetyczny, abym nie uniósł się w powietrzu, jeśli statek wejdzie w strefę nieważkości podczas mego snu. Obiecał wpaść do mnie między dwiema wachtami, zapewnił, że nikt tu mnie nie znajdzie, poradził mi, abym zasnęła, zostawił mi parę nasennych tabletek, kilka tubek z karmą i wyszedł. Zostałem sam, leżąc wygodnie w łagodnym półmroku, w ciszy, otaczany niedającymi się sforsować

przepierzeniami, które chroniły mnie tak, jakbym to ja był ładunkiem nuklearnym, i nie mogłem usnąć.

Jeszcze nie byłem na Księżycu, już opuściłem Ziemię i zdany byłem na łaskę własnej rozstrojonej pamięci. Sza i Trzynastka upodobniły się do siebie, obie występowały w mej obronie, ale ruchoma jezdnia rozwidlała się przed granatowym lasem, a ja jechałem równocześnie w obu kierunkach zdążając w stronę nowych, przepelnionych domów zdrowia. I tego właśnie nie mogłem zrozumieć, to właśnie najbardziej mnie trapiło.

Rozmowa, którą odbyłem z Dwaściadwa nad Oceanem Spokojnym, wydawała mi się równie pozbawiona sensu co większość moich wspomnień. Na próżno starałem się odtworzyć w pamięci jego słowa w jakimś logicznym porządku, uciekały mi na wszystkie strony, po czym znów pojawiały się i nawzajem sobie przeczyły. Układałem z jego słów jakąś historię, po czym przyglądałem się jej szczątkom, gdyż zawsze znalazło się słowo, które sprawiało, że nie miała ona sensu. Powtarzałem sobie, że przecież tym razem Dwaściadwa powiedział mi wszystko. Ale równocześnie czułem, że coś przede mną ukrył. Szukałem po omacku i nie potrafiłem tego odkryć. Przypuszczałem więc, że kłamał, ale w którym punkcie? Każdy szczegół mógł być równie dobrze prawdziwy co fałszywy. Należało więc przyjąć, że mówił prawdę, tylko że prawda ta była dla mnie niezrozumiała. Zdecydowałem się zatem wziąć środek nasenny, nie zrobiłem tego jednak, zacząłem wsłuchiwać się w ciszę i znów nasunęło mi się jakieś pytanie wymagające odpowiedzi, od nowa więc podjąłem próbę zrozumienia sytuacji przyjmując, że opowieść Dwaściadwa była prawdziwa.

Założyłem więc, iż rzeczywiście otrzymał dotyczące mnie teledyktando. Ale w takim razie to ja przede wszystkim powinienem zostać powiadomiony o powierzonych mi misji, a ja nic o niej nie wiedziałem. Zacząłem więc moje rozumowanie

od początku; wersja Dwaściadwa odpowiada prawdzie, nieprawdziwe natomiast było udzielone mu wytłumaczenie o wyznaczeniu mi do spełnienia specjalnej misji. Istniał zatem inny powód mojej zsyłki na Ziemię, którego nie ujawniono Dwaściadwa, ale który powinien mi być znany — a nie był, skoro więc nie był znany, mogło tu chodzić tylko o nagrodę lub karę za coś, co zrobiłem, nie zdając sobie z tego sprawy.

Zacząłem więc rozumowanie od zera wychodząc z wręcz przeciwnego założenia. Dwaściadwa nie otrzymał żadnych instrukcji i sam podjął decyzję wysadzenia mnie na Ziemi. Ale w takim razie musiałyby działać z jakichś osobistych pobudek — tymczasem zaledwieśmy się znali — albo na skutek choroby, co nie było możliwe zważywszy na jego funkcję nadzorcy na pokładzie astroplanu Księżyc-Ziemia, bowiem taki nadzorca podlega stałej psychokontroli białych fartuchów uzbrojonych w psychodetektory.

W tym momencie zacząłem się gubić w podziałach, jak kiedyś w ziemskim lesie, gdy usiłowałem z niego wyjść. A może Dwaściadwa działał w imieniu Czterścidwa, mojego zmiennika, albo w imieniu Trzynastki — tylko skąd by ją znał? — która robiła, co mogła, aby nie pozwolić mi udać się w tę podróż. Pominę tu następne przypuszczenia, chcę się streszczać. Od czasu do czasu zapadałem w drzemkę, nie przestając jednak szukać rozwiązania zagadki, i niezależnie od tego, czy usiłowałem ją odkryć w sygnalizatorach w mojej sali pracy, czy w językach ogniska w pieczarce, odpowiedzi umykały mi, każda zawierała w sobie szereg następnych pytań, przyprawiających o zawrót głowy, wydawało mi się, że spadam, a nie przyszło mi na myśl, że oto opuściliśmy atmosferę ziemską i weszliśmy w strefę nieważkości.

Nagle słabe światło padło na sylwetkę Dwaściadwa, który zbliżał się, utrzymując równowagę dzięki rękawicy magnetycznej. Spytał, czy dobrze spałem. On żył czasem terazniejszym, ja przeszłym, zawołałem więc:

— Z jakiego powodu miałbyś otrzymać podobny rozkaz?!

— Nie wiem. Oznajmiono mi, że masz do spełnienia specjalną misję.

— Ale skoro jej nie miałem?

— Zatem chciano widać ukryć przede mną prawdziwy powód.

— Jaki?

— Tego nie wiem. Myślałem, że dowiem się od ciebie. Ale ty mi nie powiedziałaś.

— Powinno ci przyjść na myśl, że nie może być żadnego racjonalnego powodu.

— Nawet dziś tak nie uważam.

— Zatem czemu odszukałeś mnie na Ziemi?

Zapiąłem pas i gotów byłem dalej go atakować pytaniami, Dwaściadwa trzymał się jednak tematu.

— Odszukałem cię — oznajmił — bo czułem się za ciebie odpowiedzialny. To przecież ja wysadziłem cię na Ziemię.

Doszedł do przekonania, że historia z misją nie mogła być prawdziwa, że chodziło o to, bym znikł. Chciałem się dowiedzieć, czy to on sam wpadł na ten domysł, czy też ktoś go o tym poinformował. Odparł:

— Nie był to wyłącznie domysł.

Zapytałem:

— Byłeś pewny?

Odpowiedział, że tak. Chciałem się dowiedzieć, kto go poinformował.

— Ktoś, kogo ty nie znasz.

Nalegałem:

— Mężczyzna czy kobieta?

Udał, że nie jest pewny. Nie upierałem się przy tym pytaniu, bardziej interesowało mnie, od kogo otrzymał teleinstrukcje nakazujące wysadzić mnie na Ziemi. Tego nie wiedział. Przyszedł mi na myśl ojciec Trzynastki. To on zaproponował mi podróż. Ale o co by mu mogło chodzić? Chciał się mnie pozbyć z Księżyca? Czyżby z powodu córki?

— Milczysz. O czym myślisz? — spytał Dwaściadwa.

Spojrzałem na niego i odpowiedziałem własnym myśłem.

— Gdyby chodziło mu o to, abym jej nie widywał, czy nie wystarczyłoby zamknąć mnie w domu zdrowia?

— I narazić się na ryzyko, że spotkasz tam innych chorych albo kogoś z personelu i opowiesz im wszystko, a oni będą to dalej powtarzać.

Spytałem:

— Że opowiem komuś wszystko? To znaczy, co?

— Że wyjawisz znaną sobie tajemnicę. Tajemnicę na tyle ważną, że warto było skazać cię na dożywotnią banicję.

Nie, nie mogło tu chodzić o 5 i jego córkę. Jeszcze raz spytałem:

— Jaką tajemnicę?

— Tego nie wiem — stwierdził Dwaściadwa.

Spojrzał na zegarek umieszczony pod sufitem.

— Muszę wracać do pracy — oznajmił. — A ty odpoczywaj.

I nim wyszedł, dorzucił:

— Zaczynasz już coś rozumieć?

Nie, nic nie rozumiałem, miałem ochotę się przejść, tego ziemskiego przyzwyczajenia nabyłem na Ziemi, w pieczarze. Tu nie było na to miejsca. Chciałem przynajmniej wstać, a

choćby usiąść, by móc się lepiej zastanowić. Zapomniałem, że przytrzymują mnie immobilizatory magnetyczne.

Pozbyłem się ich i już miałem się podnieść, tymczasem nogi uniosły mi się do góry, zaczepiły o sufit i wywinąłem w powietrzu koziołka. Dotknąłem stopami ściany, znów uleciałem pod sufit. Uniosłem ramiona, aby się uchronić przed uderzeniem, ale ledwie dotknąłem sufitu, poleciałem w tył. Znalazłem się nad moim leżyskiem, uchwyciłem się go obiema rękami. Immobilizatory były obok. Nastawiłem je jak należy, woląc pozostać pod sufitem, i nagle odkryłem, że oto stoję na głowie z nogami w powietrzu, a cała kabina huśta się wokół mnie. Bardziej to odczuwałem niż podczas pierwszej podróży: przyzwyczailem się do tego, że na Ziemi wszystko jest ciężkie. Zacisnąłem powieki, poczułem, że padam, znów otworzyłem oczy i zobaczyłem, że leżę na moim leżysku i że wszystko łącznie ze mną znajduje się w kabinie na właściwym miejscu.

Nie mogłem usnąć, więc czuwałem. Moje myśli bujały swobodniej jeszcze niż ja przed chwilą, korzystając ze stanu mojej nieważkości umysłowej. Chciałem za wszelką cenę domyślić się, znajomość jakiej to tajemnicy wywołała moją deportację na Ziemię.

Musiało tu chodzić o coś istniejącego realnie, ale co mnie w swoim czasie niczym nie uderzyło. Mogło to być jakieś zdanie, które usłyszałem przypadkowo i które zapamiętałem nie rozumiejąc jego sensu i nie zdając sobie sprawy z jego wagi. Zacząłem przetrząsać własną pamięć.

Udało mi się wreszcie coś z niej wygrzebać: po mojej pierwszej wizycie 5 obejrzał moje akta medyczne. Oczywiście istniała możliwość — choć wydawała się mało prawdopodobna — iż zrobił to, choć uwierzył, że złożyłem wizytę jego córce. Już o tym kiedyś myślałem, ale teraz powiązałem to z teorią

odkrycia przeze mnie jakiejś tajemnicy. Ale czegoż to takiego mogłem — nie zdając sobie z tego sprawy — dowiedzieć się, żeby aż należało uciec się do zesłania mnie na Ziemię!

Znów usiłowałem odtworzyć w pamięci przebieg moich wizyt w mieszkaniu 5. A więc pierwsza, kiedy wszedłem tam przypadkiem i chodziłem jak po muzeum. Może to wówczas obejrzałem jakiś przedmiot, którego obecność stanowiła tajemnicę stanu. Przypomniałem sobie czarną błyszczącą maszynę, z której Trzynastka wydobyła następnie dźwięki muzyki. Cóż w niej było takiego szczególnego: wieko, klawiatura i dwa złote czy miedziane pedały, nic nie wyglądało specjalnie tajemniczo, z jednym może wyjątkiem — właśnie pedałów. Naokoło stało wiele innych przedmiotów o dziwacznych kształtach, ale nie wiedziałem, do czego one służą; być może, któryś z ich krył w sobie tajemnicę, dziś już jednak nie potrafię ich opisać. Za to dokładnie zapamiętałem, jak wyglądała pierwsza i jedyna książka, jaką widziałem w życiu, zapamiętałem nawet jej tytuł, choć go nie rozumiałem. Może to ten tytuł właśnie stanowił tajemnicę stanu. Ale jak to sprawdzić? Zapytać jakiegoś geolingwistę?

Zacząłem rozmyślać o drugim pomieszczeniu, o tej okrągłej salce, ale nic, co się w niej znajdowało, nie zatrzymało mojej uwagi. Publiczną tajemnicą było, że każdy z dziewięciu logików ma prawo do widoku przestrzeni kosmicznej. Może znajdowało się tam coś, czego istnienia nawet nie podejrzewałem? Uzyskałem jedną pewność: z tajemnicą zetknąłem się, nim jeszcze 5 zaproponował mi podróż na Ziemię.

Można było zresztą jeszcze bardziej ograniczyć pole badań. Logik odkrył moją obecność dopiero pod koniec mojej pierwszej wizyty, nie mógł zatem wiedzieć, ani kiedy przyszedłem,

ani co zobaczyłem. Podczas drugiej wizyty byłem sam na sam z Trzynastką. Pozostawała więc już tylko trzecia i ostatnia wizyta, a właściwie jej początek do chwili, kiedy logik zastał mnie w trakcie oglądania maszyny z pedałami, może więc ta ona zawierała w sobie tajemnicę, gdyż to tego właśnie dnia logik zaproponował mi podróż.

Wydawało mi się przez chwilę, że oto znalazłem rozwiązanie zagadki, ale zaraz przypomniałem sobie, że ojciec Trzynastki nie musiał bynajmniej być w domu po to, aby wiedzieć, co się w nim dzieje, istniały przecież ekrany śledcze, rejestratory i identyfikatory automatyczne i inne tego typu urządzenia. Mogłem więc zaznajomić się z tajemnicą w obojętnie którym momencie każdej z trzech wizyt, zatem należało się jeszcze raz zastanowić nad każdą z nich, przyjąwszy, że z tajemnicą zapoznałem się w kwaterze logika, czego nie mogłem być jednak pewny.

Znów więc przebiegłem myślą moje przygody na ruchomych jezdniach podczas wielkiej katastrofy i wszystko, co miało miejsce do momentu, gdy zaproponowano mi podróż na Ziemię. Usiłowałem uporządkować wspomnienia, ale nie udało mi się nawet zliczyć ich na palcach, które unosiły się niezależnie ode mnie, korzystając ze stanu nieważkości. Coraz to wynurzał się z pamięci jakiś nowy szczegół i łącząc z poprzednim zmieniał jego kształt i sens. Wydało mi się dla odmiany, że tajemnicę mogłem usłyszeć lub mogłem jej dotknąć w ciemnościach, które sprowadziła na Księżyc katastrofa, znów byłem przez chwilę pewien, że znalazłem rozwiązanie zagadki. Ale to wrażenie natychmiast prysło: równie dobrze mogłem natrafić na tajemnicę na dzień przed katastrofą, na rok, a nawet w czasach dzieciństwa.

Należało więc zająć się zebraniem wszystkich danych — czyli wszystkich momentów życia — sklasyfikować je według kategorii i zamienić w symbole... A potem i tak uda mi się tylko obliczyć stopień prawdopodobieństwa, więc to, co było tajemnicą, dalej nią dla mnie pozostanie. I nagle sny wydały mi się skuteczniejszym narzędziem osaczenia niewiadomej niż żmudny rachunek.

Nie wiem, czy zasnąłem. Jednego jestem pewien: nic mi się nie śniło. Odzyskałem świadomość, gdy bujająca dotąd w powietrzu ręka opadła mi na biodra. Wokół mnie wszystko wróciło na swoje miejsce, prawica była po prawicy, lewica po lewicy, sufit w górze. Podniosłem palec w stronę łuku znajdującego się nad moją głową i zauważyłem, że moje ramię znów odzyskało ciężar, choć nie ważyło już tyle co na Ziemi. Ruszyłem się: było to łatwe, czułem się, zgola niepotrzebnie, bardzo silny.

Już miałem wstać, kiedy Dwaściadwa pojawił się, by powiadomić mnie, że zbliżamy się do Księżyca. Miałem ochotę rozplakać się z radości. Dwaściadwa oznajmił, że ma zaledwie chwilę czasu, by dojsć ze mną do porozumienia. Powiedziałem: — Dobrze — nie wiedziałem jednak, o co mu chodzi. Dwaściadwa spytał:

— Co postanowiłeś?

— A propos czego? — zapytałem.

Sprecyzował:

— Co zrobisz po wylądowaniu?

Odpowiedź była prosta:

— Wrócę do pracy.

Wydawał się zdziwiony.

— Chciałem powiedzieć: *zaraz* po wylądowaniu.

Nie pomyślałem o tym.

— Powinieneś był pomyśleć — zauważył Dwaściadwa i

widząc, że nadal nic nie rozumiem, dorzucił: — A więc zdecydowałeś się przejść kwarantannę w domu zdrowia?

Pytał mnie już o to i wtedy odpowiedziałem mu, że wolałbym tego uniknąć, teraz jednakże zmieniłem zdanie, przecież nie miałem pewności, czy nie noszę w sobie jakiejś choroby. Lepiej będzie się o tym przekonać i ewentualnie leczyć.

— Już oni ci wymyślą jakąś chorobę — oznajmił Dwaściadwa. — I to niejedną. Parę ciężkich i oczywiście nieuleczalnych chorób.

Zaniepokoiłem się, a on wybuchnął śmiechem.

— Nie bój się o swoje zdrowie: to będzie tylko pretekst.

Wyraźnie lubił to słowo, a ja powtórzyłem je:

— Pretekst? Choroba będzie pretekstem?

— A może wolisz — zapytał — żeby cię z powrotem wysłano na Ziemię?

Moje myśli zachowywały się jak w strefie nieważkości. Tylko Dwaściadwa mógł mi pomóc w ich uporządkowaniu. Zapytałem:

— Z powodu tajemnicy?

— Więc w to nie wierzysz?

Pokręciłem głową.

Spojrzał na godzinnik.

— Przybędziemy za czterdzieści dwie minuty.

Oczami duszy zobaczyłem, jak znów siedzę w jaskini, a Sza myśli tylko, jak pozbawić mnie swobody ruchów, żebym nie mógł uciec na Księżyc. Powiedziałem:

— Zgadzam się starać uniknąć kwarantanny.

Dwaściadwa wyraźnie odczuł ulgę.

— Mamy dla ciebie bezpieczne schronienie — oznajmił i wymienił adres.

Chętnie odłożyłbym na jakiś czas badania i analizy, ale pod warunkiem, aby nie wymagało to ukrywania się w księżycowym odpowiedniku mojej ziemskiej jaskini. Powiedziałem:

— Ledwie udało mi się opuścić takie właśnie schronienie.

I dodałem:

— W takich warunkach lepiej bym zrobił zostając na Ziemi.

Dwaścjadwa słuchał w milczeniu nie spuszczać ze mnie wzroku, tyle że od czasu do czasu zerkał na godzinnik. Wreszcie powiedział:

— Nie zapomnij o jednym: nikomu nie wolno ci zdradzić daty i godziny twego powrotu na Księżyc.

— Czemu?

— Bo wtedy dowiedzieliby się, kto ci w tym dopomógł.

— Chodzi o ciebie?

— Nie tylko o mnie.

Zapytałem:

— No i co by się wtedy stało?

— Wtedy nie tylko ty znalazłbyś się w domu zdrowia.

Była to prawdziwa obsesja.

— Zamknięto by was także?

— Tak, nas także.

Trudno mi było w to uwierzyć, ale przypomniałem sobie N.T., który udawał, że nie widzi, jak wchodzę do astroplanu. Powiedziałem:

— Skinął ci ręką.

Dwaścjadwa odpowiedział:

— Możliwe.

Pytałem dalej:

— Jego także wsadzono by do domu zdrowia?

— Bez najmniejszej wątpliwości.

Chciałem pytać dalej.

Przerwał mi:

— Uzyskano by wówczas pewność, że znamy twoją sprawę. I zrobiono by wszystko, aby nas odizolować, nie tylko

zresztą nas, ale także i tych, którzy nam udzielili informacji, oraz tych, którym my mogliśmy coś zdradzić. Na przykład Trzynastkę.

Po raz pierwszy, odkąd się znaliśmy, udzielił mi wyraźnej odpowiedzi. Zapytałem bezmyślnie, czy ją zna. Nie odpowiedział mi, za to oświadczył:

— Z tym jest inaczej niż z twoją tajemnicą. Im mniej wiesz, tym lepiej dla wszystkich.

Nie rozumiałem. Wyjaśnił:

— Każdy klucz, który nosisz na kółeczku, dowodzi, że wiesz, co kryje się za jakimiś drzwiami, i będą cię o wszystkie wypytywać.

Znów nie rozumiałem.

Uśmiechnął się.

— To jest takie ziemskie przysłowie.

Zapytałem:

— Kim jest Trzynastka?

Odparkł:

— Nie wiem.

Zaczęła mnie ponosić złość. Dał mi znak, bym się uspokoił.

— Nie chcę nic przed tobą ukrywać — oznajmił — ale po co mam cię obciążać dodatkowymi kluczami? O ile wiem — dorzucił — Trzynastka miewa się dobrze.

Powiedziałem:

— Możesz ją uspokoić: nie mam żadnego klucza.

Dwaścjadwa musiał wracać do swoich obowiązków.

— Zrób, co możesz — polecił — aby przez cały dzień nie złapały cię białe fartuchy.

Znów się uśmiechnął:

— Tylko się nie pomył, ty Ziemiannie. Pamiętaj, że chodzi o dzień księżycowy.

Z kolei zażartowałem ja:

— Obiecuję, że nie dam się złapać przez cały dzień ziemski.

W tym momencie przypomniałem sobie o białym kamieniu. Wyrzuciwszy skórę pantery schowałem go pieczołowicie i zupełnie zapomniałem o jego istnieniu. Podąłem go Dwaściadwa mówiąc, że kamyk ten pochodzi z Ziemi, i poprosiłem, aby wręczył go Trzynastce.

Potem oddałem się oczekiwaniu. Nie zdawałem sobie sprawy, że lądujemy na Księżycu: nic nie poczułem. Zacząłem się zastanawiać, co zrobię, jeśli tym, kto po mnie przyjdzie, będzie biały fartuch. Nie znalazłem odpowiedzi. Wpatrywałem się w cyfry wyskakujące na godzinniku. Wreszcie zasnąłem.

Obudził mnie szept:

— Wszystko w porządku. Proszę za mną.

Był to jakiś nieznan mi człowiek w średnim wieku. Wyglądał na technika niewykwalifikowanego. Poszedłem za nim mrocznymi przejściami. Astroplan Księżyc-Ziemia świecił pustką. Wszystko milczało, my milczeliśmy także. Turyści dawno już opuścili aparat, opuściła go także ekipa. Mój przewodnik zatrzymał się: stanęliśmy na ruchomych schodach. Nadal nie było widać żywego ducha. Długo jechaliśmy w górę, wreszcie dostrzegłem ruchomą jezdnię.

— Na prawo — oświadczył T.N. — a na trzecim skrzyżowaniu proszę skrócić w lewo.

Powiedziałem: — Dziękuję — i rozstaliśmy się.

Z początku nie spotykałem wielu osób: widocznie wyszliśmy z kosmodromu przez zapasowe wyjście. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Skrzyżowania następowały jedno po drugim. Liczyłem do trzech, zmieniłem kierunek i znalazłem się na Księżycu.

Dwa równoległe ruchome pasma płynęły między murami w dwóch przeciwnych kierunkach na spotkanie telewiadomości. Idący do pracy tłoczyli się; jak zwykle byli wśród nich ludzie samotni, pary i grupki. Gawędzili lub przyglądali się obrazom, większość robiła i to, i to. Nikogo z nich nie znałem, wszyscy wydawali mi się znajomi, miałem wrażenie, że spotkałem już ich wczoraj, tu albo może gdzie indziej, wszystkie jezdnie na Księżycu wyglądały identycznie. To samo odnosiło się do telewiadomości. Na murach pojawiały się kolejno znane i nieznanne obrazy komentowane spieszными głosami spikerów i komentatorów, przerywanymi od czasu do czasu odrobiną muzyki. Umieszczone nad każdym skrzyżowaniem godzinniki wskazywały czas. Odnajdowałem znane mi, niemal niewidoczne znaki: tu nie można się było zgubić tak jak w ziemskim lesie.

Znalazłem się w pobliżu mojej kwatery. Postanowiłem unikać miejsc, gdzie ktoś mógłby na mnie czekać — jeżeli podejrzenia Dwaścjadwa były słuszne i jeżeli dotarły tu już wieści o moim powrocie. Było to mało prawdopodobne, ale lepiej było wszystko przewidzieć. Istniała też możliwość, że

przypadkowo natknę się na jakiś biały fartuch, który też przypadkowo zwróci uwagę na moją fiszkę tożsamości. Nagle, po raz pierwszy od chwili, kiedy opuściłem Ziemię, pomyślałem, że przecież umieszczona na moim nowym kombinezonie fiszka tożsamości nosi nie mój numer. Wściekły byłem, że nie wypytałem o to Dwaściadwa: ale jeżeli zdobył dla mnie fałszywe dokumenty, oznaczało to, że jego obawy nie były pozbawione podstaw. Jednakże tylko z rzadka widziałem gdzieś jakiś biały fartuch. Niemniej wolałem trzymać się od policji medycznej z dala i stałem na środku jezdni, kryjąc się w tłumie.

Zapomniawszy o telewiadomościach, obserwowałem sąsiadów, aż nagle zdałem sobie sprawę, że wszyscy podnieśli głowy, a na twarzach pojawił się wyraz ożywienia. Przed nami przesuwał się obraz groty. Była znacznie większa od tej, w której błędziłem uciekwszy z jaskini Sza, ale skaliste ściany wyglądały podobnie, pomyślałem więc, że musi to być grotka ziemska. Tymczasem po paru taktach muzyki zabrał głos komentator i powiadomił nas, że grotka Kontynuacji znajduje się na Księżycu w pobliżu zamieszkałej strefy i że została tak nazwana, gdy postanowiono ją zagospodarować. Światło wydobyło z mroku skaliste ściany groty, potem znikło, a potem skoncentrowało się na grupce wielkich techników. Siedzieli oni w swym laboratorium, przygotowując sprawozdanie w sprawie przyłączenia groty, co umożliwi wkrótce zwiększenie zaludnienia Księżyca. Spiker podniósł głos, by oznajmić:

— O dziesięć tysięcy osób.

Po czym wdał się w detale, których już nikt nie słuchał.

Ludzie idący do pracy zachowywali się tak spokojnie, telewiadomości były tak barwne, policja medyczna do tego stopnia nie interweniowała, że odniosłem wrażenie, iż wróciłem w czasy sprzed wielkiej katastrofy i psychoepidemii. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy ta ostatnia nie wywołała

wśród ludzi predysponowanych do choroby manii prześladowczej i czy nie ulegli jej najpierw Dwaściasztery, a obecnie Dwaściadwa.

Postanowiłem poddać się badaniom w domu zdrowia: choroby ziemskie były niewątpliwie znacznie niebezpieczniejsze od naszych, obiecałem jednak poczekać z tym do końca dnia. Nie wróciłem więc na moją kwaterę ani nie poszedłem do sali pracy, nawet się do niej nie zbliżyłem, nie wszedłem też do mego centrum alimentacyjnego i wybrałem nieznaną mi dotychczas centrum rozrywek.

Tam także odnalazłem stan rzeczy sprzed epidemii. W centrum było pełno, ludzie zbierali się w grupki, by wspólnie się pośmiać, jedni przyglądali się, jak komputery poruszają na szachownicach króle i królowe, koniki i laufry, inni sami zabawiali się w gry logiczne lub rozwiązywanie antyrównań.

Stałem na uboczu, obawiając się wpaść na kogoś znajomego, ale tego nie uniknąłem. Pojawił się przede mną ktoś, kogo znałem z mojego centrum rozrywkowego. Nie zdążyłem się odsunąć, ale przeszedł nie patrząc na mnie, odwrócił się nawet plecami, a ja oczywiście nie spytałem go, po co tu przyszedł. Widać i on unikał miejsc, do których zwykle uczęszczał, widać i on nie chciał zostać rozpoznany. Pomyślałem tak i zaraz zacząłem sobie wyrzucać, że oto nieświadomie ulegam wpływom Dwaściadwa i jego teorii. Wydawały mi się dalej irracjonalne, niemniej odczułem ulgę rzuciwszy okiem na swój fałszywy numer.

Fakt, że omal nie zobaczył mnie ktoś znajomy, przekonał mnie, iż powinienem unikać nawet i takich miejsc, gdzie nigdy nie bywałem; lepiej było opuścić cały ten sektor, gdzie sypiałem, pracowałem, odżywiałem się i odpoczywałem. Przesiadłem się na inną jezdnię i zjechałem schodami ruchomymi w dół, w najniższe rejony, gdzie bywałem rzadko i gdzie nikt mnie nie znał.

Tu ruchome jezdnie nie poruszały się tak bezszelestnie jak na wyższych piętrach, przejścia były węższe, mury brudniejsze. Było ciemniej, duszniej. Najbardziej jednak zadziwił mnie wygląd niewykwalifikowanych techników idących do pracy lub powracających na kwatery.

Szli milcząc, czasem ktoś coś szepnął, nie słychać było śmiechu. Ale nie wyglądało na to, aby o czymś rozmyślali. Musieli się przecież nawzajem znać, ale zamiast porozmawiać wymieniali co najwyżej pół uśmiechu lub skinienie głową. Tylko raz minąłem jakieś przedsiębiorstwo, jezdnia opróżniła się, N.T, pobiegli w stronę wejścia, zatrzymując się najpierw przed pielęgniarzami, aby pokazać im swoją fiszkę tożsamości, którą potem podsuwali pod kontrolny aparat. Na jezdni pozostało nas najwyżej sześć osób.

Poczułem niepokój, ale na następnym skrzyżowaniu na jezdnię rzucił się tłum, który wyszedł z jakiejś innej fabryki. Powracający z pracy mężczyźni i kobiety wymieniali jakieś pojedyncze słowa, pozdrawiali się krótkimi gestami, niektórzy wyglądali tak, jakby drzemali, większość patrzyła przed siebie pustym wzrokiem, zaledwie kilka osób, i to z roztargnieniem, przyglądało się telewiadomościom. Obraz był mniejszy, raczej wyraźny, a komentatorzy przemawiali tak, jakby zwracali się do uczniów: wszystkie sformułowania zostały uproszczone, brzmiały krótko i kategorycznie. Udzielali porad dotyczących rozrywek, psychohygieny jako takiej, omawiając bardziej szczegółowo profilaktykę antypsichoasteniczną, uciekali się oczywiście do wymowy obrazów opowiadających niby to autentyczne historyjki, które bądź to kończyły się tragicznie, bądź optymistycznie.

Wkrótce zdałem sobie sprawę, że otaczający mnie ludzie, zamiast patrzeć na telewiadomości, wpatrywali się we mnie.

Pomyślałem, że ktoś mnie rozpoznał i podzielił się tą wiadomością z sąsiadami. Ale równocześnie wydało mi się to nieprawdopodobne. Nikt nie mógł wiedzieć, kim jestem, tylko niewielka grupka ludzi była poinformowana o mojej podróży na Ziemię, a o tym, że wróciłem, wiedział tylko Dwaścjadwa i być może paru jego kolegów. W dodatku starałem się stać w takiej pozycji, by każdy mógł zobaczyć moją fiszkę tożsamości opatrzoną fałszywym numerem. Udawałem, że nic nie zauważyłem, i z kolei starałem się możliwie niepostrzeżenie przyrzyć moim sąsiadom.

Na twarzach N.T, malowało się zdziwienie, ciekawość i pewna podejrzliwość. Do tej pory, nie chcąc ściągać na siebie uwagi, nie patrzyłem na ludzi, a teraz uderzył mnie widok ich twarzy, które wyglądały inaczej, bardziej szaro niż twarze ludzi z wyższych rejonów. Skóra była sucha i pomarszczona, usta bezbarwne. Najbardziej zdziwiły mnie utkwione we mnie oczy, matowe i pozbawione wyrazu; oczywiście, że musieli zorientować się, iż nie jestem mieszkańcem najniższych rejonów, ale przecież nie po raz pierwszy spotykali wykwalifikowanego technika: im zdarzało się przebywać w naszych rejonach i nam zjeżdżać do nich.

W pewnej chwili zobaczyłem kogoś, kto chciał się odezwać do sąsiada, ale ten, nie spuszczając ze mnie wzroku, pokręcił przecząco głową i sąsiad umilkł. Równocześnie przypomniałem sobie, że nabrałem ziemskiego koloru skóry, którego nikt tu nie znał i nie mógł odgadnąć jego pochodzenia, i zacząłem rozumieć ich zdziwienie. N.T, myśleli prawdopodobnie, że choć jestem Księżyczaninem tak jak oni, muszę należeć do wąskiego grona wielkich techników, których co najwyżej oglądali na telewiadomościach, stąd moja obecność intrygowała ich i nakazywała czujność.

Przypomniałem sobie, że to wśród nich psychoepidemia

poczyniła największe spustoszenie i że niemal wszyscy zostali poddani szczepieniom, prawdopodobnie ten powracający z pracy tłum składał się w większości ze świeżych rekonwalescentów. Staralem się odszukać w pamięci opowieść znajdującego się obecnie w domu zdrowia Czterścudwa. On, który często jeździł jezdniami najniższych rejonów — i pewnie dlatego właśnie zaraził się — opowiadał mi przecież, że szczepienia wśród N.T, wywołały w nich skłonność do odpowiadania na najbardziej niedyskretne pytania. Prawdopodobnie jak najniesłuszniej zdecydowałem się ukryć właśnie tutaj, wśród tych mężczyzn i kobiet: choć nikt nie mógł mnie poznać, każdy mógł donieść o mojej tu obecności. Głos komentatora przerwał muzykę i oświadczył:

— Grota Kontynuacji.

Moi sąsiedzi podnieśli wzrok na telewiadomości.

— Jest to ewenement historyczny. Upoważni do narodzin dziesięciu tysięcy nowych Księżyczan. Pierwszeństwa udzielono technikom niewykwalifikowanym. Wasze wnuki będą żyć w lepszych niż wasze warunkach.

Otoczający mnie N.T, przyjęli tę wiadomość z pełną apatią.

— Wspaniałe perspektywy, powietrze zawierać będzie ten sam procent tlenu co powietrze rejonów średnich! — zawołał komentator i znów rozległa się muzyka.

Zbliżaliśmy się do skrzyżowania. Spojrzałem na godzinnik: daleko było jeszcze do końca dnia. Zszedłem z jezdni, udałem się w stronę ruchomych schodów i nagle zobaczyłem jakieś centrum rozrywki.

Lokal wyglądał skromniej niż te, do których przywykłem. Panowało w nim przepełnienie. Wśród tłumu byli tacy, co wyszli akurat z pracy i zmęczeni spali z otwartymi oczyma. Byli też tacy, co za chwilę mieli iść na swoją zmianę, ale pod wpływem środków uspokajających, które odurzyły ich nie

poprawiając nastroju, podskakiwali, gdy ktoś się do nich nagle odezwał. Byli to niewykwalifikowani technicy. Nieliczne siedzące miejsca były zajęte, reszta osób stała, tłocząc się przed elektronicznymi grami. Lokal był lepiej oświetlony niż jezdnie, toteż mizerny wygląd ludzi bardziej rzucał się w oczy.

Liche komputery nie grały tu w szachy, lecz w warcaby, na teleekranach rozgrywały się pełne rubasznym żartów kome-dyjki, a każda z nich kończyła się stosownym morałem. Po-przez dźwięki mechaniczne docierał do mnie szmer głosów ludzkich, ale nie mogłem odróżnić słów. Zacząłem się rozglą-dać i stwierdziłem, że ludzie, rzekomo wpatrzeni w ekran, rozmawiają z sobą, ale niemal nie poruszają wargami i mówią głosem tak cichym, że niemal niesłyszalnym. Dostrzegłem to tylko dlatego, że na Ziemi przywykłem wsłuchiwać się w naj-różniejsze odgłosy.

Zacząłem chodzić od grupki do grupki w nadziei, że uda mi się podchwycić choćby jedno słowo, ale gdziekolwiek pod-szedłem, szept milkł. Nikt z obserwowanych przeze mnie ludzi na mnie nie patrzył, parokrotnie jednak podchwyciłem czyjeś spojrzenie utkwione niby to w przestrzeń, ale o parę centymetrów od mojej twarzy. Centrum rozrywki milczało na skutek mojej w nim obecności.

Jeszcze raz powtarzałem sobie, że nikt mnie tu nie może znać i że niesłusznie postępuję ściągając na siebie ogólną uwagę. Wystarczyłoby, aby ktoś opisał mój wygląd, a choćby moją cerę, i każdy oficer medyczny zrozumiałby, że chodzi o przybysza z Ziemi. Znow przypomniałem sobie opowiadanie Czterścudwa o naiwnej prostoduszności N.T, i ruszyłem ku wyjściu, rozglądając się na prawo i na lewo, ale starając się unikać wzroku innych.

Przez nikogo nie niepokojony wsiadłem na schody ruchome, które zawiozły mnie na skrzyżowanie tuż koło mego sektora. Biały fartuch, który stał pod godzinnikiem, nawet na mnie nie spojrział, wsiadłem więc na najbliższą jezdnię i oddaliłem się, powtarzając sobie, że zanim podejmę jakąś decyzję, musi upłynąć wiele godzin. Dalej nie podzielałem obaw Dwaściadwa, ale czułem niepokój, który wzbudziły we mnie spojrzenia N.T., ich szept, a jeszcze bardziej ich milczenie.

Na Ziemi nabrałem nowych przyzwyczajzeń, teraz brakowało mi wielu rzeczy. Głosu wody i głosu wiatru, zapachu i smaku przedmiotów, nawet deszczu i zimna, a najbardziej ognia. Przywykłem do Sza, do jej ptasiego głosu, gwałtowności pantery, dotyku piersi. Starąłem się wyobrazić sobie, jak skacze ze skały na skałę prześlizgując się między drzewami, jak mnie szuka, i nie widziałem telewiadomości, choć wpatrywałem się w nie bez przerwy.

Istniała tajemnica, którą poznałem nic o niej nie wiedząc, i to jej zawdzięczałem moją podróż. Nie myślałem już o Dwaściadwa, z Sza myśl moja przeskoczyła na Trzynastkę, potem na fragment starej piosenki, która zaginęła, a w której była mowa o nikomu nieznanym słowie, jakie należało napisać. Tamtego dnia Trzynastka, nic nie mówiąc wprost, starała się dać mi coś do zrozumienia za pomocą aluzji i podtekstów. Nic nie wspomniała o tajemnicy, ale nakazywała mi ostrożność.

Nie umiałem niczego rozwikłać, pamięć nie chciała mi przyjść z pomocą, zrozumiałem tylko jedno: Dwaściadwa nie mylił się sądząc, że grozi mi niebezpieczeństwo. Na pierwszym skrzyżowaniu przesiadłem się, omijając biały fartuch, na inną jezdnię i ruszyłem w stronę kwatery Trzynastki. Tylko ona mogła mi wszystko wytłumaczyć. Z daleka rozpoznałem galerię, która prowadziła do małej prywatnej windy. Nikt nie pilnował wejścia. Już miałem zejść z jezdni, gdy usłyszałem z tyłu cichy głos kobiety:

— Nie schodź. Jedź dalej.

Chciałem na nią spojrzeć. Szepnęła:

— Nie odwracaj się, patrz przed siebie.

Rozpoznałem głos. Trzynastka mówiła mi ty. Nie zdziwiło mnie to. Zapytałem:

— To ty?

Odpowiedziała:

— Tak.

— Wraciałś do domu?

— Nie. Czekałam na ciebie.

O mało się nie odwróciłem.

Powtórzyła:

— Patrz przed siebie. Udawaj, że się nie znamy.

Zapytałem:

— Wiedziałaś, że przyjdę?

Odparła:

— Tak.

Dodała:

— Nie tylko ja. Czekają na ciebie także i inni.

— Kto?

— Policja medyczna. Gdybyś wszedł do mnie, już byś się znajdował w domu zdrowia.

Pomyślałem: „No tak, z powodu pobytu na Ziemi” — i oświadczyłem: — Pewnie boją się, że przywlokłem jakąś chorobę.

Szepnęła:

— Boją się, że zaczniesz mówić.

Byliśmy już blisko skrzyżowania i otaczający nas ludzie, którzy szli do pracy, zesli z jezdni, by wsiąść na schody. Chciałem z tego skorzystać i spojrzeć na Trzynastkę, ale mi nie pozwoliła. Minęliśmy biały fartuch. Zapytałem patrząc prosto przed siebie:

— Od dawna na mnie czekasz?

Chodziło mi o to, ile godzin.

Szepnęła mi na ucho:

— Od twojego odjazdu.

Nie wolno mi było spojrzeć jej w oczy. Zapytałem:

— Kto się boi, że zacznę mówić, i o czym to niby miałbym mówić?

Nie odpowiedziała.

— Chciałabym usłyszeć wszystko o twoim pobycie na Ziemi, ale dziś nie powinniśmy długo zostać razem.

Mówiła cicho i szybko.

Oto od jakiegoś już czasu niewykwalifikowani technicy zaczęli burzyć się i złorzeczyć. Zdarzało się to także wśród techników wyspecjalizowanych.

Czułem, jak palcami muska mój kark.

Spytała:

— Tobie się to nie zdarzało?

Chwilę wahalem się i odpowiedziałem:

— Może.

Spytała:

— Wiesz, dlaczego?

Nigdy o tym nie myślałem. Choć wpatrywałem się w biegnące nam naprzeciwko drugie pasmo jezdni, widziałem dwa Księżycy na ziemskim niebie.

Odparłem:

— Z nudów.

— A z N.T, sprawa była jeszcze poważniejsza. Powinieneś obejrzeć sobie najniższe rejony.

Skinąłem głową.

— Obejrzałem.

Spytała:

— Widziałeś więc, że oni nie mają siły nudzić się.

— No i co?

— Wysuwali nowe żądania.

— Na przykład jakie?

— Mniej godzin pracy i więcej powietrza nadającego się do oddychania.

Znaleźliśmy się na następnym skrzyżowaniu i na jezdnię wsiadł znowu tłum, otaczając nas ze wszystkich stron.

— Logicy uznali za niezbędne poddać kuracji wszystkich niezadowolonych, uważając ich za przyszłych chorych.

Nasi sąsiedzi rozmawiali spokojnie ze wzrokiem utkwionym w telewiadomościach.

Spytałem:

— Chcesz powiedzieć, że udało się ich wszystkich uzdrowić?

Nie odpowiedziała. Pytałem więc dalej:

— A co z tą tajemnicą, która jakoby znajduje się w moim posiadaniu?

— Czy możesz sobie wyobrazić, aby białe fartuchy zatrzymywały na jezdniach wszystkich przechodniów i chodziły od kwatery do kwatery bez uprzedniego wytłumaczenia?

Pytanie to wydało mi się bez sensu: przecież cały Księżyc wiedział o istnieniu psychoepidemii.

— A jeśli psychoepidemię wymyślono?

Znów znaleźliśmy się na skrzyżowaniu i tłum rzucił się w kierunku ruchomych schodów. Zostaliśmy niemal sami na jezdni i Trzynastka odsunęła się ode mnie, udając, że mnie nie zna. Po raz wtóry chciałem spojrzeć na nią przez ramię.

Zawołała:

— Uwaga!

Pomyślałem na głos:

— A więc na tym polega tajemnica? Że psychoepidemię wymyślono?

— Część tajemnicy — odparła Trzynastka.

— Ależ ja nic o tym nie wiedziałem!

— Tajemnica składa się z dwóch części.

Na próżno zacząłem szukać w pamięci, nic w niej nie znalazłem, i zauważyłem:

— Jeśli chodziłoby tylko o to, aby leczyć pacjenta, który nie życzy sobie kuracji, wystarczyłoby go do niej zmusić.

— A jeśli pacjentów takich byłoby bardzo wielu?

Na sąsiednim paśmie zobaczyłem zbliżający się ku nam biały fartuch. Oficer nie spuszczał ze mnie oczu. Udałem, że tego nie dostrzegłem.

— Już na ciebie nie patrzy — szepnęła Trzynastka.

— Na czym ma polegać druga część tajemnicy? — spytałem.

Odpowiedziała pytaniem:

— Czy nie przyszło ci na myśl, że jest to zainscenizowane widowisko?

— Widowisko trzymane w tajemnicy?

— Wręcz przeciwnie.

Znów znaleźliśmy się na skrzyżowaniu i spieszący do pracy tłum wszedł na jezdnię.

— Rozpoczynasz widowisko — powiedziała Trzynastka — w którym ludzie zdrowi grają role chorych. Wszyscy trochę sfrustrowani przyłączają się do nich i epidemia się rozszerza.

Jeśli chcesz, aby to była wielka epidemia, nie wystarczy psychodrama, potrzeba psychotragedii. Przyjrzyj się otaczającemu nas tłumowi. Wyobrażasz sobie, jak by się zachowywał, gdyby usłyszał, że nadchodzi koniec świata?

Nie musiałem sobie tego wyobrażać. Zapytałem:

— A więc wielka katastrofa?

— Wielka katastrofa usprawiedliwiła wybuch epidemii, która z kolei usprawiedliwiła zastosowanie kuracji.

Poczułem rozczarowanie:

— A więc to jest ta wielka tajemnica?

Czułem, jak usta Trzynastki dotykają mego ucha:

— Człowiek, któremu powierzono wywołanie katastrofy — szeptała — miał przyjść złożyć sprawozdanie mojemu ojcu. Spóźnił się. Pomyślałam, że to ty nim jesteś, i tak samo pomyślał mój ojciec. Gdybyś przypadkiem zrozumiał, o co chodzi, i N.T. dowiedzieli się, że postanowiono położyć kres ich żądaniom za pomocą środków psychofarmaceutycznych, operacji neurochirurgicznych i psychoterapii, gdyby wiadomości o tym rozeszły się w najniższych rejonach, byłby to kres panowania logików, wielkich techników, komentatorów i oficerów medycznych.

Poczułem tak silny zawrót głowy, że wydało mi się, iż Trzynastka krzyczy. Nade wszystko odczuwałem potrzebę skupienia myśli. Wokół mnie wszyscy rozmawiali: nie rozumiałem ani słowa. Z murów przemawiał spiker; nie słuchałem go. Ale dolatywało do mnie każde wypowiedziane ledwie słyszalnym szeptem słowo Trzynastki. Chciała się dowiedzieć, czy wszystko zrozumiałem, czy zgadzam się, czy gotów jestem jej dopomóc. Dwukrotnie skinąłem głową, potem spytałem, w czym mogę być użyteczny. Powiedziała:

— Sprowadziliśmy cię na Księżyc, bo trzeba nam twojej pomocy.

Pomyślałem o Dwaściadwa.

— O niczym mnie nie uprzedził.

— A czy obdarzyłeś go zaufaniem?
— Niezupełnie.
— On także tobie nie ufał. Podejrzliwie odnosimy się na wet do własnych słów. Ale powiemy ci, o co chodzi.
— Kto powie?
— Dwaścjadwa dał ci adres. Na następnym skrzyżowaniu rozstanę się z tobą i wrócę do domu. Ty pojedziesz dalej.
Zgodziłem się. Trzynastka powiedziała:
— Uważaj!
Odpowiedziałem:
— Pilnuj się.
Trzynastka dodała:
— Następnym razem, o ile do następnego razu dojdzie, opowiesz mi o Ziemi. Dziękuję za biały kamyk.
Zeszła z jezdni. Zamiast pojechać dalej, też zszedłem z jezdni i chwilę odczekałem. Kiedy zobaczyłem, że Trzynastka stoi na biegnącym w moją stronę paśmie, wszedłem z powrotem na pasmo biegnące w przeciwnym kierunku.
Zbliżając się patrzyliśmy sobie w oczy. Trzynastka miała dalej trójkątne usta i małe owalne piersi, tak jak tamtego dnia, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w błękitnej poświacie Ziemi. Pomyślałem sobie, że oto widzę ją może po raz ostatni, to samo pomyślałem uciekając od Sza i już jej nie zobaczyłem, nie wymieniłem z nią pożegnalnego uśmiechu. Trzynastka nie uśmiechnęła się, nie mogła tego zrobić, minęliśmy się pod godzinnikiem, a obok stał biały fartuch bacznie nas obserwując. I oddaliliśmy się od siebie, nawet się obejrzawszy.

Jechałem przed siebie usiłując odtworzyć w myślach przebieg moich wizyt u Trzynastki, rozmowy z nią i z jej ojcem. Każdy szczegół stanowił potwierdzenie tego, co mi ona obecnie opowiedziała. Wtedy nic nie zauważyłem, a potem wiele godzin, wiele nocy ziemskich i księżycowych spędziłem usiłując zrozumieć, co zaszło. Każde wytłumaczenie wydawało się prawdopodobne, poczynając od książki, a kończąc na złożonych pedałach, nie zapominając o możliwej zazdrości ojca. Gotów byłem przyjąć każde rozwiązanie zagadki z wyjątkiem właściwego. Uważałem za niewykluczone, że 5 był zakochany we własnej córce, tajemnicę mego zesłania na Ziemię kryło dla mnie przez chwilę nieznanne słowo ziemskiej piosenki o świetle Księżyca, ale gdyby Trzynastka lub jej ojciec próbowali mi udowodnić, że wielką katastrofę spowodowali logicy, powitałbym ich słowa śmiechem.

Nawet teraz, choć chętnie przyznałem, że pomyłono mnie z tym, który miał zdać sprawozdanie z początku katastrofy, trudno mi było uwierzyć we wszystko. Nawet teraz myślałem, że może należało uciec się do sfingowania katastrofy, a nawet do wywołania pseudoepidemii, po to by leczyć i uzdrowić prawdziwych chorych.

Zbliżaliśmy się do skrzyżowania, na którym miałem się przesiąść, aby udać się na kwaterę, gdzie — sądząc ze słów Trzynastki — miałem spotkać Dwaściadwa.

Zszedłem z jezdni i już miałem wejść na ruchome schody, gdy zobaczyłem centrum alimentacyjne. Nie wyzbyłem się jeszcze nowych przyzwyczajęń: odczuwałem głód. Poszedłem wraz z tłumem spieszącym, by się pożywić, myśląc w głębi ducha, że nie mógłbym sobie na to pozwolić, gdybym zachował starą fiszkę tożsamości.

Od wielu miesięcy nie pojawiałem się w mojej sali pracy i aparat kontrolny nie rejestrował mego numeru przy wejściu i wyjściu. W rezultacie komputer, zamiast przydzielić mi ekwiwalent mojej pracy w karmie, zasygnalizowałby moją nieobecność policji medycznej, której obowiązkiem było odnaleźć zaginionego i przyjść mu z pomocą. Gdybym w tym stanie rzeczy wszedł do centrum alimentacyjnego, mój dawny numer zarejestrowany przez aparat kontrolny sprowadziłby mi natychmiast na kark policję medyczną.

Upewniłem się, że nikt mnie nie obserwuje, wziąłem parę tubek z karmą i zabrałem się do ich konsumpcji, nie pomyślawszy nawet, że fałszywy numer może okazać się równie niebezpieczny. Czy należał do kogoś innego? Wątpliwe: byłoby to zbyt ryzykowne. Był to więc numer niczyj? Prawdopodobnie. Zatem skoro nie istniał nikt, kto miał go prawo nosić, jego rejestracja musiała wywołać natychmiastowy alarm i interwencję przebywających tu służbowo oficerów medycznych, którzy natychmiast spróbują skontrolować w centralnej kartotece, kim jest nosiciel fałszywego numeru, i — o ile zajdzie potrzeba — poddać go kuracji.

— 662 933 — oznajmił męski głos i zobaczyłem przed sobą biały fartuch.

Chciałem mu coś odpowiedzieć, ale gdy odzyskałem przytomność, znajdowałem się w komórce domu zdrowia, gdzie przebywam dotąd.

Nie wiem, jak długo spałem ani co się ze mną wówczas działo. Straciłem pamięć w chwili, gdy biały fartuch wywołał

mój numer, odzyskałem ją, gdy obudzono mnie, a może tylko pozwolono mi się obudzić. Przede mną stało kilku oficerów zdrowia. Uśmiechali się do mnie i przemawiali łagodnym tonem, pytając tylko o jedno: jak się czuję. Było mi słabo i czułem się tak zbity z tropu, że odpowiedziałem lekkim ruchem ręki i znowu zamknąłem oczy. Jeden z nich szepnął: — Dajmy mu spokój — i zobaczyłem, jak na palcach wycofują się za góry Sza. Już miałem zapaść w sen, gdy nagle jakaś klapka otworzyła się w mej pamięci i zawołałem — czy też raczej wydało mi się, że wołam: — „Kwarantanna!” — gdyż nikt na ten mój rzekomy krzyk nie zareagował. Zasnąłem.

Otaczały mnie dźwiękoszczelne mury, żaden dźwięk nie dobiegał z zewnątrz, wszystko działo się wewnątrz mej głowy. Ruchoma jezdnia przecinała las. Leżałem obok ogniska. Wszedł mój pielęgniarz, jakiś N.T., sprawdził, jak działają urządzenia dostarczające mi powietrza i światła, i bez słowa wyszedł. Znow zasnąłem.

Wrócili oficerowie medyczni. Nie spałem już i zaraz ich zapytałem, czy moja kwarantanna nie dobiega jeszcze końca. Wymienili spojrzenia i jeden z nich odpowiedział mi, że wszystko jest na dobrej drodze. Powiedział dokładnie:

— Wszystko w porządku.

Jego słowa zatrwożyły mnie: jeśli stara się mnie uspokoić, to znaczy, że ma dla mnie złe wiadomości. Spytałem, czy moją kuracją zajmują się geospecjaliści. Nikt mi nie odpowiedział. Zapytałem, czy analizy wykazały obecność jakichś ziemskich mikrobów. Nadal nic nie odpowiadali. Zacząłem się denerwować: w końcu miałem prawo dowiedzieć się, czy podczas pobytu na Ziemi nie złapałem jakiejś choroby. Słyszac to oficerowie znow wymienili spojrzenia, pilnie unikając mego wzroku.

Ten, który wydawał mi się szefem, oznajmił, iż nie mam

powodów do niepokoju: wszystkie mikroby z łatwością da się zlikwidować, tyle że identyfikacja ich musi potrwać czas jakiś, zważywszy na ich różnorodność, istnieje bowiem dziesięć tysięcy rozmaitych gatunków bakterii. Zacząłem nalegać, odpowiedzieli, że w pełni rozumieją moją niecierpliwość i zrobią, co będą mogli, by jak najspieszniej uzyskać wyniki analiz. W ten sposób, nie mówiąc tego wyraźnie, przyznali jednak, że jestem chory, i zalecili mi, abym jak najwięcej spał i odpoczywał.

Upłynął spory szmat czasu, nim znów powrócili do mej celi. Leżałem w niej samotnie, widując tylko stale tych samych pielęgniarzy, którzy zmieniali się co pięć godzin. Zajmowali się mną przynosząc tubki z karmą całkowicie wyzbytą smaku i towarzysząc mi podczas spaceru ruchomym korytarzem, białym i kolistym, skonstruowanym tak, że wykluczał spotkanie kogoś, a po dziesięciu minutach człowiek znajdował się w miejscu, z którego wyszedł — u wejścia do swojej komórki. Mogłem taki spacer powtórzyć, lecz nie miałem na to ochoty.

Zaden z pielęgniarzy nie odzywał się do mnie ani słowem, sprawiali także wrażenie, jakby otaczała ich pustka nie przenosząca dźwięków. Jeśli wyrażałem jakieś pragnienie, spełniali je natychmiast, ale choć widzieli wszystko, nie patrzyli nigdy na mnie, patrzyli poprzez mnie. Odróżniałem jednakże jednego z nich — był to człowiek starszy, nosił numer 776 291 — a to dlatego tylko, że od czasu do czasu uśmiechał się.

Kiedyś odezwałem się do niego, lecz on mi nie odpowiedział. Nalegałem. Dziewięciątjedn pokręcił przecząco głową i znów się uśmiechnął. Wiedziałem o nim tylko tyle, że tak jak inni pielęgniarze jest zwykłym N.T. Oficerowie medyczni byli znacznie bardziej rozmowni.

Stale przychodzili ci sami oficerowie. Zaczęłem ich rozpoznawać. Oświadczyli mi, że komputer diagnostyczny nie zidentyfikował jeszcze moich mikrobów, tak jak się zresztą tego spodziewali. Nie zadawali mi żadnych pytań, nie udawali, że nic nie wiedzą o mojej podróży na Ziemię, ale nigdy o tym nie wspominali, dając tylko do zrozumienia, iż na pewno nie znam ostatnich wydarzeń na Księżycu i pragnę o nich usłyszeć.

Ze szczególną drobiazgowością opowiadali mi o swej walce z psychoepidemią. Usiłowałem sprawdzić, czy wiedzą, że była to neuropsychoza spowodowana sztucznie. Trudno się było zorientować, bowiem oni — omijając przykre aspekty sprawy — opowiadali śmieszne historyjki, jak na przykład tę o przydzielaniu pacjentom — zgodnie z ich wyborem — pigułek prowadzących miłe sny. Było czternaście rodzajów snów: sen miłosny, sen o sukcesie, sen o komforcie itd, itd. Oficerowie opowiadali o nich z uśmiechem, nie przestając jednak mnie obserwować — tak jak za każdym razem, gdy mówili o psychoepidemii. Potem zaś zaczęli mi opowiadać anegdotki o wielkiej katastrofie.

Zawsze pełni uwagi i uprzejmości, co chwila składali mi wizyty. Rzucali okiem na wykresy snów, aby sprawdzić, jak wygląda krzywa moich marzeń sennych, i zadawali mi oględne pytania, a ja odpowiadałem wymijająco. Zaczęli mnie denerwować. Chciałem podzielić się moimi uczuciami z tym starszym pielęgniarzem, Dziewięćsiątnym, ale on przyłożył palec do ust, dając mi znak, bym umilkł. Na migi wyjaśnił mi, że każde wypowiedziane w mej komórce słowo zostaje zarejestrowane. Powinienem być się tego spodziewać, za to oficerowie zdrowia nie domyślali się, że na Ziemi nauczyłem się rozmowy na migi. Od chwili kiedy Dziewięćsiątny ostrzegł mnie, miałem ochotę wypytać go o wiele rzeczy, a gdy tylko

zacząłem gestykulować, przekonałem się, że ten język nie jest mu obcy.

Ruchem ręki zapytałem go, gdzie mieszka. Wskazał palcem w dół, to było jasne: zamieszkiwał najniższe rejony. Mogłem się tego spodziewać, skoro był N.T., pierwszym N.T., z jakim miałem okazję rozmawiać od chwili mego powrotu z Ziemi.

Chciałem go dalej wypytywać, kiedy przypomniałem sobie – trochę za późno – że jeżeli komórka jest zaopatrzona w ekran podsłuchu, to rejestracji ulegają nie tylko moje słowa, ale także i ruchy. A obserwatorzy potrafią równie dobrze, albo nawet i lepiej niż pielęgniarz odszyfrować, co oznaczają moje gesty. Powinienem być o tym pomyśleć, teraz było już za późno, mogłem się tylko łudzić nadzieją, że kamera śledziła jedynie moją twarz, że ręce pozostawały poza jej zasięgiem.

Zachowując więc obojętny wyraz twarzy wykonałem pytający ruch palcami, uważając, aby ręce znajdowały się poniżej kolan. Dziewięćsiątej uśmiechnął się: nie mam się czego obawiać, kiedy on pełni służbę. Zbyt niebezpiecznie byłoby starać się stłumić dźwięk, gdyż wywołałoby to natychmiast kontrolną inspekcję, natomiast jeden z jego przyjaciół, T.W., podłączył na czas jego bytności w komórcie zarejestrowany uprzednio obraz przedstawiający mnie, jak śpię na leżysku.

Miałem wiele pytań: zbyt mało zrozumiałem z tego, co zobaczyłem na jezdniach i w centrum rozrywkowym najniższych rejonów. Przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, czy mój pielęgniarz także padł ofiarą psychoepidemii. Zaprzeczył ruchem głowy, dorzucając, że przecież w przeciwnym razie nie udałooby mu się zachować swojej pracy, której zawdzięcza zresztą to, że nauczył się nigdy nie wyrażać publicznie swoich opinii i sądów. Należał więc do tej niewielkiej garstki niewykwalifikowanych techników, którym kuracja została zaoszczędzona.

Był z tego tak zadowolony, że omal nie roześmiał się głośno. Trudno mi to było w pierwszej chwili zrozumieć, ale wyjaśnił mi, że w większości wypadków kuracja pozostawia nader poważne skutki. Szoki elektroniczne i środki psychofarmaceutyczne wywołują z początku uległość, pokorę i chęć składania wyznań oraz zeznań, ale po pewnym czasie pacjenci wpadają w otępienie, które uniemożliwia im pracę zawodową, lub na nowo ogarnia ich uczucie buntu, z którego nie można już ich uleczyć.

Przypomniało mi to opowiadanie Czterściddwa o tym, jak na ruchomych jezdniach najniższych rejonów był świadkiem publicznych spowiedzi N.T. Porównałem je z tym, czego sam byłem świadkiem: podejrzliwym wzrokiem i uporczywym milczeniem N.T. — i wreszcie zacząłem rozumieć.

Od paru dni oficerowie medyczni stracili swą łagodność, jakby nagle zaczęło im zależeć na czasie. Już mi nie opowiadali anegdotek, lecz obrzucali pytaniami, a ja udawałem, że ich nie rozumiem, wiedząc, iż chcą ze mnie wyciągnąć, jak udało mi się wrócić na Księżyc i kto mi w tym dopomógł. Gdyby im się powiodło i wydobyli ze mnie czyjś numer, z łatwością odszukaliby tę osobę i umieścili w tym samym domu zdrowia, aby konfrontować nasze sny i wyciągać z nich wnioski dotyczące tego, co uznaliby za konspirację. Odpowiadałem wymijająco, aż wreszcie odchodzili rozczarowani, nakazując mi usnąć, i to, o ile możliwe, snem naturalnym, pewno po to, abym śnił i można było sporządzić elektrosomnogramy tych moich snów, a na ich podstawie ustalić diagnozę.

Dziewięćsiątej regularnie przybywał ze swoich najniższych rejonów. Któregoś dnia wprowadził mnie w osłupienie: wsunął mi do ręki małe pudełeczko. Rozpoznałem magneto-fotofon i zaraz go uruchomiłem. Ekran zapalił się. Zobaczyłem na nim twarz uśmiechającego się do mnie Dwaściadwa. Poruszał w milczeniu ustami. Zmieniłem elektrody i oto słyszałem go, tylko ja, nikt poza mną. Powiedział:

— Dzień dobry. Trzymaj się. Zrobimy, co możemy, żeby cię stamtąd wydostać. Cześć.

Znikł. Za to zaraz pojawiła się Trzynastka i obdarzyła mnie uśmiechem. Zacisnąłem mocno dłoń.

— Potrzeba nam natychmiast twojego świadectwa — oznajmiła. — Opowiedz o katastrofie, o twojej wizycie u mnie, o nieporozumieniu, jakie nastąpiło, o twoim wygnaniu i powrocie. Całuję cię.

Chciałem cofnąć taśmę i jeszcze raz wysłuchać jej zaleceń. Przeszkodził mi w tym Dziewięćsiątej. Zamierzałam od razu zabrać się do roboty. Zabronił mi ruchem ręki i wyjaśnił, że byłoby to nieostrożne. Lepiej zarejestrować moją odpowiedź tuż przed końcem jego zmiany.

Zabrał ze sobą pudełeczko, a kiedy oficerowie medyczni pojawili się w mojej komórcie, nie mogli nie zauważyć mego dobrego nastroju. I może dlatego — chyba że uzgodnili to wcześniej — poprosili mnie, abym opowiedział im o swoim pobycie na Ziemi.

Pomijając sprawę powrotu mogłem im opowiedzieć o wszystkim. Zacząłem od chwili, kiedy wszedłem do lasu — tego pierwszego, zielonego. Oficerowie słuchali mnie w milczeniu szepcząc od czasu do czasu: „Żywe drzewo?” albo: „Prawdziwy strumyk?” albo: „Autentyczny ptak?” Kiedy wspomniałem o maleńkich istotach ludzkich, które obsiadły gałęzie drzewa, przerwali mi i zadali parę pytań. Nie słuchałem ich: zbyt wiele dzieliło moją celę i kolisty korytarz od widniejącego nad lasem ziemskiego nieba. Wkrótce miała pojawić się Sza, przyodziana w skórę pantery.

Nie wymieniłem jej imienia, powiedziałem: — Ziemianka — a oficerowie medyczni powtórzyli chórem:

— Ziemianka! Co? Żywa Ziemianka?

Mrugnęli na siebie znacząco, wymienili parę zdań szepcem, a kiedy oznajmiłem, że miała około dwóch metrów wzrostu, nalegali, bym przyznał, że mogła być jeszcze wyższa. Chętnie, i to jak najszczegółowiej, opisałem jej wygląd, jedną część ciała po drugiej, najbardziej interesował ich brzuch —

no i piersi. Byli zachwyceni słysząc, że spałem leżąc na niej, i zadali mi całą serię pytań dotyczących mego snu z głową na tym, co nazwali wzgórzem sutkowym, usiłowali mi także wmówić, że śni mi się obecnie, iż ssę jej sutki.

Widziałem, jak na mnie patrzy, chciałem opisać jej skośne oczy, ale oficerów nie interesowała twarz Ziemiarki, chcieli tylko wiedzieć, czy twarz ta była uśmiechnięta. Odpowiedziałem im, że to ja nauczyłem ją się uśmiechać, a oni zażądali, bym sobie dobrze przypomniał; czy jestem tego pewny i czy w moich wspomnieniach zachowuje ona stale ten sam wyraz twarzy. Nie, pamiętałem ją też gwałtowną i rozjuszoną, a kiedy o tym wspominałem, oficerowie zaczęli między sobą dyskutować, jedni mówili o potwornej olbrzymce, inni o słodczy kobiecej. Miałem im to za złe i postanowiłem sobie, że nigdy nie wymienię imienia Sza. Jeszcze wychodząc dyskutowali na jej temat i podziękowali mi za dostarczenie im tak cennych informacji.

Na krótko przed wyjściem z pracy Dziewięćsiątdn przyniósł fotofon. Nie wydając dźwięku, poruszając tylko wargami zarejestrowałem moje oświadczenie i oddałem pudełko pielęgniarzowi. Zwlekał z odejściem: był przez chwilę obecny podczas mego przesłuchania i przypuszczałem, że chciałby wypytać mnie o Sza.

Mylilem się. Narysował w powietrzu kulę, oczywiście chodziło o Ziemię, ale potem zaczął głęboko oddychać. Odgadłem wreszcie, że pyta mnie o to, jakie jest ziemskie powietrze. Chciał, abym je porównał z powietrzem, jakim oddychają mieszkańcy najniższych rejonów, a potem zażądał, abym przeprowadził paralelę między jakością wody ziemskiej i płynu, jaki podaje się N.T. Mogłem mu odpowiedzieć tylko wyrazem twarzy. Dziewięćsiątdn przyglądał mi się bacznie, usiłując dokładnie obliczyć zachodzące w obu wypadkach różnice.

Myślałem, że na koniec zapyta mnie jednak o Sza. Tymczasem jego bardziej interesowały warunki mieszkaniowe Ziemiań. Przypomniałem mu, że z dawnych miast pozostały tylko kupy gruzu, więc trudno dziś ocenić te warunki. Nalegał, dając mi do zrozumienia gestami, że chodzi mu o to, do ilu metrów sześciennych miał prawo jeden mieszkaniec Ziemi. Nie wiedziałem, nie dowiedziałbym się tego pewnie nawet wówczas, gdybym chodził po którymś ze zrujnowanych miast.

Opowiedziałem mu, że mieszkałem w jaskini, a on prosił, abym mu określił jej wielkość w porównaniu do wielkości kwater N.T. Nie chciał wierzyć własnym uszom, gdy odpowiedziałem, że nie przyszło mi na myśl jej wymierzyć, ale była znacznie obszerniejsza od mojej na przykład sali pracy. Zapytał, czy znam liczbę zamieszkujących ją osób, i znów nie chciał mi wierzyć, gdy odpowiedziałem, że było nas tylko dwoje. Nadal nie zwracając uwagi na moją Ziemiańkę, powtarzał wielokrotnie tę zadziwiającą cyfrę, trudno mu było sobie wyobrazić, jak mogliśmy mieszkać na tak wielkiej przestrzeni, w jaki sposób poruszaliśmy się tam, czy musieliśmy porozumiewać się krzykiem i czy starczało nam powietrza i światła.

Miałem ochotę opowiedzieć mu o swoim życiu z Sza, ale on rzucił okiem na godzinnik i dał mi znak, abym wyciągnął się i udał, że śpię. Moje opowiadanie tak go zainteresowało, że dopiero teraz zorientował się, iż jest spóźniony.

Znikł, a parę minut później do mej komórki znów weszli oficerowie medyczni. W miarę upływu czasu coraz rzadziej usiłovali mnie rozerwać, woleli poddawać mnie kuracji nudą. Było to trudne do zniesienia i dobrze zdawali sobie z tego sprawę. Ja także wiedziałem, że wkrótce im się poddam, że będę śnił, co mi każą, i odpowiadał na pytania tak, jak będą sobie tego życzyli.

Więc opowiedziałem im, że śniła mi się uśmiechnięta Sza, i opisałem, jak unosiły się jej kąciki warg, co wzbudziło ogólną aprobatę.

Gwałtownie potrzebowałem pomocy. Podczas następnego dyżuru Dziewięćsiątej udzieliłem mu na migi zlecenie dla tej, którą nazwałem podnosząc w górę najpierw dziesięć palców, a potem trzy. Przyniósł mi więc od Trzynastki ten sam co przedtem fotofon. Trzynastka radziła, abym starał się oderwać myślą od mej celi, najlepiej byłoby, abym nagrał na fotofonie całą moją historię poczynając od momentu wielkiej katastrofy, gdyż to zwiększy niewątpliwie moją odporność na kurację nudą.

Od tej chwili nuda uleciała: miałem coś do roboty. Wprawiałem się, aby coraz to szybciej poruszać ustami, a wówczas, gdy nie dyktowałem, porządkowałem moje wspomnienia. Dyktować mogłem tylko wówczas, gdy na służbie był Dziewięćsiątej i wiedziałem, że ekran podsłuchowy nie działa. Dziewięćsiątej uprzedzał mnie także za każdym razem, gdy zbliżali się oficerowie medyczni.

Przychodzili codziennie, ale o rozmaitych porach, określanych przez komputer psychometryczny, aby wykorzystać każdą z istniejących możliwości i zaskoczyć mnie jak najmniej spodziewanej. Przewidzieli wszystko poza faktem, że pielęgniarz, widząc ich na ekranie kontrolnym, będzie mnie o ich wizycie uprzedzał.

Dyktując moje sprawozdanie, odbywałem raz jeszcze moją wędrówkę z Księżycą na Ziemię, wokół Ziemi, na Ziemi. Czasem udawało mi się zarejestrować jakiś dłuższy fragment, ale zdarzało się także, że komisja lekarska wracała w parę minut po poprzedniej wizycie. Staralem się nie pominąć niczego, co udało mi się — jednemu z nielicznych Księżyczan, a może nawet jednemu — zaobserwować na Ziemi, czy to chodziło

o drzewa lub ptaki, czy też o jakiś szczegół dotyczący mojej historii. Za to usiłowałam nie podawać żadnych informacji osobistych niemających bezpośredniego związku z tematem, nie mówić o moim dzieciństwie ani o znanych wszystkim szczegółach codziennego życia na Księżycu.

Medyczni nadzorcy, którym często towarzyszyli psychotechnicy, odwiedzali mnie coraz liczniej, aż wreszcie pojawiło się dwóch zachowujących niezwykle powagę panów, będących, jak się okazało, wyższymi oficerami zdrowia. Używając wyłącznie terminów psychiatrycznych rozmawiali półgłosem, aby udowodnić mi, że nie chcą przede mną zdradzać tego, co myślą, mówili jednak na tyle głośno, że słyszałam każde ich słowo. Słyszałam, ale nie rozumiałem: terminologia psychiatryczna była mi zupełnie obca. Kiwali głowami, wzruszali ramionami i wzdychali z rezygnacją: to było jasne, mój stan musiał być ciężki. Najbardziej zaalarmował mnie fakt, że wyśli na czubkach palców.

Kiedy wrócili, spałem, a Dziewięćsiątdn był nieobecny. Byłem na wpół przytomny i podskoczyłem, gdy poproszono, abym opowiedział, w jakich okolicznościach nastąpił mój wyjazd na Ziemię. Postanowiłem nie wspominać o mojej znajomości z Trzynastką, ale nie widziałem powodu, by nie mówić o jej ojcu. Opowiedziałem więc o spotkaniu z 5. Oficerowie medyczni spojrzeli na siebie znacząco i spytali, gdzie owo spotkanie miało miejsce. Odpowiedziałem:

— U niego.

Zażądali, abym opisał im, jak wyglądają pomieszczenia, w których urzęduje Rada Logików. Wyjaśniłem, że poznałem 5 w jego kwaterze. Znów wymienili spojrzenia i spytali o datę spotkania. Na próżno szukałem w pamięci, odpowiedziałem więc, że miało to miejsce wkrótce po wielkiej katastrofie.

Jeden z wyższych oficerów szepnął do swego kolegi:

— Podświadome przesunięcie w czasie.

— I w przestrzeni — odparł tamten i zażądał, abym opisał kwaterę logika, w której rzekomo byłem.

Opisałem kolekcję antyków i okrągłą salkę z widokiem na Ziemię.

Pierwszy oficer skinął głową i mruknął:

— Paramnezja i przemieszczenie lokalizacji.

Formuły tej nie zrozumiałem, ale tak mnie zafrapowała, że udało mi się ją zapamiętać.

Drugi oficer pokręcił głową i dopiero potem oznajmił:

— Klarowność i przyczynowość rozumowania.

Odniosłem wrażenie, że występuje w mej obronie, tym bardziej iż zaraz potem zwrócił swym kolegom uwagę na moje wyraźne znużenie i poradził mi, bym zażył środek nasenny i zaraz zasnął.

Medycy odwiedzali mnie z każdym dniem częściej, zadając pytania i odbywając te swoje niezrozumiałe konsylia. Zacząłem wypytywać Dziewięćsiątdn, miałem bowiem nadzieję, że potrafi mi coś wyjaśnić. Ale on niczego nie słyszał, niczego nie zauważył.

Było mi już równie łatwo rozmawiać z nim co kiedyś z Sza, i to o niej myślałem za każdym razem, gdy on wychodził z mej celi. Na pewno wróciła do naszej jaskini, znów poznała samotność i przywykła do mojej nieobecności. Zastanawiałem się, czy często przygląda się memu wizerunkowi na fiszce tożsamości i czy odnalazła skórę śnieżnej pantery. Widziałem ją, jak wpatruje się w widniejący na ziemskim niebie Księżyc dnia, a potem Księżyc nocy i jak przemawia do mnie to w swoim języku, to w naszym wspólnym języku gestów, który dla odmiany przywołał mi z powrotem na myśl opowiadania mego pielęgniara.

Jego palce poruszały się coraz to sprawniej i pomagając sobie wyrazem twarzy opowiadał mi wiele rzeczy, które docierały do mnie w każdym szczególe. Opowiedziałem mu o swojej wizycie w najniższych rejonach i opisałem zachowanie N.T., których spotkałem na jezdniach i w centrum rozrywkowym, ich podejrzliwy wzrok, ich milczenie. Wyjaśnił mi, że z wyjątkiem ofiar kuracji, które popadły w chroniczne otępienie, wszyscy pozostali uważali mnie za agenta medycznego w cywilu, obarczonego misją rejestrowania numerów tych, którzy zadają pytania i sięją zwątpienie. Zapytałem, czy nikt nigdy nie rozmawia publicznie. Odparł, że N.T. od dość dawna już ulegali atakom wzmożonej gadatliwości, że zdarzały się one coraz częściej, aż do momentu wielkiej katastrofy i psychoepidemii, która znów sprowadziła ciszę. Obecnie N.T. z powrotem zaczęli rozmawiać. Większość z nich zachowywała ostrożność: rozmawiali tylko z przyjaciółmi, ale niektórzy posuwali się tak daleko, że podnosili głos.

Chciałem dowiedzieć się, o czym rozmawiali. Zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że nie byli zadowoleni. Z wielu powodów. Poprosiłem, by wymienił najważniejsze. Dziewięćsiątdn wskazał palcem w dół, zrobił taką minę, jakby się dusił, potem pokazał na otaczające nas powietrze, odetchnął nim głęboko, okazał zachwyty, następnie pokazał na migi N.T., który pragnie większej ilości tlenu niż ta, jaka mu przysługuje. Potem nastąpiły inne pantomimy, pantomima mieszkańca maleńkiej kwatery, który żąda powiększenia jej kubatury, pantomima człowieka, który ma do dyspozycji tylko jeden napój, a napój ten nie nadaje się do picia. I zaraz przypomniały mi się zadawane mi niegdyś przez Dziewięćsiątdn pytania dotyczące Ziemi, jakości jej powietrza, wody i wielkości zamieszkiwanej przez mnie pieczary.

Wtedy myślałem, że N.T. marzą o powrocie na wielką planetę przodków, nie zdając sobie sprawy, że oznaczałoby to cofnięcie się w prehistorię. Nie miałem racji. N.T. nie mieli najmniejszej ochoty wracać na Ziemię, chcieli po prostu przekształcić życie w najniższych rejonach. Pokazałem na migi: a więc pragnęliby unowocześnienia rozrywkowych ośrodków, ożywienia telewiadomości? Dziewięćsiątdn przerwał, mi: nie, bynajmniej, ludzie wychodzący z pracy nie mieli sił na słuchanie komentatorów, nie mieli sił na przyglądanie się rozgrywanej przez dwa komputery partii warcabów. Byli przepracowani. N.T. pracował o godzinę dłużej niż technik wyspecjalizowany, o trzy godziny dłużej niż wielki i za wszelką cenę pragnął skrócenia czasu pracy.

Dziewięćsiątdn nie wyjaśnił, co jego koledzy zamierzają zrobić. Uważałem, że mogliby się poskarżyć, nie widziałem innego wyjścia, chyba że zdecydowaliby się na kurację. Nie zgadzał się, według niego istniała możliwość zaspokojenia ich potrzeb. Ale jaka? Założył ręce i przybrał nieruchomą pozę. Wydało mi się to czymś niezwykle tajemniczym. Próbowałem odgadnąć, co ta poza oznacza, ale bez powodzenia.

W dwa dni później Dziewięćsiądn przyniósł mi złe wiadomości. Do domu zdrowia zabrano pewnego wyspecjalizowanego technika, z zawodu nadzorcę, nr 647 322. A więc był to Dwaściadwa. Pielęgniarz wiedział tylko tyle, że kuracją mego towarzysza podróży zajmuje się ta sama ekipa medyków. Zacząłem się obawiać o Trzynastkę.

Następnego dnia nikt do mnie nie przyszedł. Pewnie uspiono Dwaściadwa, aby zarejestrować jego sny i porównać je z moimi. Usiłowałem czuwać, aby utrudnić oficerom zdrowia ich zadanie. Kiedy wreszcie pojawili się, z trudem otwierałem oczy.

Przesłuchiwał mnie starszy z dwóch wyższych oficerów; z jego pytań nie można było się domyślić, że wie coś o Dwaściadwa, który zresztą oparł się pewnie pierwszej psychodialogozie. Byłem z tego rad tak ze względu na niego, co na siebie, a przede wszystkim ze względu na Trzynastkę.

Naczelnik służby zdrowia zapoznał się z taśmami, na których nagrano rozmowy ze mną, i spostrzegł, że jego koledzy pominęli kilka ważnych kwestii. Na przykład: mimo że opisałem, jak to zwykłem sypiać na mej Ziemiance, a właściwie na jej brzuchu i jednej piersi, nikomu nie przyszło na myśl zapytać mnie, czy nie chorowała, a jeśli by moja odpowiedź wypadła twierdząco, czym objawiała się jej choroba.

Długo zastanawiałem się. Nigdy nie spotkałem Księżniczki oznaczającej się równie wspaniałym zdrowiem co Sza. Opisałem ją więc po raz wtóry, kładąc nacisk na jej siłę i zręczność, ale także na twardość jej mięśni, jedwabistość skóry, gęstość włosów. Oficer spytał:

— A jej zapach?

Porównałem go do zapachu lasu.

— A jej smak?

Szukałem jakiegoś porównania i nie znalazłem go. Oficer zasugerował mi podobieństwo do smaku mleka. Nie znałem go, odpowiedziałem: — Cóż, może — a on skinieniem głowy wyraził swą aprobatę. Zniżając głos spytał:

— Czy to prawda, że tak jak pan to opowiadał, była ona zawsze naga?

Sprostowałem, że naga była tylko na leżysku, a poza tym zawsze miała na sobie skórę pantery. Spytał:

— Zwierzęcą skórę?

Potwierdziłem. Pytał dalej:

— I nigdy, widząc ją z daleka, nie wziął jej pan za to, co pan nazywa panterą?

Wykrzyknąłem:

— Ależ tak, wówczas gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy!

Potwierdził:

— Tak, oczywiście.

Dodałem:

— Później zdarzyło mi się to jeszcze parę razy.

Powtórzył:

— Jasna sprawa — i spojrział na swych kolegów.

Opowiedziałem o moim pierwszym spotkaniu z Sza, o tym, jak ze strachem czekałem, aż przeskoczy przez płomień ogniska, i jak potem odkryłem jej nagie ramiona, jej twarz. Mój rozmówca okazał wzmożone zainteresowanie.

— Oszczep na plecach? — powtórzył. — Czy może go pan opisać?

To było łatwe.

— A więc był bardzo długi i ostry — powtórzył z namysłem oficer. Nagle spytał: — I nie widział pan żadnego Ziemianina? Tylko tę kobietę? I gdy spotkał ją pan, była dziewicą?

Potwierdziłem. Odwrócił się do kolegów.

— Jasna sprawa.

Wydawało się, że zapomniał o mojej obecności.

— Zepchnięte w podświadomość wspomnienia — wyjaśnił — istoty wszechmocnej, która nas nosi, gdyż jesteśmy zbyt słabi, by iść, plus wspomnienie wzrostu tej osoby, ogromnej w iporównaniu z nami, obydwie pomnożone przez także zepchnięte w podświadomość wspomnienia ssania matczynej piersi, składają się na obraz matki, niezwykłej olbrzymki, która uśmiecha się łagodnie, choć jest równocześnie legendarnym zwierzęciem.

Każde słowo docierało do mnie z osobna, nic nie zrozumiałem z tej przemowy. Jeśli było to równanie, ta choć składała się ze zrozumiałych danych, pozostawała zagadką. Była to obca mi wyższa matematyka. Nie wiedziałem nawet, czy wnioski są dla mnie przychylne, czy nie.

Oficerowie zdrowia rozmyślali w milczeniu. Naczelnik przyglądał mi się.

— Powiedział pan: pantera? Skinąłem głową. Powtórzył:

— *Pantera*.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli jakąś ziemską chorobę, czy mówi o kuracji. Ale nie stawiałem pytań, ostrożniej było zachować milczenie. Zrobiłem taką minę, jakbym zasypiał. Zamknąłem oczy i słyszałem, jak oficerowie zdrowia wychodzą z mojej celi.

Dziewięćsiątej objął służbę. Cały promieniał, jego palce nie ustawały w ruchu. Pytał, czy aby pamiętam, że zaraz po przyjeździe zarejestrowałem sprawozdanie z mego pobytu na Ziemi i że zaniósł je moim przyjaciółom. Pamiętałem. Odpowiedział mi, że N.T, pracującym w telewiadomościach najniższych rejonów udało się umieścić je pomiędzy informacjami, i to tak, że nikt nie był w stanie przewidzieć, kiedy i na jakich ścianach będzie można mnie zobaczyć i usłyszeć. Tłum wysłuchał moich słownie schodząc, tam gdzie powinien, z jezdni, aby niczego nie uronić i móc razem przedyskutować tę zaskakującą wiadomość.

Wielcy technicy próbowali przerwać emisję. Ci, co szli do pracy, a także i ci, co wracali z pracy, sunąc wśród wygaszonych ścian nie przestawali, mimo zmęczenia, mówić o moim sprawozdaniu, i to głośno i wyraźnie, jak świadczyły o tym raporty białych fartuchów. Ledwie wróciwszy do domu, wszyscy wyszli z powrotem, by spotkać się w centrach rozrywkowych i dalej rozmawiać, nie zwracając uwagi na widowiska na ekranach ani na gry elektroniczne. Jeśli zostałem deportowany na Ziemię, mówili, to po to, aby przeszkodzić mi w wyjawieniu im, że wielka katastrofa i psychoepidemia były prowokacją mającą na celu, by N.T, znaleźli się na łasce Rady Logików.

Dziewięćsiątej wyszedł, ale zaraz wrócił. Okazywał niepokój, dowiedział się, że do domu zdrowia przybyło kilka ekip pielęgniarzy.

Zamknięty w mojej komórce, do której nie docierał żaden dźwięk, nie wiedziałem o niczym. Moi pielęgniarze zmieniali się jak zwykle, nadal zachowując milczenie. Dopiero w dwa dni później udało się do mnie dotrzeć Dziewięćsiątej.

Nic nie wiedział o Dwaściodwa, nie miał żadnych wiadomości od Trzynastki. Zamknięto centra rozrywkowe, ale już

zbyt wiele osób znało na pamięć moje sprawozdanie. Parę osób rozpoznało mnie, przypomniało sobie, którego to dnia widzieli mnie na jezdniach, i opowiadali o tym przyjaciołom i sąsiadom, którzy dalej rozprzestrzeniaли o tym wieści. Zaczęto uważać za pewnik, że zwiedziłem najniższe rejony, ponieważ chciałem dowiedzieć się, odczuć na własnej skórze, do jakiego stopnia ich życie nie nadawało się do życia.

Wielkim technikom udało się w końcu wyeliminować moje sprawozdanie i znów zaczęto wyświetlać telewiadomości. Poruszały one jeden jedyny temat — konstrukcję groty Kontynuacji. Spikerzy i komentatorzy zdzierali sobie płuca powtarzając, jak to zdecydowano się zaopatrzyć groty w powietrze i wodę, tworząc w ten sposób dziesięć tysięcy dodatkowych miejsc dla Księżyczan, którym wolno będzie narodzić się w najniższych rejonach, i jaka wdzięczność należy się Radzie Logików, która podjęła tę historyczną decyzję. Ludzie udający się do pracy i powracający z pracy powtarzali: „Jeśli tak zdecydowali, to tylko dlatego, że potrzeba im dziesięciu tysięcy nowych N.T.”, a moje milczenie było jeszcze bardziej wymowne niż krzyk tłumu. Logicy ani na chwilę nie przerywali obrad.

Czekałem wiele godzin. Dziewięćsiątdn wyszedł, miał powrócić dopiero nazajutrz. Było bardzo późno, gdy do mojej komórki wszedł jakiś człowiek, a za nim trzech generałów zdrowia i wielu wyższych oficerów. Nigdy tego człowieka nie widziałem, ale rozpoznałem go po jego miniaturowej fiszce tożsamości. Był to logik 1. Przyjrzał mi się bez słowa i odwrócił się do swojej świty. Mówił o mnie tak, jakbym był nieobecny. Powiedział do najstarszego z generałów:

— Proszę złożyć sprawozdanie.

Generał wydał ten sam rozkaz oficerowi, który wypytywał mnie o Sza.

— Nastąpiła systemizacja delirium — oznajmił tamten.

— To zbyt abstrakcyjne — zauważył logik.

— Delirium — wyjaśnił oficer — ześrodkowane wokół tematu pobytu na Ziemi.

— Żaden N.T, nie zrozumie tego słowa — powiedział 1.

Oficer zastanowił się, patrząc na mnie, lecz wyraźnie mnie nie widząc.

— On nigdy nie był na Ziemi — oznajmił.

Zaprzeczyłem mu:

— Ależ byłem!

Ciągnął:

— Najlepszym na to dowodem jest fakt, iż chory utrzymuje, że poznał tam Ziemiankę.

Zawołałem, tak jakbym ją wzywał:

— Sza!

Nikt mnie nie usłyszał.

— Jak to nazwać?

Powtórzyłem: — Sza — ale on nie ją miał na myśli.

Jeden z trzech generałów zdrowia oświadczył:

— Proszę wybrać: pi, alfa, ro albo sigma, khi, jota.

— To nie dość jasne— zauważył 1. — Wolałbym cyfry.

Generał uśmiechnął się.

— To proste: szesnaście, jeden, siedemnaście albo osiemnaście, dwadzieścia dwa, dziewięć.

— Wolę to drugie sformułowanie.

Pomyślałem sobie, że wybrał je, bowiem w pierwszej formule wymieniony został jego numer. Jeśli chodzi o resztę, to tak jak każdy wyspecjalizowany technik wiedziałem, że $n = 3,1415$ itd., ale nie wiedziałem, co w dziedzinie medycyny oznaczają symbole literowe lub liczbowe. Zapytałem więc:

— Czy to nazwa jakiejś ziemskiej choroby?
Nikt z obecnych nawet na mnie nie spojrział.

Logik oznajmił:

— Uwaga: oto dane, które należy wdrożyć pamięci.. Żadnej wzmianki o wielkiej katastrofie ani o psychoepidemii. Jakiegokolwiek pytanie na temat pobytu na Ziemi i jakakolwiek odpowiedź. Potem inne pytanie na temat Ziemiarki i odpowiedź potwierdzająca.

Wszyscy skinęli potakująco głowami. I wskazał na trzech generałów zdrowia.

— Na koniec — wy. Krótka, nieprzekraczająca czterdziestu sekund obrada, podczas której będziecie się posługiwać zwykłymi terminami naukowymi, potem wnioski.

Ostatnie słowo powtórzył tonem pytającym:

— Wnioski?

Jeden z trzech generałów zaproponował:

— Ze względu na skoordynowanie jego myśli: sigma, khi, jota. — Poprawił się: — Osiemnaście, dwadzieścia dwa, dziewięć.

Jego dwóch kolegów milcząco wyraziło zgodę.

Na próżno zacząłem pytać, protestować, krzyżeć: o porozumienie byłoby łatwiej nawet wówczas, gdybym był niemy, a oni głusi. Logik wyszedł szybkim krokiem, a za nim jego świta, zostałem sam i zacząłem się zastanawiać, czy resztę życia spędzę w tej komórce, czy też z powrotem deportują mnie na wielką planetę, i nie wiedziałem, czy wolę zostać na Księżycu, czy wrócić na Ziemię, czy mieszkać na Ziemi, marząc o Księżycu i Trzynastce, czy też na Księżycu, tęskniąc za Ziemią i za Sza.

Wchodzi Dziewięćsiątejdn. Przy-
nosi znów fotofon. Będę rejestrował wszystko, co mi się przy-
darzy; w każdej chwili może mi to zostać uniemożliwione, i to
raz na zawsze.

Pielęgniarz gestami daje mi do zrozumienia, że w najniż-
szych rejonach na ścianach pojawia się co chwila mój obraz w
otoczeniu trzech generałów medycznych, którzy stawiają dia-
gnozę mej choroby: osiemnaście, dwadzieścia dwa, dziewięć.
Moje rzekome sprawozdanie z pewnych wydarzeń, na skutek
których miałbym jakoby zostać deportowany na Ziemię, wy-
starczy za dowód mego obłądu, nigdy bowiem nie opuszcza-
łem Księżycy. Moje szaleństwo objawia się opowiadaniem o
podróży po wyludnionej planecie i utrzymywaniem, że miesza-
łem w rejonie rzekomo oszczędzonym przez Wielki Krach
wraz z olbrzymką-Ziemianką, a przecież, jak wiadomo, Zie-
mianie nie istnieją.

Pytam:

— Nie wspomniano nic o katastrofie ani a psychoepide-
mii?

Dziewięćsiątejdn kręci przecząco głową.

Pytam:

— Czy wszyscy w to uwierzyli?

Dziewięćsiątejdn kręci głową.

— Czemu?

— To oskarżenie jest niebezpieczne.

— Dla mnie?

— Nie, dla nich — i pielęgniarz pokazuje na migi logika i trzech generałów zdrowia.

Nic nie rozumiem.

On tłumaczy mi na migi, że w najniższych rejonach rozeszły się wieści, iż zamknięto mnie w domu zdrowia, i T.N, mówią tylko o tym, że należy mnie siłą uwolnić.

Pytam:

— Czemu?

Dziewięćsiątdn pokazuje, jak jadący do pracy i ci, co z pracy wychodzą, wyrażają na ruchomych jezdniach przekonanie, że jednakże byłem na Ziemi. A jeśli to jest prawdą, to prawdą jest także to, co opowiedziałem o katastrofie oraz o psychoepidemii.

Wzruszam ramionami:

— Ale cóż mogą zrobić?

Dziewięćsiątdn powtarza gest, którym już kiedyś się posłużył: zakłada ręce.

Staram się go zrozumieć.

Następuje pantomima: oto N.T, wchodzi do swojej hali, nieruchomieje, zakłada ręce. Dziewięćsiątdn wskazuje na światło: światło gaśnie. Mówi o ruchomych jezdniach. Jezdnie zatrzymują się. O komputerach. Komputery przestają działać.

Pytam:

— Katastrofa?

On odpowiada:

— Nie.

Gestykułuje: w najniższych rejonach ludzie zaczęli już krzyżować na piersiach ręce.

Staram się go zrozumieć.

Znów zakłada ręce i wyjaśnia: — Tak postępowali T.N, na Ziemi, oni przecież pracowali rękami.

Ja pytam:

— Więc w najniższych rejonach?

Dziewięćsiątejdn znów zaczyna pantomimę: idąc do pracy, wracając z pracy ludzie zatrzymują się, zbierają, dyskutują, zaczynają działać.

Pytam, czy naśladowują swoich ziemskich przodków.

On tego nie wie, nikt zresztą tego nie wie. T.N, odziedziczyli po Ziemiach jedynie legendę o zakładaniu rąk.

Dziewięćsiątejdn przerywa swą opowieść: wydaje mu się, że ktoś idzie w stronę mojej celi. Może to pielęgniarze, może T.N.

Nadstawiam ucha.

Po raz pierwszy, odkąd tu mnie zamknięto, jakiś odgłos jest na tyle potężny, że przedostaje się przez dźwiękoszczelne mury. Słyszę zbliżające się kroki.